

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY**ŚLĄSK**

Nr 2 (267). Rok XXIV. LUTY 2018 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACHWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKATADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
LiteraturaLAURA RYNDAK
KorektaStali współpracownicy:
EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
WIESŁAWA KONOPELSKA,
WOJCIECH ŁUKA,
HENRYK MARZEC,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA,
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIKADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł,
kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECIE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

2. Tadeusz Sierny OD REDAKTORA
4. Andrzej Jarczewski PARADYGMATY ROZWOJU I ZANIKU
5. Paweł Podsiadło KRÓTKA HISTORIA INNOWACJI
8. Katarzyna Lisowska ŚLĄSKA ONKOLOGIA JAKO NAUKA STOSOWANA
10. Andrzej Jarczewski CHAOS NA GALAPAGOS. Rozmowa z prof. Andrzejem Świerniakiem
20. Henryk Szczepański KUŹNICA BOGUCKA CZYLI ZAPOMNIANE KATOWICE
26. Andrzej Jarczewski HIGHWAY WYSOKICH TECHNOLOGII.
Rozmowa z Jerzym Szymurą
30. Ks. Jerzy Szymik LITERATURA I TEOLOGIA
38. Anita Frankowiak COACHING JAKO PRZESTRZEŃ SPOTKANIA
40. Stanisław Gębala WSPOMNIENIE BYNAJMNIEJ NIE SENTYMENTALNE
42. Katarzyna Pilarska MAM SENTYMENT DO KATOWIC. Rozmowa z Arturem Gotzem
46. Piotr Urbański PORTRETY MISTRZÓW: JAN MALICKI
50. Julia Montewska ŚLĄSKIE TAJEMNICE. Templariusze na zamku w Lipie
52. Wojciech Jarczewski MASOWE WYBURZENIA – INNOWACYJNE PODEJŚCIE DO ZARZĄDZANIA MIASTAMI
58. BLASK ARCYDZIEŁ. Jerzy Paszek BLASK ODYSEI
49. Tadeusz Sierny MUSIMY BYĆ OTWARCI NA ZMIANY.
Rozmowa z Andrzejem Krzysztyniakiem, historykiem, publicystą, działaczem społecznym
71. Lucyna Sadzikowska MÓWIŁO SIĘ: IDZIEMY ZA LAS...
Wspomnienie o Gustawie Morcinku
72. Jan Malicki ARCYMODLITWA. ŚLĄSKIE DZIEJE STU PRZEKŁADÓW
78. Tadeusz Sierny CYWILIZACJA CYFROWA XXI WIEKU

WYDARZENIA

33. Kazimierz Cieślak MALOWANE NOCĄ – MALARSTWO KRZYSZTOFA RZEŹNICZKA
45. Rozalia Wawronowicz NIESPODZIEWANY POWRÓT GUSTAWA MORCINKA
66. Wiesława Konopelska FERDYNAND SZYPUŁA – ODSZEDŁ MISTRZ
68. Wiesława Konopelska OPERA ŚLĄSKA: KSIĘŻNICZKA CZARDASZA
74. Tomasz Bienek 50 LAT NA STRAŻY PAMIĘCI BENEFIS KAZIMIERZA SZOŁTYSKA

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE. *Su Shi* WCHODZĄC NA GÓRĘ
ZACHMURZONEGO SMOKA
14. *Su Shi* WIERSZE
16. Piotr Michalski BIELOVODSKY HLUCHÁŇ, CZYLI TETROV NALOT
36. Marian Lech Bednarek KLĘSKI
56. Rafał Kierzyńska WIERSZE

FELIETONY

55. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek SMÓL TO!
60. MIĘDZY NUTAMI. Magdalena Dziadek MUZYKA ŻYDOWSKA W NOSPR.
NOWA KSIĄŻKA O SZYMANOWSKIM
61. ROK OLIMPIJSKI. Ryszard Jasnorzewski ZGRYZOTY REKORDÓW

KSIĄŻKI

62. Martyna Dymon TRAUMA I PRZEDMIOTY CODZIENNOŚCI
63. Ewa Bartos SMAK LEKTURY
64. Andrzej Juchniewicz CENA (PRZE) ŻYCIA PO DRUGIEJ STRONIE MURU
65. Monika Szczyrba BYĆ DZIEWCZYNKĄ, NASTOLATKĄ, KOBIETĄ

Z ŻYCIA BIBLIOTEK

76. Aneta Wcisło 90 LAT NA POZIOMIE. JUBILEUSZ BIBLIOTEKI W SOSNOWCU

NOTATNIK KULTURALNY

82. KATOWICE. CZĘSTOCHOWA. WODZISŁAW ŚLĄSKI.

NA OKŁADCE:

Antoni Kowalski, Modlitwa dla Zdzisława Beksińskiego, olej, płyta 122x141 cm, 2005

Pismo wspierane
finansowo przez:Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICEKATOWICE
dla odmianyMinisterstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Od Redaktora!

Czy jest możliwa zmiana paradygmatu?

3 lutego br. minęła pięćsetna rocznica śmierci mincerza z Moguncji Johanesa **Guttenberga**, który w ramach prowadzonych przez siebie interesów znalazł sposób na obniżenie kosztów produkcji książek poprzez wynalazek ruchomej czcionki.

20 listopada 1990 r. – około południa (pomiędzy 10: 57 a 13: 25) został wysłany pierwszy email do Polski. Jego autorami (nadawcami) w CERN byli wspólnie **dr Grzegorz Polok** i **mgr Paweł Jafolcha**, a został on odebrany w Krakowie przez **mgr inż. Andrzeja Sobalę**. Pierwsze komputery z dostępem do Internetu znajdowały się w Warszawie, Krakowie, Toruniu i w... Katowicach. Pierwszą firmą, która została podłączona do Internetu w Polsce, był ATM, jej oddział mieścił się także w Katowicach. Co łączy te dwa tak odległe fakty. Po tych zdarzeniach świat i Polska już nie były takimi samymi jak jeszcze „przed chwilą”. Chociaż zapewne młodzi naukowcy w 1991 roku i mincerze lat 40. piętnastego wieku nie mieli świadomości jakich doniosłych dokonują rewolucji.

Od połowy lat siedemdziesiątych minionego wieku toczą się w nauce polskiej spory o istotę, kierunek i treść zjawiska nazwanego *zmianą w kulturze*. Od dwudziestu lat na Śląsku zgłaszany jest postulat zmiany paradygmatu w naszej kul-

turze regionalnej. Politycy, biznesmeni, naukowcy, działacze kultury apelują o dostosowanie naszej gospodarki do wymagań zglobalizowanej ekonomii (głównie poprzez likwidację kopalń), wymogów ekologii, zmianę poziomu jakości życia, uruchomienie postaw innowacyjnych, kreatywności, mobilności i wielu jeszcze innych apeli z jakimi przyjdzie nam się spotkać w okresach przedwyborczych. W sferze politycznej toczona są zacięte boje o autonomię, w sferze kulturowej o język śląski, w sferze ideologicznej o... dekomunizację, w gospodarczej o realizację kolejnego Programu dla Śląska..

Zadajmy zatem pytanie, czy jest gdzieś ktoś lub coś w naszym województwie, co w najbliższej perspektywie czasowej przyczyni się do uruchomienia procesu rzeczywistej zmiany jakościowej, na miarę rewolucji guttenbergowej lub internetowej?

Śląsk ma tę cechę szczególną, że od czasów powrotu do Polski w 1922 do lat nam współczesnych – podlega ciągłym, gwałtownym zmianom, które modyfikowały wykształconą w długotrwałym rozwoju funkcjonującą tu równowagę kulturową (zwaną przez niektórych equilibrium) zbudowaną na stałej obecności, wzajemnej tolerancji i konkurencyjności – czasem bardzo brutalnej – elementów kultur obcych (czeskiej, niemieckiej) i swojskiej polskiej. Ta ostatnia ukonstytuowana na tradycji wiejskiej (chłopskiej, rzemiosła wiejskiego), zmodyfikowana została o elementy zainicjowane przez organizację i dyscyplinę wdrażanych na Śląsku technologii pozyskiwania surowców kopalnych, zastępując tradycyjny indywidualizm przemysłową ideą solidarności grup pracowniczych zmuszonych przez niebezpieczną przyrodę do zdyscyplinowanego współdziałania (nie bezwzględnej konkurencyjności) i solidnego wykonywania swoich obowiązków, przywiązania do „swojego” dobrze znanego zakładu pracy (czyli zazwyczaj „bezpiecznej” grubo), pomocnej we wszystkim rodzinie, szukającej w trudnych sytuacjach oparcia – nie w aktualnej administracji państwowej – ale w trwałych, najbliższych instytucjach religijnych. Opis wszystkich elementów owego wspo-

mnianego wyżej equilibrium wymagałby znacznie bardziej obszernego, przekraczającego ramy „wstępniaka” wywodu. Prace antropologów, etnografów, kulturoznawców, socjologów, historyków, politologów, literaturoznawców, językoznawców historyków sztuki i przedstawicieli innych dyscyplin naukowych doskonale dokumentują to zjawisko.

Dziś chcemy zmienić nasz Śląsk, ale czy powinna to być zmiana tylko żywiotowa, prowadząca do przekształcenia tradycyjnej kultury śląskiej, i być może w konsekwencji wdrożonych zmian – do jej... zaniku. Czy mamy bezmyślnie naśladować, w łatwym dziś kontakcie z innymi kulturami demonstrowane nam propozycje kulturowe, czy treścią tych oczekiwanych zmian powinna raczej być fala innowacji w zastanej kulturze, generowana przez nas samych. Może obydwie procesy powinny wystąpić jednocześnie, prowadząc nas do koniecznej modernizacji zastanego repertuaru hierarchii wartości i wzorów zachowań, jako skutecznego antidotum na wyzwania cywilizacyjne. Jeśli więc w efekcie naszych poczynań, m.in. zmniejszy dystanse cywilizacyjne jakie dziś występują pomiędzy różnymi grupami społecznymi, wzmocnimy potencjał cywilizacyjny naszego regionu – wówczas będziemy mogli marzyć o – i realizować, długotrwały proces zmiany kulturowej postrzegany jako proces kierunkowy, umożliwiający lepsze, swobodne manifestowanie inności i tożsamości Śląska, adaptacji zastanych norm do nowych wyzwań cywilizacyjnych, proces chroniący nas przed marginalizacją i degradacją społeczną i kulturową.

W numerze lutymowym miesięcznika „Śląsk” poszukujemy w minimalnym zakresie odpowiedzi na tak zadane pytania, odwołujemy się do wypowiedzi naukowców, znakomitych działaczy gospodarczych, twórców, literatów, malarzy, ludzi z inicjatywą, doświadczonych w realizacji gospodarczych, naukowych i artystycznych działań innowacyjnych, symbolizujących postawy kreatywne i utożsamiających się – w najlepszym rozumieniu tego słowa – z kulturową tożsamością Śląska.

TADEUSZ SIERNY

SU SHI

w parafrazie Mariana Kisiela

WCHODZĄC NA GÓRĘ ZACHMURZONEGO SMOKA

Pijany wchodzę na zbocze,
Śpiewają w trawie świerszcze.

Za owce wziąłem kamienie,
Zbite w kupę, jak w stado.

Na szczycie się przewróciłem,
Myśląc, że padam na łożko,

A w górze płyną obłoki
Przez błękitne przestworza.

Pieśni odległej doliny
Echo z gór odpowiada.

Idący na wschód przechodzień
Obejrzał się na mnie, nagle

Zaklaskał w ręce głośno,
A potem zaśmiał się szczerze,

I śmiejąc się, tak powiedział:
„Oj, ależ pan zabalował!”

Su Shi – wielki poeta, malarz, kaligraf, medyk, gastronom i polityk dynastii Song, znany także jako Su Dongpo, Su Tungpo – urodził się w roku 1037 w Meizhou (obecnie Meishan) w prowincji Syczuan. Wychowywał się w rodzinie urzędniczej. Jego ojciec i bracia także pisali wiersze. Jako cesarski urzędnik był przeciwnikiem reform, jakie chciał wcielić w życie Wang Anshi (1021-1086), poeta, filozof, teoretyk literatury i pierwszy minister cesarza Shenzonga (1048-1085). Za bunt Su Shi został skazany na wygnanie do prowincji Hubei. Tam napisał utwory, które należą do pereł klasycznej poezji chińskiej. Po śmierci cesarza Shenzonga, pozwolono mu wrócić z wygnania w roku 1086. Mianowano go wtedy członkiem Akademii Hanlin. Powtórnie wygnany w roku 1094, kiedy wrócono do zaniechanych reform Wanga, został ułaskawiony na rok przed śmiercią. Zmarł w roku 1101 w Changzhou, w prowincji Jiangu.

Prezentowane w tym numerze „Śląska” parafrazy ukażą się nakładem krakowskiego wydawnictwa „Miniatura”.



Wydział Automatyki, Elektroniki i Informatyki Politechniki Śląskiej

Paradygmaty rozwoju i zaniku

ANDRZEJ JARCZEWSKI

W poprzednim numerze odnotowaliśmy pojawienie się nowego ważnego dokumentu, jakim jest „Program dla Śląska”, zaprezentowany w Katowicach przez premiera Mateusza Morawieckiego w grudniu 2017. Teraz pora na ocenę i wnioski po dokładniejszym przyjrzeniu się temu obszernemu zestawieniu projektów. Okazuje się jednak, że ocena jest niejednoznaczna, a wnioski są sformułowane raczej obok „Programu”. Wszystkie opisane w „Programie” działania muszą być oczywiście wykonane, ale o rozwoju Śląska zadecyduje coś innego. Te główne czynniki rozwoju zostały w „Programie” zasignalizowane hasłowo:

1. Zbudowanie innowacyjnej gospodarki regionalnej...

2. Zapewnienie wysokiej jakości kapitału ludzkiego i społecznego...

Co do innowacyjności i kapitału społecznego wątpliwości nie ma. Problem w tym, że nie wiadomo, w jaki sposób zebrane w „Programie” przedsięwzięcia mogłyby do tych celów doprowadzić. Dyskusja na temat szczegółów byłaby przedwczesna. Skupiamy się więc na dwóch kluczowych hasłach: „innowacyjność” i „kapitał społeczny”. Bo wartości tak dziś nazywane decydowały o rozwoju różnych części Śląska przez całe tysiąclecie. Pokazujemy to na tle podobnych zjawisk, obserwowanych w różnych krajach.

Innowacyjność

Nie wiemy, jak torowały sobie drogę największe innowacje w dziejach ludzkości, takie jak krzesanie ognia czy wynalazek ko-

ła. Możemy tylko – na podstawie niedawnej historii – przypuszczać, że nowości narażały nie tylko na entuzjastów. Trudno sobie wyobrazić, by np. Inkowie czy Aztekowie tysiące razy nie wynaleźli koła. Oni koło znali, ale nie pozwalali mu się... toczyć! Być może Bytom, Czeladź i niektóre mniejsze ośrodki byłyby dzisiaj potęgami, gdyby w połowie XIX wieku starały się o przeprowadzenie kolei żelaznej przez swoje terytoria. Podobna – stracona dla niektórych miast – okazja pojawiła się pod koniec wieku XX, gdy wyznaczano trasy autostrad.

Niekiedy epokowe szanse przechodzą nam koło nosa tylko dlatego, że ktoś za długo bronił swojej prywaty. Tak jak np. bytomscy przedsiębiorcy transportu konnego w latach czterdziestych XIX wieku. Zdołali oni przekonać rajców, by ci nie wpuścili do miasta kolei, bo to odebrałoby im zyski, a wozakom pracę. O możliwości przebranzowienia jednych i przekwalifikowania drugich pomyślano za późno, a największa innowacja owych czasów – kolej – poszła przez Gliwice. Cóż, podobnie było na całym świecie. Opisuje to na wybranych przykładach Jacek Podsiadło w *Krótkiej historii innowacji*.

Drugorzędne przez kilkaset lat miasteczko Gliwice – w połowie XIX wieku zaczęło nagle konkurować z Bytomiem, bo zostało szybciej skomunikowane z całym światem. Wynik tej konkurencji do roku 1989 nie był oczywisty. Bytom – dzięki swemu potężnemu przemysłowi – aż do końca epoki PRL zdawał się górować nad Gliwicami. Nagle, niemal jednego dnia to, co decydowało o sile Bytomia (górnictwo)

stało się największym obciążeniem szans tego miasta.

Gliwice wyszły z PRL-u na pozycji nieco słabszej niż pobliskie Zabrze czy Bytom. Ówczesnym miernikiem znaczenia miasta była liga, w jakiej grała lokalna drużyna futbolowa. Zabrze, Bytom, Chorzów i później Katowice to pierwsza liga, a Gliwice to wprawdzie czołówka, ale w II lidze. Rzecz jasna – nie decydowali o tym piłkarze na boisku, lecz władze partyjne w swych gabinetach.

Kapitał społeczny

Bogactwem Gliwic okazała się Politechnika Śląska i wytworzony przez nią kapitał ludzki. W roku 1990 ten czynnik okazał się decydujący. Liczne instytuty i biura projektowe, choć same przeżywały różne trudności i przekształcenia, zatrudniały tysiące inżynierów, a ci musieli jakoś zagospodarować swoje kwalifikacje. Powstawały setki, tysiące drobnych firm i to nie tylko handlowych.

Gliwice wygrały los na dziejowej loterii, ale nie stało się to nagle w roku 1990. Przesłanki sukcesu narastały powoli od roku 1945, czyli od powstania Politechniki, Instytutu Onkologii i innych zakładów naukowych. Pisze o tym prof. Katarzyna Lisowska, a ciekawe uzupełnienie zawiera wywiad, jakiego udzielił mi prof. Andrzej Świerniak, światowej sławy bioinformatyk z Instytutu Automatyki.

Drugi wywiad przeprowadziłem z b. senatorem i śląskim przedsiębiorcą Jerzym Szymurą. On nie czekał na przełom. Swoją innowacyjną firmę zakładał w głębokich latach osiemdziesiątych, przetrwał PRL i rozwinął skrzydła w Katowicach, współpracując z Microsoftem i uczestnicząc w komputeryzacji nauki, przemysłu i administracji.

Miasta kwitnące i miasta upadłe

Symbolem sukcesu cywilizacyjnego Gliwic jest Wydział Automatyki, Elektroniki i Informatyki Politechniki Śląskiej, w którym studiował zarówno Andrzej Świerniak, jak i Jerzy Szymura. Należy jednak odnotować, że ten wydział powstał w roku... 1964. A więc już wtedy udało się skupić wystarczająco silny kapitał społeczny, by przeformułować ideę, której większość ówczesnych decydentów w ogóle nie rozumiała.

Potężny kapitał społeczny Gliwice zdołały uruchomić ponownie w roku 1996, gdy dosłownie „całe miasto” zaangażowało się w wysiłek o inwestycję General Motors. Opublikowałem książkę na ten temat, więc już o tym teraz nie piszę, ale z przyjemnością patrzę na długofalowe skutki tamtego sukcesu: skrzyżowanie autostrad A1 i A4, Specjalna Strefa Ekonomiczna wypełniona innowacyjnymi firmami, cała dzielnica wysokich technologii: „Nowe Gliwice” i – oczywiście – wiecznie młoda Politechnika.

Sukces Gliwic był możliwy dzięki najwyższej w Polsce koncentracji kapitału inżynierskiego we właściwej chwili. Dziś ma to również swoje ujemne strony w postaci tzw. „monokultury inżynierskiej” i galopującego wyludnienia, ale wszystko wskazuje na to, że Gliwice zyskały szanse na co najmniej pokolenie bezpiecznego funkcjonowania. Natomiast Bytom czeka wielka praca nad stworzeniem koncepcji przełomowej, bo tylko taka uratuje miasto. Różne paradygmaty rozwoju tych dwóch miast będą długo studiowane jako przykłady niezmiernie pouczające. ■

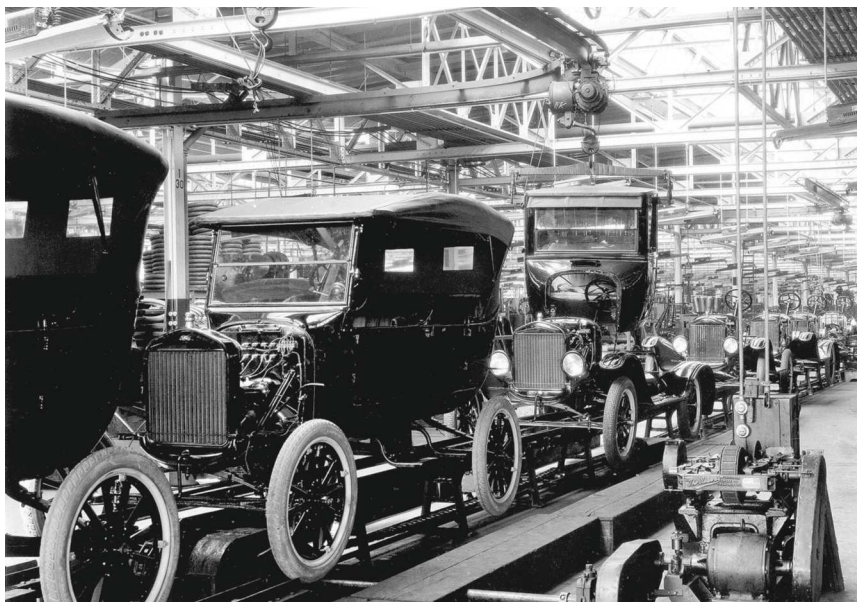


Każda rewolucja niesie z sobą określony zasób innowacji, czyli bardziej lub mniej gwałtownych zmian, dokonujących się na różnych poziomach i w różnych sferach funkcjonowania społeczeństw. Niezależnie od tego, czy następują one najpierw na poziomie technologicznym, czy społecznym, zawsze przewartościowują relacje wewnątrz zbiorowości. Dziś mówimy o czwartej rewolucji technologicznej, często skupiając się na widocznych efektach zmian, takich jak globalizacja, Internet rzeczy lub sztuczna inteligencja. Zmienia się również miejsce jednostki i społeczeństw w rewolucjonizującym się świecie. Związane z tym zagadnienia prezentowałem niedawno na obradach Sekcji „Nauka, innowacje” oraz „Gospodarka, praca, przedsiębiorczość” Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej.

Czy technofobia jest uzasadniona?

W początkowym okresie rewolucji przemysłowej wybuchł w Anglii radykalny ruch społeczny niszczycieli maszyn, zwany luddyzmem. Jego przedstawicielami byli głównie wolni chałupnicy, rzemieślnicy i tkacze. Niszczyli krosna. W ten sposób protestowali przeciwko nowej etyce pracy i zmianom sposobu życia, które to zmiany zostały spowodowane przez wynalezienie maszyn tkackich. Straty związane z działaniami luddystów szacuje się na 1,5 miliona ówczesnych funtów (równowartość 11 ton złota). Nazwa ruchu ma swoje korzenie w osobie Neda Ludda. Wedle doniesień, ten młody człowiek dostał w 1779 roku ataku furii i zniszczył dwie maszyny szwalnicze. Od tego czasu gest ten stał się symbolem oporu wobec wszechogarniającej mechanizacji przemysłu i zastępowania człowieka nowoczesnymi technologiami. Ruch stał się tak popularny, że armia brytyjska stoczyła z nim kilka potyczek, w tym jedną potężną bitwę. Seria procesów i egzekucji za morderstwa (dokonywane m.in. na właścicielach młynów) dość szybko zgasiła zapal niszczycieli maszyn.

Polska też miała swoje historyczne doświadczenia związane z radykalnymi ruchami, skierowanymi przeciwko zmianom technologicznym. W latach 1850. nastąpił pierwszy znaczący przełom gospodarczy w Łodzi. Nadmierny napływ zagranicznych towarów oraz zastąpienie części pracowników maszynami bardzo mocno dotknęło robotników i ich rodziny; ludzie zrozumieli, że stoją u progu ruiny. Rozpacz przerodziła się w gwałt pod postacią buntu przeciwko maszynom. W nocy z 21 na 22 kwietnia 1861 roku przypuszczono szturm na fabrykę Scheiblera. Wylamano drzwi i okna. Tłum wtargnął do wnętrza. Niszczył zienawidzone maszyny i demolował urządzenia fabryczne. Z krosien tkackich pozostały tylko szczątki. Akty wandalizmu zostały powstrzymane dopiero po interwencji wojska. Nastąpiły aresztowania. Ktoś powie – to już historia. Tak, ale historia to także powtarzalność zdarzeń. Bo szybciej zmienia się świat technologii



Krótką historia innowacji

PAWEŁ PODSIADŁO

niż ludzka mentalność. Ten pierwszy zawsze wyprzedza procesy przystosowawcze do nieuchronnych zmian.

Zagrożenia społeczne i polityczne

Pierwsza rewolucja technologiczna była nieuchronna; zmieniła cywilizacyjnie społeczeństwo europejskie. Groźniejsze skutki przyniosła druga rewolucja przemysłowa, którą uosabia fabryka Forda z pierwszym seryjnie montowanym modelem Forda typu T.

Henry Ford, dziś nazywany ojcem nowoczesnej motoryzacji, założyciel Ford Motor Company, był często krytykowany za łamanie zasad i niehumanitarne dążenie do osiągnięcia zysku. Wbrew czasom, w których żył, położył nacisk na produkcję niedrogich samochodów na masową skalę i dzięki wprowadzeniu taśmy montażowej oraz produkcji tylko jednego modelu samochodu zredukował cenę, tworząc produkt, na który stać było każdego, kto miał pracę. W ten sposób szybko pokonał konkurencję. Ale usprawniając produkcję, wprowadził nowy system pracy, który wywołał powszechne oburzenie. Robotnicy w jego fabryce pracowali jak maszyny: wykonywali jedną, niezmienną, prostą czynność, której tempo podyktowane było szybkością przesuwania się przedmiotów na taśmie montażowej. Krytykom

umknęło, że ten odhumanizowany system pracy Ford rekompensował pracownikom wysokimi pensjami. Ford nie wiedział jednak, że pieniądze nie zrekompensują frustracji.

Kolejne rewolucje społeczne, pierwsza i druga wojna światowa – to konsekwencje drugiej rewolucji przemysłowej. Wojny o zagospodarowanie nowych przestrzeni, surowców i centrów przemysłowych stały się sposobem funkcjonowania systemów totalitarnych. A nowe linie służyły produkcji czołgów, samolotów i uzbrojenia. W dłuższej perspektywie doprowadziło to do największych zmian ekologicznych i klimatycznych, z czym mamy ciągle do czynienia, i z czym do dziś nie umiemy się uporać.

Rewolucja naukowo-technologiczna

Kolejną rewolucję zapoczątkował pierwszy amerykański komputer ENIAC (od *Electronic Numerical Integrator And Computer* – Elektroniczny, Numeryczny Integrator i Komputer), skonstruowany w latach 1943-1945 przez J. P. Eckerta i J. W. Mauchly'ego na Uniwersytecie Pensylwania. ENIAC jest uznawany za rozwiązanie przełomowe. Konsekwencje tej rewolucji do dzisiaj trudno jeszcze do końca ocenić. Przez dziesiątki lat była areną konfrontacji dwóch wielkich potęg militarnych – ZSRR i USA.



ZSRR rozpadł się nie dlatego, że prezydent Reagan i papież Jan Paweł II zmusili przywódców ZSRR do uległości, ale dlatego że **ZSRR nie potrafił przenieść swojego dorobku naukowego i innowacji z przemysłu zbrojeniowego do gospodarki cywilnej** oraz życia społecznego. To w ostatecznym rachunku, w tamtych czasach, doprowadziło do zakończenia „zimnej wojny” pomiędzy mocarstwami. Poza działaniami politycznymi wygrała podstawowa strategia Stanów Zjednoczonych, polegająca na budowaniu przewagi konkurencyjnej nad resztą świata w obszarze nauki i innowacji.

Poza aspektem politycznym, największe zmiany, jakie spowodowała rewolucja naukowo-technologiczna, to zmiany społeczne. I to nie w sferze czysto gospodarczej, ale przede wszystkim w sferze relacji każdego człowieka z jego otoczeniem. Internet spowodował tak głębokie zmiany, że – jak oceniają niektórzy socjologowie i politycy – zagraża on naszej demokracji. Ale to jest wątpliwa teza.

Próby ograniczenia dostępu do Internetu są charakterystyczne dla grupy takich państw, jak Korea Północna, Chiny, Rosja czy ostatnio Turcja. Jest jednak faktem, że również na Zachodzie społeczeństwo często nie potrafi określić, co jest prawdą, a co fikcją. Ludzie czują, że są traktowani instrumentalnie. Grupy interesów – i politycznych, i gospodarczych – kreują rzeczywistość na swoje bieżące potrzeby. Powstała polityka „postprawdy”. Nieważne jak jest, ale jak to wygląda. Liczy się „prawda” emocjonalna, a nie stan faktyczny.

Kino komentuje rewolucje

Pierwszeństwo historyczne i artystyczne w filmowym dokumentowaniu relacji społecznych w obliczu innowacji

technicznych należy się kilku (dostępnym w internecie) scenom z ostatniego niemieckiego filmu Charliego Chaplina „**Dzisiejsze czasy** (*Modern Times*)”. Na zdjęciu – kadr z tego filmu.

Warto też obejrzeć film „**Fakty i akty, czyli kto merda ogonem**” z 1997 roku. Przed kolejnymi wyborami prezydenckimi, doradca polityczny (Robert De Niro) i producent filmowy (Dustin Hoffman) fabrykują wojnę w Albanii, by odwrócić uwagę opinii publicznej od skandalu seksualnego z udziałem prezydenta USA. Wojny prawdziwe, hybrydowe i te w przestrzeni wirtualnej stały się codziennością. A my nie umiemy tego jednoznacznie oceniać, nie potrafimy jasno zdefiniować zagrożeń.

W kontekście ostatnich wyborów prezydenckich w USA widać, jak bardzo zmieniły się zachowania wyborców pod wpływem mediów oraz Internetu. Koncerny medialne i politycy budują rzeczywistość prawie tak, jak chciał Elliot Carver w filmie „**Jutro nie umiera nigdy**”. Współczesnym światem „rządzi” Internet i nowoczesne sposoby przekazywania informacji. Komputery przejmują kontrolę nad ludzkim życiem. Technika inwigiluje, podsłuchuje, śledzi. Jest wszechobecna i niebezpieczna, „ma oczy i uszy”. Dzisiaj korzystanie z niektórych nowoczesnych sprzętów może być trudne i kłopotliwe. Technofobia wydaje się być lękiem całkowicie uzasadnionym.

SIT-com

Cztery rewolucje przemysłowe przyniosły z sobą ogromne zmiany gospodarcze, społeczne i polityczne. Rewolucja technologiczna spowodowała również zmiany struktury zatrudnienia, potrzeb rynku pracy i przewartościowanie w samocenie każdego z nas. Powstała ogromna

grupa społeczna, którą można określić jako „**Samotny Inteligentny Tłum**” (SIT-com). W procesie transformacji gospodarczej pozostawiono rozwój społeczny, podobnie jak gospodarke, w liberalnej formule wolnorynkowej.

Czym jest, jaki jest i jak funkcjonuje samotny inteligentny tłum? Termin „inteligentny” należy tu rozumieć bez dosłowności i podchodzić do niego z dużą ostrożnością. W większości przypadków tłum uważa się za „smart” tylko dlatego, że ma w kieszeni smartfona. Tłum jest osamotniony i bardzo podatny na emocje. Jest tylko tłumem, a jeszcze nie społeczeństwem, często ulega wpływom i łatwo nim sterować. Jeżeli mamy rozmawiać o wzroście innowacyjności społecznej, to bez modyfikacji postawy tłumy procesy budowania nowoczesnego społeczeństwa będą niemożliwe. „Inteligentny tłum” – to mądrość zbiorowa, tzw. ludowa. Tworzenie się takiego tłumy wynika z nowych możliwości technologicznych bez głębszej refleksji nad skutkami ich wykorzystania.

Dzisiaj potrzebujemy nowoczesnego społeczeństwa, świadomego swoich celów, wykorzystującego technologie jako narzędzie do integracji kulturowej i budowania swojej tożsamości. Inteligencja grupy (albo grupowa) powstaje w wyniku współpracy i współzawodnictwa pomiędzy wieloma jednostkami. Zamiast tego mamy samotny inteligentny tłum. A przecież innowacje technologiczne są naturalnym procesem rozwoju; za nimi muszą iść innowacje społeczne w naszych zachowaniach. Albo będą to zmiany ewolucyjne, albo rewolucyjne, jak w przypadku energetyki i górnictwa. To co obserwujemy obecnie jest sytuacją naturalnego procesu zmian.

Budujemy społeczną akceptację dla innowacji

Za napięcia społeczne nie należy winić nowych technologii. Współczesne badania społeczne biorą już pod uwagę wpływ Facebooka, Twittera i LinkedIn na zmiany zachowań społecznych. Dzisiaj technologia zabiera miejsca pracy, ale równocześnie tworzy nowe, wymagające wiedzy specjalistycznej i wysokich kompetencji. Nauki ekonomiczne powinny na nowo przemyśleć sposób, w jaki zarządzana jest obecnie gospodarka. Dzisiaj firmy inwestują głównie w innowacje zwiększające produktywność. W efekcie pojawia się zjawisko bezrobocia technologicznego, a społeczeństwo jest osamotnione i zagubione.

Zmieniają się zachowania społeczne. Dla twórców innowacji technologicznych powszechnym zawołaniem jest „**Internet dla rzeczy**” ale prawdziwym paradygmatem rozwoju współczesnego świata powinien być „**Internet dla ludzi**”. Oba hasła nie pozostają w sprzeczności, ale trzeba je wyraźnie rozróżnić. Potrzebne są nowe programy rozwoju, edukacji i pracy. Socjologowie i media powinni budować nowoczesne postawy społeczne, kształto-

wać i zmieniać tłum. Bo jednostka w tłumie czuje się osamotniona, a to w dłuższej perspektywie może przynieść skutki nieprzewidywalne. Zaskakujące jest to, że dzisiaj na rynku nie brakuje kapitału. Brakuje natomiast bodźców zachęcających do długofalowych inwestycji w rozwój potencjalnych, przełomowych technologii. 100 lat temu takim wynalazkiem był samochód z silnikiem spalinowym, a pod koniec XX w. telefonia komórkowa, Internet i samochody elektryczne.

Innowacje społeczne to nowe działania, mające na celu polepszenie jakości życia jednostek, narodów i całej ludzkości. Nowość może wynikać z wprowadzania unikalnych rozwiązań, ale także z faktu wdrożenia już znanego rozwiązania, występującego w nowym kontekście. Za innowacją społeczną uznaje się również popularyzowanie oraz upowszechnianie zmian innowacyjnych. Innowacje społeczne to – jak się często definiuje – „rozwiązania, które równocześnie odpowiadają na zapotrzebowanie społeczne jak i powodują trwałą zmianę w danych grupach społecznych. Te rozwiązania mogą wiązać się z innowacyjnymi produktami, usługami bądź procesami, które umożliwiają odmienne rozwiązywanie typowych problemów”.

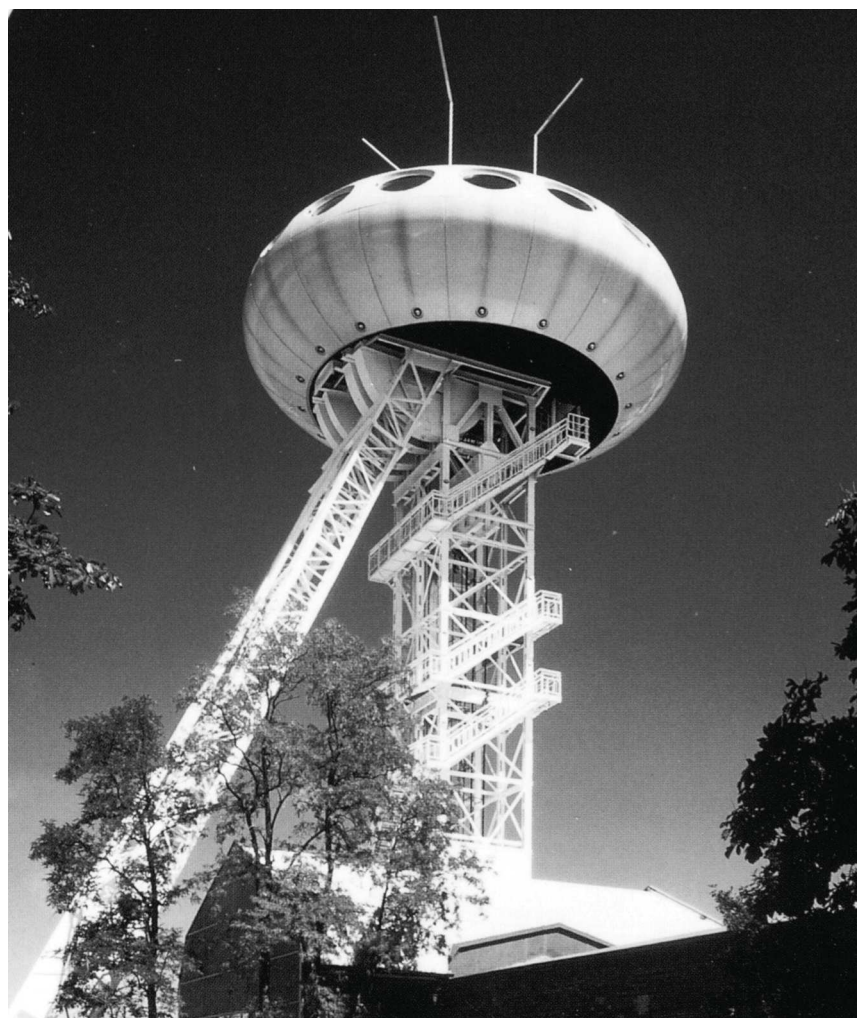
Warto podkreślić, że także wiele innych definicji ściśle wiąże innowacje społeczne z rozwiązywaniem problemów społecznych. Przy innowacjach społecznych kluczowe staje się więc rozpoznanie problemów i dedykowanie im programów, pozwalających na zmiany o charakterze trwałym. Jako ilustrację innowacyjnego podejścia do tradycji – prezentuję zdjęcie dawnej wieży wyciągowej, przebudowanej na punkt widokowy i pracownię architektoniczną (park przemysłowy w Zagłębiu Ruhry).

Permanentna niepewność

Wyzwania współczesnej rewolucji przemysłowej wymuszają zmianę sposobów kształcenia już od początku szkoły podstawowej. Sytuacja jest tym trudniejsza, że jesteśmy świadkami niespotykanych dotychczas zmian gospodarczych, społecznych i politycznych, obejmujących cały współczesny świat. Zmiany te wynikają z nowych technologii, które stworzyły „globalną wioskę”.

Konsekwencją zmian technologicznych są nowe problemy społeczne i brak możliwości adaptacji jednostek do szybko zmieniającego się świata. Powszechne staje się poczucie zagrożenia, nieprzewidywalności naszych losów i braku stabilizacji. Dotyczy to wszystkich płaszczyzn funkcjonowania – jednostek, społeczeństw, państw i całych cywilizacji.

Zasadniczą przesłanką naszego funkcjonowania staje się **niepewność**. W sposób szczególny dotyczy to początków edukacji i kształtowania osobowości każdego z nas. Permanentny stan niepewności prowadzi w konsekwencji do permanentnego stresu, którego skutki będziemy odczuwać



przez całe życie. Niepewność budzi także reakcje autodestrukcyjne (nieodrobione lekcje, świadomość swojej niewiedzy, obawa o akceptację grupy rówieśniczej, rodziców, czy nauczycieli). Konsekwencje niepewności i stresu z nią związanego przenoszą się na całe późniejsze dorosłe życie. Rewolucja technologiczna doprowadziła do zwielokrotnienia liczby wymiarów pojęcia „niepewność”. Miarą tej niepewności jest stopień globalizacji. Z pozycji jednostki w społeczeństwie nie potrafimy sobie poradzić ze stresem, wynikającym z niepewności naszej sytuacji.

Kształcenie dla innowacji

Niepewność na gruncie gospodarczym to brak inwestycji bezpośrednich, lokowanie kapitału w „pewne” walory, nawet kosztem zysków, ale zmniejszające ryzyko. Konsekwencje tych postaw widać w naszym PKB. Niepewność to również efekt braku przygotowania i wykształcenia. Poddawani wpływowi przekazu informacji przez telewizję lub Internet nie jesteśmy w stanie w sposób racjonalny ocenić, co jest prawdą, postprawdą, albo tylko wypowiedzią uprawdopodobnioną. Stąd tak ważny jest nowy model kształcenia, oparty na kreatywności, zdolności do samodzielnej oceny i wyciągania racjonalnych wniosków.

We współczesnym świecie, w sytuacji, gdy ilość informacji do przyswojenia jest

coraz większa, a czasu na jej przyswojenie coraz mniej, trzeba szukać takich metod i sposobów nauczania, które bazować będą na intuicji i naturalnym rozwoju psychicznym oraz pozwolą na wykorzystanie myślenia kojarzeniowego, czyli przyczynowo-skutkowego, a nie odtwórczego. **Istotniejsze stają się umiejętności znalezienia informacji niż posiadanie tych informacji.**

Podobnie jest z wiedzą. Można ją gromadzić, ale pod warunkiem, że jesteśmy ją w stanie odnaleźć i wykorzystać. W sytuacji gdy cała dostępna wiedza podwaja się co dwa lata, istotniejsze stają się możliwości efektywnego pozyskiwania oraz analizowania wiedzy dostępnej w rozległej sieci teleinformatycznej. To również jest warunek konieczny ograniczenia wykluczenia cyfrowego.

Wprowadzana aktualnie reforma szkolnictwa powinna obejmować nie tylko organizację kształcenia i zdefiniowanie podstawy programowej. Równie ważne jest nowe podejście do współczesnych zagrożeń, stanu opisywanej niepewności, wpływu stresu oraz wyzwań Czwartej Rewolucji Przemysłowej.

Dr Paweł Podsiadło jest wiceprezesa ds. Informatyki i Innowacji Parku Naukowo-Technologicznego Euro-Centrum w Katowicach



Pracownia hodowli komórkowej w Centrum Onkologii w Gliwicach. Przy pracy mgr Katarzyna Kujawa, doktorantka zatrudniona w projekcie CELONKO.

Śląska onkologia jako nauka stosowana

KATARZYNA LISOWSKA

Od dwóch lat dużo się słyszy o tym, że polski rząd stawia na innowacyjność. Że chcemy uciec z tzw. pułapki średniego rozwoju i przestać być tylko montownią podzespołów zaprojektowanych na Zachodzie. Taka zmiana priorytetów bardzo cieszy, szczególnie na Śląsku, bo tu najbardziej potrzebne jest „nowe rozdanie”, które pozwoli przeformułować dawną strukturę gospodarczo-ekonomiczną w regionie. Nie chodzi oczywiście o całkowitą dekarbonizację, jak to proponują niektórzy radykałowie. Raczej o rozwój czystych technologii węglowych i o uzupełnienie śląskiego portfolio o inne nowoczesne technologie, m.in. z branży technologii informacyjnych czy medycznych. Bo w medycynie rozgrywa się teraz niemal rewolucja technologiczna, a my w niej uczestniczymy i to nie tylko jako pacjenci, ale jako twórcy nowych metod i procedur leczniczych.

Tu są pomysły i zastosowania

Jeśli ktoś zaczyna się zastanawiać, gdzie szukać innowacyjnych pomysłów i od czego zacząć – odpowiedź może być

zaskakująca: pomysłów nie trzeba daleko szukać, bo one już tu są! Trzeba je tylko wspierać (również finansowo), promować i nie przeszkadzać się rozwijać. Mamy przecież na Śląsku instytuty medyczne i uczelnie techniczne, które realizują nowoczesne projekty badawcze i wdrożeniowe mimo często niesprzyjających okoliczności. Z własnego doświadczenia zawodowego podam teraz przykłady nowatorskich działań, podejmowanych przez Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie we współpracy z Politechniką Śląską.

W Centrum Onkologii od zarania jego istnienia, oprócz kliniki, zawsze był także dział naukowy. W 1946 roku powołano w Gliwicach Państwowy Instytut Przeciwrakowy, a już po roku powstał w nim Zakład Biopatologii Raka, który przez kolejne lata rozwijał się, rozrastał i przekształcał. Wiek XXI – to już trzy zakłady, zajmujące się badaniami podstawowymi w dziedzinie biologii molekularnej, biologii nowotworów i radiobiologii. Dzisiaj w Instytucie dział badawczy nosi nazwę – Centrum Badań Translacyjnych i Biologii Molekularnej Nowotworów. Nazwa oddaje ducha czasów i trendy, które przyszyły wraz z naszym

przystąpieniem do Unii Europejskiej: silna promocja badań ukierunkowanych na wdrożenie rozwiązań bezpośrednio przydatnych w leczeniu pacjenta.

Przykład pierwszy – Tango

Dziś zespół naukowy Instytutu prowadzi zarówno wysoce oryginalne badania podstawowe, jak i te „translacyjne”, realizowane we współpracy z lekarzami. Jednym z oryginalnych gliwickich osiągnięć jest stworzenie testu molekularnego, który pozwala wykrywać nawrót nowotworu, zanim pojawią się widoczne objawy. Dotyczy to pacjentów chorych na raka regionu głowy i szyi, u których występuje wirus HPV. Test molekularny pozwala śledzić, jak wirus znika w trakcie skutecznego leczenia i jak pojawia się ponownie u tych chorych, u których choroba za chwilę znów się ujawni. Jednak dzięki dodatniemu wynikowi testu molekularnego lekarze mogą wcześniej podjąć leczenie wznowy, co wpływa na znacznie lepsze wyniki terapii.

Ten test został opracowany i jest przygotowywany do komercyjnego wdrożenia dzięki dofinansowaniu otrzymanemu w ramach konkursu o wdzięcznej nazwie Tango. Jako że do tanga trzeba dwojga, dwie instytucje oceniają wnioski badawcze złożone w tym konkursie – Narodowe Centrum Nauki, odpowiedzialne za tzw. badania podstawowe i Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, które z definicji finansuje właśnie projekty o charakterze wdrożeniowym. Jak napisano w komentarzu do rozstrzygnięcia konkursu Tango – „prawdziwie innowacyjna gospodarka ma swoje korzenie w nauce, w badaniach, które często wcale nie są prowadzone z myślą o komercyjnym zastosowaniu, ale **przez rozwijanie naszej wiedzy stwarzają nieznane dotąd możliwości**”.

To jest właśnie myśl, która powinna stać towarzyszyć wszystkim promotorom idei innowacyjnej gospodarki. Aby taką gospodarkę rozwijać, nie można postawić wyłącznie na badania „translacyjne” i przekreślić badań „podstawowych”, które – pozornie – służą tylko zaspokajaniu naukowej ciekawości, czy bardziej górnolotnie mówiąc: poszukiwaniu prawdy. Takie badania też muszą być finansowane, bo to one leżą u podstawy późniejszych innowacyjnych rozwiązań. Z perspektywy lat swojej pracy mogę też powiedzieć, że – niezmiennie – najlepszym motorem napędowym nauki jest ludzka bezinteresowna... ciekawość. Nie da się robić nauki „z rozdzielnika”, tak samo raczej trudno o innowacje na zamówienie.

Przykład drugi – Celonko

Drugi wdrożeniowy projekt, realizowany w gliwickim Instytucie Onkologii przy wieloosrodkowej współpracy, nosi kryptonim CELONKO. Liderem projektu jest polska firma farmaceutyczna – Celon Pharma, z siedzibą w Łomian-



kach pod Warszawą. Firma ta opracowała związek chemiczny, który hamuje działanie czynnika wzrostu fibroblastów (FGFR) – jednego z białek, które stymulują wzrost i mnożenie się komórek raka. Inhibitor FGFR to potencjalny lek w walce z nowotworami płuca, żołądka, pęcherza moczowego, a być może także innych nowotworów. Gliwicki ośrodek wraz z zespołem z Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego testuje skuteczność tego związku w warunkach laboratoryjnych i prowadzi poszukiwania biomarkerów, które pozwolą ocenić, czy pacjent zareaguje na pewien rodzaj terapii, czy będzie na nią odporny.

Z kolei warszawska centrala Instytutu Onkologii, we współpracy z Wojskowym Instytutem Medycznym oraz Instytutem Gruźlicy i Chorób Płuc będzie prowadzić badania kliniczne nowego leku z udziałem pierwszych pacjentów. Na tym etapie polska myśl innowacyjna zderzy się z aparatem administracyjnym niedoświadczającym jeszcze takich wyzwań. Mamy nadzieję, że uzyskanie wszystkich wymaganych pozwoleń będzie trwało tylko tyle, ile to konieczne. To jest kolejny punkt, w którym potrzebujemy systemowego wsparcia dla innowacyjnych projektów, bo inaczej, walcząc z administracyjnymi przeszkodami, trudno będzie się nam ścierać ze światową czołówką wynalazczości.

Wejście do ekstraklasy

Co ciekawe, właśnie w czasie przygotowań formalno-prawnych do testowania leku w klinice okazało się, że dotąd w Polsce nie było jeszcze badań pierwszej fazy nad nowym polskim lekiem przeciwnowotworowym! Badania kliniczne, których bardzo wiele toczy się obecnie w polskich szpitalach, to badania nowych leków, opracowanych przez zagraniczne koncerny farmaceutyczne i przeprowadzane na ich zlecenie. Na tym między innymi polega pułapka średniego rozwoju, w której tkwimy: „know how” pochodzi w większości z zagranicy, a my jesteśmy głównie rynkiem zbytu. Nowe leki testujemy na naszych pacjentach w naszych klinikach, ale tych nowych leków nie projektujemy.

Teraz jednak wchodzimy na najwyższą orbitę: badamy i chcemy wdrażać polskie wynalazki medyczne! Aby móc osiągać liczące się zyski, to my – Polacy – musimy być autorami innowacji i sprzedawać je innym. Według danych Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego wartość światowego rynku leków biologicznych, a do tej kategorii zalicza się inhibitor FGFR, opracowany przez Celon Pharma, systematycznie rośnie i zbliża się do 200 miliardów dolarów rocznie. Największy udział w tym rynku mają Stany Zjednoczone (48%), Unia Europejska (22%) i Japonia (9%). Jak widać, jest więc o co się bić, chociaż z drugiej strony trzeba pamiętać, że sukces w branży biomedycznej nie jest gwarantowany – nie każdy obiecujący preparat



Fot. Andrzej Pieczyrak

Grupa Biologii Nowotworów i Markerów Molekularnych. Druga z prawej – prof. Katarzyna Lisowska.

okaże się skutecznym lekiem i przyniesie spodziewane korzyści.

Biolodzy z inżynierami

Warto przy okazji wspomnieć o nowej gałęzi nauki, jaką jest bioinformatyka, która rozwija się w Gliwicach dzięki współpracy Instytutu Onkologii i Politechniki Śląskiej. Postęp technologiczny sprawia, że w naukach biologiczno-medycznych królują w ostatnich latach tzw. wysokoprzepustowe metody badawcze, takie jak genomika, proteomika czy metabolomika. Wszystkie te „omiki” oznaczają globalne badanie aktywności wszystkich genów w komórce naraz, wykrywanie wszystkich białek, czy wszystkich metabolitów jednocześnie.

Takie badania, służące porównaniu komórek zdrowych i komórek patologicznych, mają na celu poszukiwanie molekularnego podłoża choroby. Jednak o ile kiedyś biolog badał zwykle jeden, bądź najwyższej kilka genów czy białek naraz, wynik takiej analizy był oczywisty i możliwy do odczytania „gołym” okiem. Kiedy zaś metodami genomiki funkcjonalnej badamy efekty aktywności kilkudziesięciu tysięcy genów naraz i wynik odczytujemy za pomocą laserowego skanera, a potem przetwarzamy komputerowo do postaci tabeli, zawierającej kilkadziesiąt tysięcy wartości – tego ludzki umysł nie jest w stanie zinterpretować. I w takim stanie wyższej konieczności musiało dojść do mariażu między biologami a informatykami.

Współpraca ta z początku była trudna i trochę na zasadzie „prowadził ślepy kulawego”. Dziś jednak bez bioinformatyki trudno sobie wyobrazić nowoczesne badania nad rakiem i nad wieloma innymi procesami biologicznymi, z poszukiwaniami nowych leków włącznie. W mojej opinii, jest to dziedzina przyszłościowa, która powinna być intensywnie rozwijana. Jest to też nauka trudna, bo na „skrzyżowaniu” bardzo odmiennych dziedzin.

Biolog czy lekarz zna się na procesach zachodzących w żywej komórce, ale wyższej matematyki zwykle raczej nie ma „w małym palcu”. Z kolei informatyk potrafi te wszystkie „omiki” policzyć, ale dobrze by było, żeby też rozumiał, co liczy i po co. Dlatego cała nadzieja w młodych absolwentach bioinformatyki, którzy będą potrafili i jedno, i drugie.

To tylko pojedyncze przykłady, które jasno pokazują, że w naszym regionie mamy potencjał, który może być z powodzeniem wykorzystany w ramach Programu dla Śląska, ogłoszonego w grudniu przez premiera. Przyznam się, że naprawdę liczę na to, że śląskie ośrodki naukowe skorzystają na tym nowym Programie, a Śląsk skorzysta dzięki jego efektom. To jest do zrobienia, jednak wydaje się, że najpierw trzeba w ten potencjał trochę zainwestować.

Gdybym miała podpowiedzieć decydentom, jak zwiększyć szanse na sukces, to wskazałabym, że po drastycznych reformach nauki z lat 2010-11, które spowodowały redukcję kadr i podstawowego finansowania nauki, przyszedł czas na pewną korektę. Z pewnością najpilniejsze jest, aby zagwarantować młodym naukowcom perspektywę stabilnego zatrudnienia. Dziś dominuje u nas system zachodni – młodzi są utrzymywani na stipendiach doktoranckich lub zatrudniani z grantów, a gdy taki kontrakt się kończy po trzech czy czterech latach, muszą sobie szukać nowego „miejsca na ziemi”. Jednak nasze realia wciąż odbiegają od tych zachodnich, gdzie zarobki są nieporównywalnie wyższe i przeprowadzka w pogoni za pracą nie stanowi problemu. Sfrustrowani tą sytuacją i skuszeni perspektywą lepszego życia, młodzi wyjeżdżają za granicę i... budują potencjał naukowy innych krajów. Jeżeli więc chcemy mieć innowacyjną gospodarkę w Polsce, na Śląsku – musimy stworzyć mechanizmy, które pozwolą ich tutaj zatrzymać.

Dr hab. KATARZYNA LISOWSKA
jest pracownikiem naukowym
w Centrum Onkologii w Gliwicach



Z prof. dr. hab. inż. **ANDRZEJEM ŚWIERNIAKIEM**, bioinformatykiem z Politechniki Śląskiej, rozmawia **ANDRZEJ JARCZEWSKI**



Chaos na Galapagos?

– **Zacznijmy od sprawy najważniejszej: jaka dziś pogoda na... Galapagos?**

– Normalna. W miarę sucho, ciepło, stabilnie. Jak na równiku na Pacyfiku.

– **Właśnie powrócił Pan z konferencji naukowej, która odbyła się w styczniu 2018 w Ekwadorze. Dlaczego tak daleko?**

– Ekwador? Dla nas daleko, dla innych blisko. Koszty transportu niewiele dziś znaczą w budżecie takich imprez, a dla biednego kraju jest to jednak duża promocja i zauważalne dochody w pewnym sensie turystyczne. Śląskie uczelnie też starają się o organizację wielkich i małych, specjalistycznych wydarzeń. Dziś obowiązuje taki właśnie paradygmat w nauce: publikacje wyników i bezpośrednie spotkania badaczy, często bardzo inspirujące i motywujące. To była konferencja poświęcona nowym metodom w informatyce. Zjechało się też sporo bioinformatyków z całego świata.

– **Bioinformatyka to dość nowy termin. Użyła go prof. Katarzyna Li-**

sowska, która reprezentuje „bio-”. Co to oznacza z punktu widzenia „informatyki”? Oczywiście nie chodzi mi o definicję, bo to łatwo wyogłować. Raczej: jak to działa na Śląsku. Jak wygląda współpraca informatyków z biologami w dziedzinie onkologii.

– Ta współpraca rozpoczęła się w latach dziewięćdziesiątych, kiedy obie strony zrozumiały, że są sobie wzajemnie potrzebne. Biotechnologia generowała tak gigantyczne ilości danych, że nawet dla informatyki było to nie do ogarnięcia. Konieczne było podejście systemowe, tworzenie nowych metod i nowych algorytmów. To nie tylko my pomagamy biologom, ale właśnie ten ogrom danych dał nadzwyczajny impuls rozwojowy informatyce systemowej. Na początku nasza interdyscyplinarna współpraca szła dość opornie, bo obie strony mówiły innym językiem. Ta przeszkoda została nie od razu pokonana, ale dziś już nie mamy problemów komunikacyjnych. Weźmy taki czytnik mikroma-

ciery DNA, czy urządzenie do spektrometrycznej analizy białek. Nazwy mogą trochę onieśmielać, ale z punktu widzenia informatyki najważniejsze jest właśnie to, że są to generatory olbrzymiej ilości danych, a my musimy te dane przetworzyć w informacje potrzebne biologom i dalej – lekarzom onkologom w ich codziennej pracy. Możemy to sobie wyobrazić tak. Jeżeli nasz genom ma ok. 30.000 genów, a one się jeszcze przejawiają w różnych transkryptach i chcielibyśmy badać, co się dzieje z ich poziomem ekspresji, czyli tym wyznacznikiem siły oddziaływania różnych genów w różnych kombinacjach, mamy już do czynienia z taką liczbą danych, że ich ręczna czy wizualna obsługa jest w ogóle niemożliwa.

– **Nie tylko nazwy mogą onieśmielać. Zdjęcia tej kosmicznej aparatury są tak sterylne, że chyba nie nadają się do publikacji w „Śląsku”. Jakież klastry o mocy 120 teraflopów... Nie! Poproszę o zdjęcia z Galapagos. Wolę zółwia, bo takie**



stworzenie przynajmniej możemy dogonić własnymi myślami, a teraflopy...

– Zostawmy więc teraflopy, a zdjęciami w Ekwadorze wykonał profesor Krzysztof Fajarewicz, który również uczestniczył w tej konferencji i pozwala na ich cne wykorzystanie. Wracając do naszych spraw – nie tylko liczba danych ma znaczenie, ale i ich skomplikowanie, kompleksowość. Chodzi o to, że w naszej współpracy obie strony dostrzegają potrzebę myślenia systemowego, które przynajmniej w kształceniu biologów, a zwłaszcza lekarzy jest prawie nieobecne. Stąd potrzeba spojrzenia na te dane nie tylko pod kątem: co, gdzie i ile, ale: dlaczego i w którą stronę.

– „Dlaczego?”. **Podstawowe pytanie, główny problem medycyny: poszukiwanie związków między przyczyną a skutkiem. Jeżeli choroba jest skutkiem, to można tę chorobę wyliczyć, eliminując przyczyny. Rozumiam, że bioinformatyka stara się w tym pomóc?**

– Chciałaby pomóc, ale najpierw utrudniła w tym sensie, że pozwoliła wykryć coś, co jeszcze niedawno uchodziłoby za naukową herezję. Otóż zmienia się samo pojęcie „przyczyny”! To, co obserwujemy, co w ogóle możemy zaobserwować, wykryć, to już są skutki czegoś, czego nie jesteśmy w stanie dokładnie zbadać. Niewykluczone, że prawdziwe przyczyny są nieobserwowalne. I to nie dlatego, że nasze metody poznawcze są niedoskonałe, ale ze względu na naturę tych zjawisk. Gdy rozmawiamy z biologami czy lekarzami i słyszymy, że taka czy inna patologia ma swoją przyczynę w podwyższonym poziomie ekspresji genów, to mamy pewne wątpliwości. Badacz systemu szuka jakiegoś sygnału wejściowego, który powoduje zmianę stanu systemu i często okazuje się, że ten sygnał, uważany za wejściowy, jest w istocie tylko skutkiem działania czegoś jeszcze bardziej pierwotnego. W komórce dzieją się dziwne rzeczy, te same czynniki raz działają tak, raz inaczej. I to na poziomie niedostępnym nawet wyobraźni.

– **Łatwiej byłoby to nam zrozumieć, gdyby chodziło o zwykłe analizy krwi. Atak jakiegoś wirusa diagnozujemy poziomem łatwych do wykrycia przeciwciał.**

– Ale te przeciwciała nie są przyczyną choroby. To są współwystępujące symptomy procesów, zachodzących



w naszym organizmie. Podobnie gorączka przy grypie. Gdy mówimy o ekspresji genów, dochodzą kolejne niewiadome, czy też trudne do zinterpretowania aspekty. Jeżeli popatrzymy na mapę, która odzwierciedla stan ekspresji (w uproszczeniu: aktywności) tych genów, to zorientowanie się w całości tego, co się naprawdę dzieje, nie jest możliwe „na oko”. To jest właśnie robota dla bioinformatyka, który musi – podobnie jak przy analizie obrazu – znaleźć te główne trendy. Dziś dane z tzw. głębokiego sekwencjonowania, będącego przedmiotem głównych badań, można analizować już na dobrych laptopach, ale to by trwało lata. Dłużej niż życie pacjenta, dłużej niż życie badacza. Potrzebny jest klaster obliczeniowy o mocy naprawdę potężnej, a takim na Politechnice Śląskiej dysponujemy. Co ciekawe – podstawowym zadaniem tego superkomputera jest określenie – to może zabrzmieć dość dziwnie – określenie: czego szukać!

– **Akurat to da się zrozumieć. W badaniach kosmicznych też znajdujemy tylko to, czego szukamy. Rzadko coś innego.**

– Jeśli stwierdzimy, że taka, a nie inna grupa genów jest istotna dla któregoś z procesów, to już mamy punkt zaczepienia. Na przykład słynny gen BRCA1, charakterystyczny dla pewnych dziedzicznych zagrożeń nowotworowych. U członków danej rodziny szukamy tylko tego genu, a do tego wystarczy już dość proste badanie genomiczne, niemal standardowy test. Znależenie tzw. „markera” pozwala na wdrożenie odpowiedniej terapii, bo o współwystępującym rodzaju nowotworu wiemy, że jest (statystycznie)

wrażliwy na dany sposób leczenia. Na podobnej zasadzie działają tradycyjne badania krwi, np. test na cholesterol nie wykrywa cukru. Najważniejsze jest: „wiedzieć, czego szukać”. Do tego potrzebne są te klastry obliczeniowe, a później w szpitalnym laboratorium powinny być stosowane metody proste, szybkie i – na ile to możliwe – niezawodne.

– **Jak można by scharakteryzować obecny stan polskiej bioinformatyki?**

– Poruszamy się po terenie o podwyższonej względności. Innymi słowy – to zależy, co rozumiemy pod pojęciem „stan”. My uważamy, że kształcimy bardzo dobrych bioinformatyków i to potwierdzają inne ośrodki. Nasze publikacje są znane na świecie, wychodzą w najważniejszych pismach z listy filadelfijskiej, a to znaczy, że stale coś nowego mamy do powiedzenia. Nasi studenci wysyłani są na praktyki do najważniejszych centrów badawczych i często są proszeni o pozostanie, albo wręcz tam zostają.

– **No właśnie, tracimy specjalistów.**

– Ja tego bym tak nie ujmował. Owszem, niektórych tracimy, ale ogólny bilans jest dla polskiej nauki korzystny. Co więcej, na tym poziomie, o którym mówimy, a jest to najwyższy poziom światowy, nie może być ograniczeń w wyborze miejsca pracy i zamieszkania, zwłaszcza że są to parametry zmienne. Po zakończeniu pewnego cyklu badań wielu naszych absolwentów zamierza powrócić do kraju, jeżeli tylko pojawią się warunki do racjonalnego wykorzystania ich kwalifikacji.

– **Innymi słowy, skoro nie możemy ich zatrzymać, to musimy te wyjazdy... polubić?**

– I korzystać z faktu, że w najważniejszych dla nauki punktach świata pracują Polacy. Oni nie zapominają o swoim kraju. Często tu przyjeżdżają, a nawet zgadzają się na stałe etaty profesorskie na polskich uczelniach, choć laboratoria czy raczej centra badawcze mają za oceanem. Dzięki temu nawet na krok nie pozostajemy w tyle, przynajmniej pod względem teoretycznym. A jeśli uda się pozyskać sprzęt takiej klasy, jak nasz, możemy śmiało mówić, że w pewnych dziedzinach plasujemy się w czołówce. W nauce niezmiernie ważne są bezpośrednie kontakty i z tego korzystamy.

– **Pytanie, czy Polskę stać na kształcenie bioinformatyków, skoro muszą wyjeżdżać.**

– Po pierwsze stać, po drugie nie muszą. Mówiliśmy dotychczas o czystej nauce, ale większość bioinformatyków znajduje zatrudnienie w polskich centrach medycznych czy instytutach, które coraz poważniejsze środki inwestują może jeszcze nie w technologię biomedyczną, ale już w nowoczesny sprzęt diagnostyczny i terapeutyczny. Tam nie wystarczy laborant biolog czy chemik nawet z wyższym wykształceniem. Coraz więcej danych medycznych ma charakter cyfrowy i wymaga dalszego przetwarzania. Dotychczas dominowała tendencja, która nas tu w zasadzie cieszyła, bo instytuty, nie mając własnych specjalistów, zlecały większe obliczenia naszemu ośrodkowi, ale już widać, że nie tędy droga.

– **A czy istnieją inne obszary zastosowania bioinformatyki?**

– Oczywiście. Cała biotechnologia, wiele zagadnień ekologicznych, a na-

wet dotyczących warunków pracy człowieka. Do niedawna większość tego typu problemów obliczeniowych powierzano informatikom, ale szybko pojawiły się trudności, których zwykły inżynier, przyzwyczajony do konkretnych zadań i jasnych związków przyczynowo-skutkowych po prostu nie ogarnia. Nawiasem mówiąc, prawdopodobnie zbliża się moment znacznego zmniejszenia liczby dyscyplin naukowych, które będą rozwijane na uczelniach. Tak to na razie wynika z słów ministra Jarosława Gowina. Mają zniknąć nawet tak wielkie i ważne dyscypliny, jak automatyka, robotyka czy informatyka. One wszystkie mają się zmieścić – zgodnie z europejskim systemem OECD – w elektrotechnice. Ale za to w OECD pojawiają się aż trzy niezależne dyscypliny biotechnologiczne: biotechnologia przemysłowa, biotechnologia środowiskowa i biotechnologia medyczna. Już dziś widać, że w tych miejscach pojawiają się dotkliwe braki kadrowe. Ale na razie nie ma zapotrzebowania na fachowców, nie ma jeszcze etatów w tych dyscyplinach, bo ich tworzenie nie wynika z organicznych potrzeb, lecz z rozdzielnika.

– **Potrzeby się dorobi w razie potrzeby i na miarę potrzeb.**

– Nie, nie. Potrzeby są autentyczne. I damy sobie z tym radę, choć będzie to kosztować sporo pieniędzy i czasu. Musimy wiedzieć, kogo kształcimy i po co kształcimy. Przytoczę tu przykład jednego z naszych byłych doktorantów, Tomasza Stokowego, pracującego obecnie w Norwegii na dużym uniwersytecie w Bergen. Kiedy tam przyjechał po doktoracie, wygrał konkurs, został „postdokim”, czyli pracownikiem po doktoracie, kontynuującym pracę naukową

nad pewnym projektem. Ale co nam ostatnio powiedział: otóż okazało się, że tendencja, która występuje w tamtejszych laboratoriach jest taka, żeby biologów z tytułami, czyli owych „postdoków” właściwie zwalniać, że do obsługi tego, co jest tam badane, wystarczy dobry laborant medyczny czy biologiczny, natomiast potrzebni są informatycy. I mówi, że teraz już nie jest sam, bo na tym uniwersytecie utworzono cztery pracownie bioinformatyczne. To pokazuje kierunek zmian, wyznaczony realnymi potrzebami. Inny z moich dyplomantów, Krzysztof Wabnik, jest teraz kierownikiem pracowni w San Diego w Kalifornii (doktorat robił w Belgii). Z kolei Paweł Paszek, nasz kolejny dyplomant, współpracował z profesorem Markiem Kimmlem, który już w latach osiemdziesiątych wyjechał z Gliwic do Houston i tam na Rice University zrobił doktorat ze ścieżek sygnałowych, czyli zajmował się tym, o czym już mówiliśmy: poszukiwał przyczyn. To jest zresztą przykład utrzymywania dobrych kontaktów naukowych, bo prof. Kimmel wykłada również na Politechnice Śląskiej. A znów Paweł Paszek po doktoracie w Houston znalazł świetne stanowisko w Wielkiej Brytanii, ma ileś tam bardzo silnych publikacji, co znaczy, że liczy się w nauce światowej. I widzi swoją przyszłość w Polsce. Nawet kończy obecnie u nas habilitację, która nawiasem mówiąc do niczego mu w Anglii nie jest potrzebna.

– **To ciekawe. Tak się nie mówi w Polsce o wyjazdach naukowych. O „drenażu mózgow” słychać na każdym kroku.**

– Mówię o zjawisku globalnym. To jasne, że Ameryka przyciąga, ale nie na zawsze i nie zawsze ze szkodą dla krajów biedniejszych. Taki przeżyjemy etap. To może się zmienić już w następnym pokoleniu. Dziś nie ma bioinformatyki polskiej ani amerykańskiej. Jest światowa. Nasi absolwenci wygrywają w konkurencji naukowej i wspierają rozwój swoich dyscyplin w Polsce. Jeśli u nas będą dla nich miejsca pracy – w dużej części wrócą. Ale wrócą z największych laboratoriów, jakie istnieją. Oni już bardzo dużo wnoszą swoją wiedzą i doświadczeniem, którego nie można zdobyć na dwumiesięcznej praktyce. Trzeba ładnych kilka lat uczestniczyć w rozwiązywaniu wielkich problemów. Co więcej – ci, którzy wyjechali, przysyłają do nas



swoich studentów, żeby oni się u nas uczyli. Jeżeli coś takiego ma miejsce, to znaczy, że również w Polsce istnieją punkty o najwyższej naukowej renomie.

– **Kolejny związek między przyczyną a skutkiem. Okazuje się, że skutki bywają nieprzewidywalne.**

– To jest problem bardziej filozoficzny niż naukowy. Jestem skłonny uważać, że podstawowe prawa natury są w rzeczywistości bardzo proste...

– **... tak już mówił Einstein.**

– Jasne, ale mechanizmy, które służą realizacji tych praw są już bardzo skomplikowane. Poza tym, wcale nie wiemy, czy człowiek jest w ogóle zdolny owe proste prawa poznać. To może przekraczać najdoskonalszy intelekt, jaki kiedykolwiek wyda ludzkość wspomagana dowolnie wielkimi mocami obliczeniowymi. Na razie potrafimy rozeznaczyć tylko niektóre mechanizmy, choć to słowo nie jest najlepsze...

– **... powiało Newtonem.**

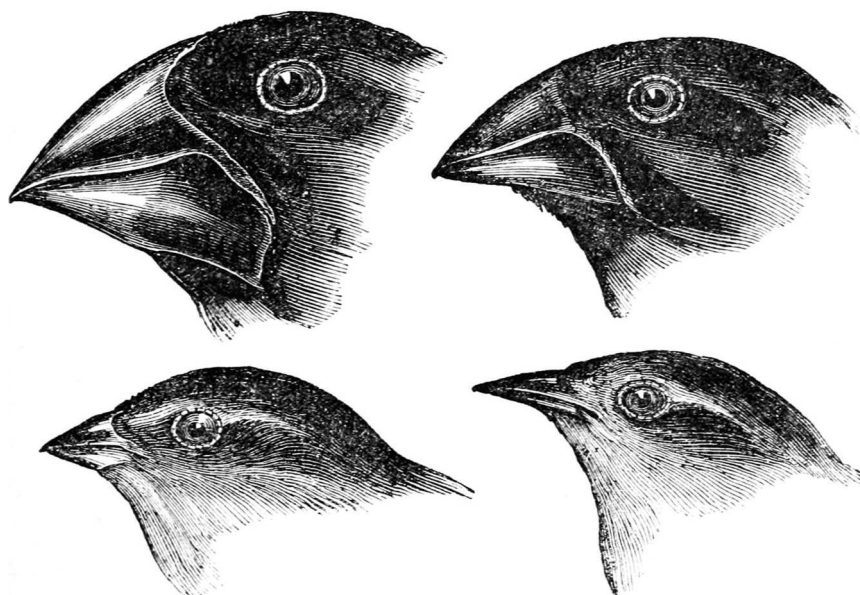
– Nasi koledzy, biolodzy, często się dziwią, że raz im wyszło tak, a raz inaczej, choć niczego nie zmieniali w pomiarach czy badaniach. Czasem jest to oczywiście błąd laboratoryjny lub błąd w przetworzeniu danych, co dałoby się wyeliminować w kolejnych próbach. Ale te różnice pojawiają się stale. A to już oznacza, że czegoś ważnego nie uwzględniamy. W gruncie rzeczy poznajemy tylko nieliczne egzemplifikacje czy obrazy tego, co naprawdę się dzieje. W tym sensie możemy zapytywać, czy mamy szansę oczekiwać, że kiedykolwiek odkryjemy niezawodny związek przyczynowo-skutkowy. Dziś, gdy weszliśmy już do wnętrza komórki, gdy sekwencjonujemy coś tak niewyobrażalnie małego i skomplikowanego, jak DNA, hmm...

– **... wygląda na to, że nie jesteśmy bliżej odpowiedzi niż Arystoteles.**

– Einstein zadał później pytanie, czy Pan Bóg gra w kości. I odpowiedział sam sobie, że Bóg nie musi (!) grać w kości. Poznaliśmy zjawisko chaosu deterministycznego, czegoś takiego, co wcale nie jest przypadkowe, ale efekty sprawiają wrażenie losowe. Matematyczny opis tego rodzaju zjawiska jest bardzo prosty. Ale czy świat jest chaosem deterministycznym? Tego nie wiemy.

– **Newton udzielił prostej odpowiedzi na proste pytanie.**

– A my wchodzimy w głąb genomu i nie wiemy, jak zadać pytanie. Bo geny nie działają niezależnie. Wszyst-



Zięby Darwina

kie funkcjonują w pewnej sieci w każdej komórce. Istnieją geny odpowiedzialne za całą masę zdarzeń. Takim najbardziej znanym z tych genów jest P53; często się o nim mówi. Koduje białko o tej samej nazwie i nosi popularną nazwę „strażnika genomu”. Ale z tym genem powiązane są inne. I dopiero, gdy w szlaku sygnałowym, czyli w ciągu różnych genów, i to nie w ciągu prostym, ale w pewnym sensie „poplątany”, z wewnętrznymi oddziaływaniami, dodatnimi i ujemnymi sprzężeniami zwrotnymi, no więc jeśli w tej ścieżce sygnałowej coś się popsuje...

– **... stop, stop, bo to się robi zbyt „poplątane”.**

– No dobrze. Wystarczy powiedzieć, że każdy łańcuch DNA ulega kilkudziesięciu tysiącom pęknięć dziennie. Nasz „strażnik” P53 nieustannie łąta dziury, ale gdy zmiany są zbyt istotne dla funkcjonowania komórki, „strażnik” sprowadza ją na drogę apoptozy czyli poprawnej, kontrolowanej śmierci samobójczej (na potrzeby społeczności komórkowej). Jeśli P53 się pomyli – zaczyna się proces nowotworowy. Jest co badać! Na razie nie ma takiego komputera, który by potrafił przeliczyć nawet drobną część możliwych „przyczyn” i powiązać je ze stwierdzonymi konsekwencjami.

– **Czuję w głowie lekki chaos. Wróćmy więc na Galapagos.**

– Dla każdego biologa systemowego najciekawsze są tam niepozorne ptaszki, zwane „ziębami Darwina”. Wyodrębniono bodaj 16 gatunków, różniących się tylko kształtem dzi-

ba. Wszystkie wywodzą się od tego samego przodka, który zawitał na Galapagos przed wiekami. Ale na różnych wyspach te zięby znajdowały różne pożywienie. Wygrzebaniu owadów, czy zdobyciu nasion roślin występujących na jednej wyspie sprzyjał większy dziób, a na innej mniejszy. I teraz włącza się nasz chaos, o którym nie wiemy, jaki ma charakter. Tak jak ludzie różnią się np. wzrostem, czy wielkością nosa, tak ptaki, nawet z tego samego gniazda, różnią się trochę pewnymi cechami, m.in. kształtem dzioba. Te osobniki, których dzioby pozwalały łatwiej zdobywać żywność na danej wyspie, osiągały na tej i tylko na tej wyspie większy sukces reprodukcyjny, a przez to przekazywały swoje cechy potomstwu. W ten sposób poszczególne rodziny kolonizowały odpowiadające ich dziobom nisze ekologiczne i coraz rzadziej próbowały szukać szczęścia na „cudzych” wyspach. Po wielu pokoleniach różnice okazały się tak duże, że przyrodnicy stwierdzili, iż mamy do czynienia z różnymi gatunkami. Odnotowano też, że każdy typ dzioba sprzyja innej akustyce, więc każdy gatunek śpiewa już w inny sposób! Teraz proszę zwrócić uwagę: obserwujemy różne dzioby, wiemy, jakie ziarna jedzą poszczególne gatunki, domyślamy się, że jedno ma związek z drugim, ale wciąż nie wiemy, jak to się dzieje, że ludzie mają różne zęby i gęby, a zięby – sposoby i dzioby.

– **To ja chyba już podziękuję za rozmowę i idę szukać większych... zia-**



SU SHI

w parafrazach Mariana Kisiela

KRÓTKI WIERSZ

Ledwie tutaj dotarłem,
wiatr zadął i chlusnął deszcz.

Biedny tułacz, gdzie znajdę
przystań w nieznanym kraju?

Sięgnę po obłok na niebie,
nałożę go jak kapelusz.

Otulę siebie ziemią,
jak zwykłym podróżnym płaszczem.

WTÓRUJĘ WIERSZOWI PRZYJACIELA

Ciepły wiatr niespodzianie
zagrał na ziemi fujarce.

Księżyc upiększył niebo
narysowaną rzeką.

Ja, pielgrzym, jakże mógłbym
sprawić innym przyjemność?

Chwyćę się mocno wiatru,
księżyc pogładzę ręką.

W CZASIE PRZESILENIA ZIMOWEGO SPACERUJĘ WOKÓŁ ŚWIĄTYNI SZCZĘŚLIWYCH WRÓŻB

Na dnie studni małe słońce,
To się chowa, to znów błyszczący.

Siąpi z nieba chłodny deszczyk
Ogród opił się wilgocią.

Czy wśród ludzi jest ktoś taki,
Jak Mistrz Su, nasz Nauczyciel?

Do przyrody wpierw sam idzie,
Zanim przyjdzie doń przyroda.

ODPŁYNĘLIŚMY

Rankiem odpłynęliśmy,
W oddali słychać werble,

Na maszcie łopoce flaga,
Zachodni wiatr nią targa.

Rodzinna strzecha została
Gdzieś we mgłę, za nami, hen.

Mkniemy, nie bacząc, że potok
Stał się bezmierną rzeką.

Koryto domowej rzeki
Zniknęło nam już z oczu.

A wody nieznannej rzeki
Witają swą zimną tonią.

Kamienny Budda patrzy
Ze skał, jak mkniemy łodzią,

Bo już za dolinami
Przed nami przestwór, pustka.

Mijamy jakąś wioskę,
Stary mnich przy upuście,

Łowi ryby na wędkę,
Czeka na zachód słońca.

Machamy do niego ręką,
I on nam odpowiada,

I patrzy w ślad za nami,
A fale szumią, szumią...

PÓŁNOCNY PAWILON

Dom jest murem odgradzony
Od ogrodu.

Więc to prawda: ogród źródłem
Jest próżności.

Czy gdybyśmy nie otwarli
Pawilonu,

Też pachniałyby tak pięknie
Komuś kwiaty?

PATRZĘ Z ŁÓDKI NA GÓRY

Patrząc z łódki na góry,
są jak swawolne ogiery.

Mą łódkę mijają wartko
tabun o setkach głów.

Z przodu wyraźnie odkryte
skał gigantycznych zęby.

A z tyłu lekko pędzą
nieprzeliczeni zbiegowie.

Patrząc do góry: kręty szlak,
wysoki stok kamienisty.

Niespiesznie idzie człowiek,
ledwie widoczny w oddali.

Macham mu ręką, wołam,
lecz unosi mnie potok.

Jak wolny ptak, na południe
mkną moje samotne czółno.

PRZY OKNIE

U sąsiadów w ogrodzie
rosną białe topole.

Nocą się rozpadało
i szumią liście w deszczu.

Nie śpię, siedzę przy oknie
i całkiem byłbym sam,

Gdybyśmy towarzyszki
nie lgnęły do mej latarki.

WRACAJĄC NOCĄ PRZEZ JEZIORO XIHU

Ustał już deszcz nad Xihu.
Błyszczą lustro jeziora.

Przez jesień o trzy metry
Podniosło się lustro wody.

Przez burtę wychylony,
Patrząc w chłodne zwierciadło,

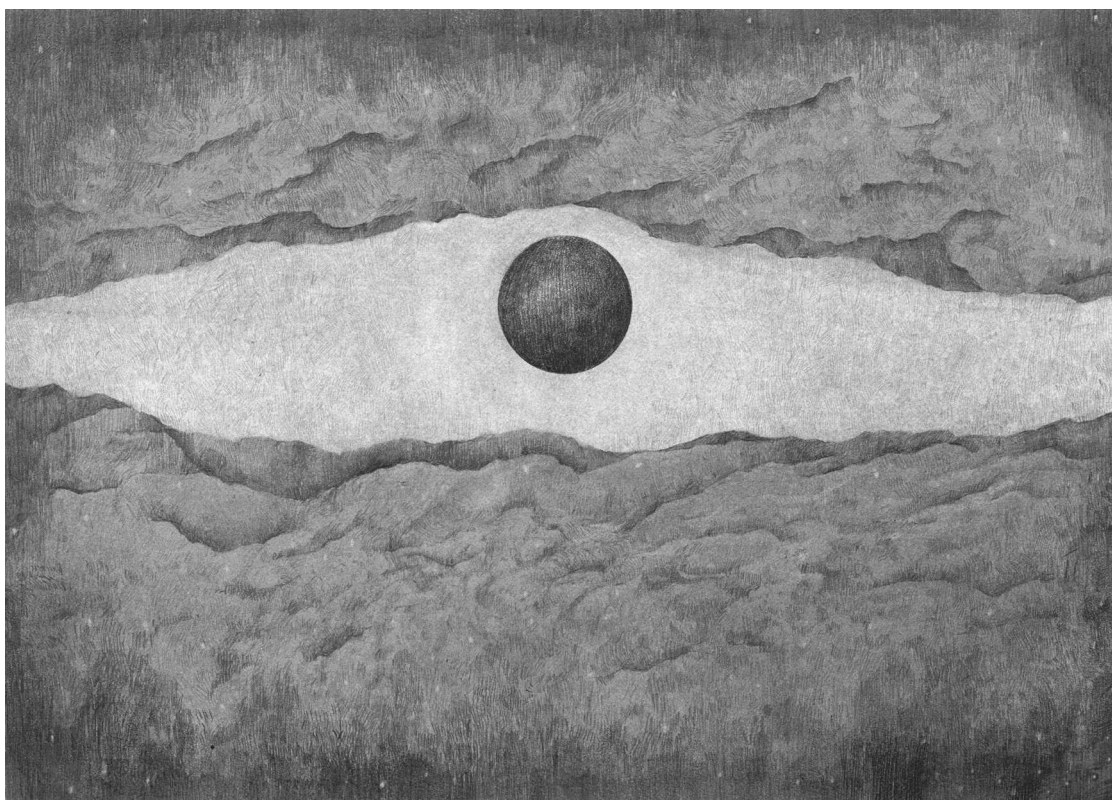
Widzę w nim starą twarz,
Kosmyki siwych włosów.

Z pijanej mojej głowy,
Przepaskę zrywa wiatr,

Wygania z rzeki fale,
I księżyc w nich nurkuje.

Kieruję się do domu,
Sam, pozbawiony trosk.

Niechaj me kruche czółno
Spokojnie płynie po falach.



Grafika: Anna Pawluszkiwicz

Anna Pawluszkiwicz, ur. 1994 r., pochodzi z Żywca. Absolwentka Liceum Plastycznego w Bielsku-Białej, aktualnie studentka IV roku grafiki warsztatowej na ASP w Katowicach. Zajmuje się głównie rysunkiem, malarstwem i grafiką, w wolnych chwilach również muzyką.

BIELOVODSKY HLUCHÁŇ, CZYLI TETROV NALOT

Ostatniej zimy – w której, jak co roku, udało się nam odwiedzić naszą ukochaną tatrzańską Dolinę Białej Wody – tym razem zdarzyła się nam przygódka, o której wspomnieć chcę osobno.

Już od leśniczego – „władcy” tej doliny, a naszego *kamaráta*, usłyszeliśmy przestrożę. Ponieważ nie wiedzieliśmy (jeszcze), co znaczą te dwa słowa, które on wypowiedział – **HLUCHÁŇ; TETROV** – szliśmy włąb doliny, nieświadomi grożącego nam niebezpieczeństwa. Doszliśmy na *taborisko*, rozstawiliśmy namioty i – w „corocznym uproszczeniu” – zalegliśmy w tej najpiękniejszej ciszy, jaka może być i jaka tam jest. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co nas czeka...

Jako że ja jeszcze ciągle nie mogę się wspinać – a ze względu na to, że z serca i z głowy mi to już na pewno nie uleci – więc w Tatrach teraz i jest, i nie jest mi łatwo. Dlatego też teraz „wiedziałem” rejon, w którym zawsze działaliśmy i „wiedziałem teren wspinaczkowy pod całkiem innym kątem”. Dlatego też, kiedy rano chłopaki poszli działać – a ja wybrałem się „zwiedzić” Polanę pod Wysoką, po raz tysiąc pięćset siedemdziesiąty czwarty. [W przybliżeniu...] Wyszedłem i za chwilę stałem w tym jednym z najpiękniejszych miejsc w Tatrach. Czyli, gdzie „nic nie ma – tylko te góry”... I gdzie wszystko trzeba też przytargać na własnych plecach. Czyli to, co odstrasza większość przyjeżdżających w Tatry. Dla nas – *na szczęście*... Władysław Cywiński pisał o Białej Wodzie, że to najpiękniejsza dolina na świecie. Cóż – jak już dawno o tym mówiłem – chętnie zgodziłbym się z tym jego zdaniem, gdybym „tylko” zobaczył wszystkie doliny na świecie... W każdym razie stojąc na Polanie pod Wysoką – wiedziałem już, że to zdanie do głowy musiało mu przyjść na pewno tutaj... Tam, gdzie jest to, co większość ludzi na szczęście nie przyciąga. Same góry.

Kiedy jednak zachciało mi się powędrować ciut dalej – ku *Pięknym Kamieniom* – głaziorom zatopionym w Białej Wodzie – już z początku polany zauważyłem, że **coś tam jest** i mało tego, jak gdyby na mnie czeka! Widziałem, że to jakiś ptak. Ale przecież, „ot, to tylko jakiś ptaszek” – więc poszłem chwilę na Polanie, porozglądałem się, pozachwycałem tym, co jest tam dookoła – i chciałem iść. Jednak, po zrobieniu kolejnych kilku kroków – zauważyłem, że ten ptaszek wcale nie ucieka, a nawet więcej – że on wychodzi na ścieżkę i staje naprzeciwko mnie!! Stawiałem kolejne kroki na ścieżce. A z każdym z nich – zbliżałem się coraz bardziej do tego ptaszka. Kiedy podchodziłem bliżej – rozpoznałem, że to (chyba, nie znam się za bardzo) głuźzec. Czy cietrzew? Albo coś w tym stylu...

Jako że język słowacki w miarę znam – wskoczyło mi do głowy wtedy wyjaśnienie, co znaczą te słowa, wypowiedziane wtedy do nas przez leśniczego. No tak! – *Widzę głuźzca. A słowo głuhy* – to po słowacku *hluchý*.

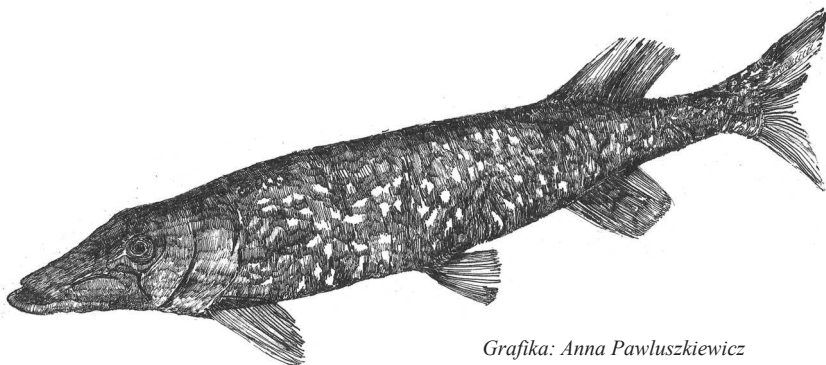
Więc tamto *Hlucháň* – to by się zgadzało – znaczy po słowacku *głuźzec*! A więc to *tetrov* – musi znaczyć *cietrzew*! Kiedy wróciłem do domu i sprawdziłem to sobie – moje przypuszczenia się potwierdziły. Niemniej jednak – wtedy nie chodziło o żadne przypuszczenia. Wtedy chodziło o to, żeby chociażby przejść na koniec Polany pod Wysoką...

Ponieważ widziałem, że moja obecność wcale tego głuźzca nie płoszy, a nawet wręcz przeciwnie – jest mną wyraźnie zainteresowany – zatrzymałem się i wyjąłem z kieszeni aparat fotograficzny. Włączyłem nagrywanie filmiku i, mając obiektyw skierowany w stronę głuźzca, zacząłem przesuwając się powoli w jego kierunku.

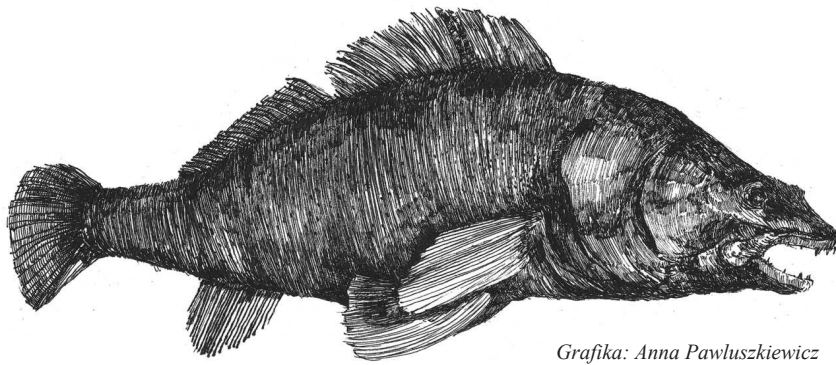
Stałem metr przed nim i trzymałem niezdarnie w jednej ręce aparat, zaś w drugiej wystawione w jego kierunku „kijki obronne”. Co ptaka zupełnie nie odstraszało. A on... – A ON NIC!!! Nie uciekał wcale. Mało tego – zaczął puszyć się i puszyć, coraz bardziej, jak gdyby zabierał się do zaatakowania mnie! Mnie, po kilku następnych krokach, coś jednak ciut zatrzymało. Nie byłem w stanie robić już kolejnych kroków. Stał sobie naprzeciwko mnie, na ścieżce, wąskiej, nie dającej szansy obejścia głuźzca z boku – i widać było, że stoszy pióra, „pompuje się”, puszy – że by pokazać mi, że to ja wkroczyłem na jego teren – a on zamierza go bronić!

Miałem ze sobą te kijki. Widząc ptaka, który nie chce i nie będzie chciał zejść mi z drogi, umożliwić przejście, a nawet wręcz przeciwnie – kijki jakoś tak same, w „in-

PIOTR MICHALSKI



Grafika: Anna Pawluskiewicz



Grafika: Anna Pawluskiewicz

stynktownym odruchu myśliwskim”, czy po prostu odruchu obronnym, same zawędrowały mi oba do jednej ręki i wysunęły się do przodu. Za chwilę stałem już tak że, gdybym dźgnął kijkiem gwałtownie przed siebie – musiałbym głuszcza trafić. A on – nic! *Ba!* – puszyl się jeszcze bardziej i puszył, choć wciąż przygotowany na aktywną obronę swojego terenu!

Kiedy zbliżyłem się jeszcze bardziej – on stanął już bezpośrednio przede mną – dzielił nas już tylko metr – i głuszc, taki napuszony, robił wszystko, co mógł, by „stanąć na drodze tej wysokiej przeszkodzie”, którą zamurowało przed nim... A „ta przeszkoda”, czyli ja – stałem, rzeczywiście usztywniony, z kijkami wystawionymi w jego stronę. I chciałem tylko przejść dalej! Ale się nie dało.

Narastało we mnie zdziwienie jego odwagą, [która w tym przypadku równa się głupocie...] tym buńczucznym „trwaniem na posterunku”, jego pozostawianiem w gotowości do ataku... I stałem tak, i stałem (niezbyt mądrze), i stałem – aż zacząłem... do tego *hlucháňa* mówić. Żeby nie miał problemu mnie zrozumieć – mówiłem po słowacku... Między innymi tak:

– *Sluchaj, hlucháňku – ja nie chcę Ci przeszkadzać, ani robić nic złego – ja tylko chciałbym przejść tą ścieżką, tam dalej! Proszę Cię, odsuń się w lewo, albo w prawo, na chwilę! Ja tylko sobie tam przejdę – a Ty dalej możesz sobie tu stać i dalej się tak puszyć!*

A on nic... Jak stanął, tak stał. Metr przede mną. Napuszony tak bardzo, jak tylko mógł. Pomyślałem więc, że machnę mu może tym *kijkiem* – niczym szabelką przed dziobem – może to go odstraszy. Ale gdzie tam! Nie odskoczył, nie ruszył się nawet! Stał tylko i stał. Pewnie, w jego przekonaniu, „prężąc mięśnie”. Machnąłem mu i drugi, i trzeci raz „przed nosem”. Pozostawał niezłomny. Jak Zawisza Czarny... Ja zacząłem mu też tłumaczyć, że mogę go uderzyć – a gdzieś czytałem, że to może zaboleć... Nie wiem, ale on chyba nie dotarł do tych źródeł – nie zapoznał się z tą wiedzą... *Ba!* On napierał na mnie coraz bardziej!

Musiało to wyglądać idiotycznie. Zwłaszcza, gdyby ktoś widział mnie, a nie widział małego głuszcza przede mną. „Jakiś gość stoi w Tatrach na ścieżce – i gada coś przed siebie i wymachuje kijkiem”...

Machałem już w lewo i w prawo. Aż przy którymś z kolei machnięciu – poczułem, że czubek kijka zahaczył o jego wciąż napierający dziób! Tak, trafiłem go! „Zadałem cios” napierającemu *hlucháňovi!* To znaczy – w razie, gdybym miał miecz z tego powodu sprawę w sądzie, wskażę od razu okoliczność łagodzącą, być może nawet wybawienie: działałem w obronie własnej...

W każdym razie na głuszcza podziałało to tak, że... kiedy go trafiłem, ten zerwał się do ucieczki! Poderwał się do lotu! Tak – zauważyłem wtedy głuszcza, odlatującego sprzed moich stóp! Mogłem stwierdzić wtedy, niczym „drapieżny samiec”: **wygrałem**... [To znaczy, jeśli już mam pozostawać w tej terminologii – owszem, wygrałem bitwę – ale nie doprowadziłem jej do jedynego słusznego w takim przypadku efektu – to znaczy nie zabiłem i nie zjadłem swej ofiary, swego napastnika...]

Kiedy wieczorem przyjaciele wrócili ze wspinania i opowiadaliśmy sobie o wydarzeniach z tego dnia – wśród moich pierwsze miejsce musiało oczywiście zająć przygoda z *hlucháňem*. A że w takich okolicznościach, kiedy opowiadamy sobie takie historie tam, gdzie wtedy byliśmy – a my jesteśmy tacy, ja-

cy jesteśmy – „w pobliżu naszych rąk” zawsze musi pojawić się jakiś alkohol – tak było i wtedy... Stopniowo zaczęliśmy rozwijać moją opowieść, wprowadzając do niej „wątki filmowe”. Z czasem – doszliśmy już do wizji kiedy to chłopaki wspinają się i wspinają – i wtem, zauważają, że nad głowami zaczyna krążyć jakieś wielkie stado ptaków! Krąży i krąży, kołując nad nimi coraz bliżej! Mało tego – wygląda, jakby zbierały się do ataku! I nagle, „niczym sępy”, formują się w szereg – i rozpoczynają atak!

A ponieważ w naszych żyłach płynął już ten „królewski eliksir” i nasz obraz świata robił się coraz bardziej odległy od tego, który nas otaczał, po pewnym czasie roztaczaliśmy już taką wizję: eskadra *hlucháňów* zbija się w szereg – i pada komenda: *ATAK!* I *hlucháňy*, zbite w zwarty szereg, rozpoczynają szaleńczy atak w dół, na chłopaków w ścianie...

Korek już nie rozwijał tego – leżał już na ziemi, zwinęty w kłębek i – nie wiem czemu – obiema rękami ścisnął się mocno za brzuch... Mnie tego było jeszcze mało – brnąłem dalej... Dodałem, że miałem do nich bliżej – więc dodałem, że wszystkie *hlucháňy*, czy *tetrovy* były na pewno w kaskach, na pewno czarnych, a do tego jeszcze (też na pewno...), jak przyjrzałem się niektórym bliżej – zauważyłem, że miały na hełmach wygrawerowane znaczki – na pewno swastyki... A *Korek* leżał i jęczał, nie mógł już się ruszyć. Naprawdę nie wiem – dlaczego...

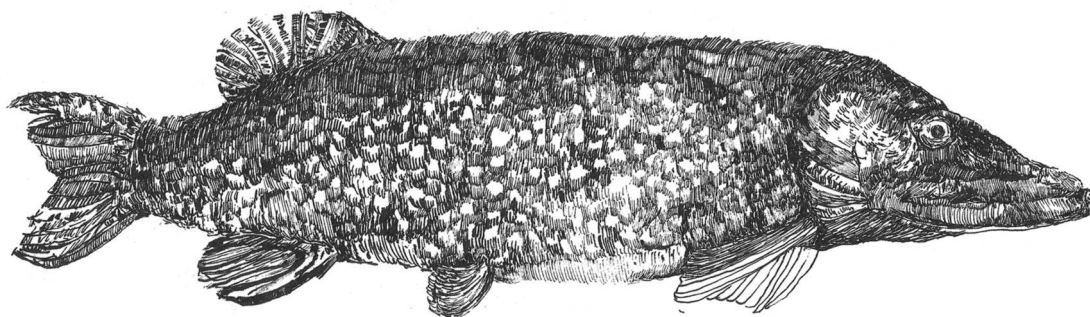
W każdym razie tamten głuszc – *tetrov-hlucháň* pozwolił wtedy nam wszystkim wrócić do domu żywymi...

CZARNOHORA I KRYM – PRYZGODA I PERYPETIE

Wybraliśmy się raz na Krym. Ani na Krymie, ani po powrocie nie napisałem, niczym Mickiewicz, „Sonetów krymskich II”, czy czegokolwiek podobnego. Ot, to nasze wspomnienie.

CZARNOHORA

Bezpośrednim powodem wyjazdu akurat tam, a nie, jak co roku, w jakieś góry, w których można się wspiąć – był... mój złamany palec. Środkowy, prawej ręki. Raz wycinałem wielką topolę, przy ośrodku zdrowia. Gdy było już po wszystkim, zbieraliśmy rzeczy. Za płotem leżała jeszcze specjalna, bardzo długa i szeroka taśma, która służyła mi do podwiązywania odcinanych konarów, by te nie spadały „ot, tak” – na przykład na ludzi/samochody/linie wysokiego napięcia/groby, itd.... No i po spakowaniu rzeczy ruszyłem jeszcze za płot, po tę taśmę. Przez płot przechodziłem nie „jak baby”, ale „jak zawsze” – to znaczy tak samo, jak w podstawówce: wtedy zawsze najpierw wieszaliśmy się na brzuchu na górnej barierze/balustradce – i przerzucaliśmy jedną rękę w dół, łapiąc się „czegoś tam” w dole, a potem *sruruu* – fikołek całym ciałem przez płot. Teraz – ciało już „zrobiło mi *sruruu*” – i leciałem już na drugą stronę. Ale nie doleciałem do ziemi. Okazało się, że wiszę tylko na jednym palcu! [Niczym jak jakiś alpinista.] Bo drugi zaklinował mi się między drutami w płocie i... jest „tak jakoś dziwnie wygięty”... A że na szczęście działo się to na terenie ośrodka zdrowia – już za kilkanaście minut wychodziłem stamtąd – ale



ze środkowym palcem w gipsie. Dłonią sztucznie ułożoną w charakterystyczny kształt. Środkowy palec – wyprostowany i skierowany w górę, reszta palców zgięta. Gest, który znamy z amerykańskich filmów – jako oznaczający: hmm – *ODCZEP SIĘ!* Albo inne: – *MAM CIĘ DOŚĆ!* W każdym razie głównie dzięki temu (albo *przez to*) pojechaliśmy na Ukrainę.

Czarnohora to troszkę takie „ukraińskie Bieszczady” – idzie się wspaniałą, szeroką granią – połoniną, po obu stronach cudne widoki! Tylko same góry od Bieszczad są sporo większe. W grani znajduje się też najwyższy szczyt Bieszczadów i jednocześnie największa góra Ukrainy – Howerla (2061 m n.p.m.). W pobliżu tej grani nie ma wcale schronisk, osad, wiosek, leśniczówek, itp. To dla jednych jest wadą, dla innych zaletą. Trzeba też przynieść wszystko, co nam potrzebne w górach. Namiot, śpiwór, jedzenie, ubranie. Wiadomo. To znowu – dla jednych niestety, dla innych na szczęście.

Granią Czarnohory biegła przed wojną granica polsko-czechosłowacka! Do dziś w wielu miejscach można spotkać polskie i czechosłowackie słupki graniczne – i je widzieliśmy! Mało tego – ostatnim szczytem w grani jest Pop Iwan (2022 m n. p.m.) – szczyt, na którym istniał najwyższy w Polsce położony stale zamieszany budynek! Mieściła się tam stacja meteorologiczna. Niestety – budynek otwarto w lipcu 1938-go roku. A rok później – już wszyscy wiemy, co się stało... Po wojnie stopniowo rozkradziono całe wyposażenie i doprowadzono go do stanu ruiny (te ruiny stoją do dziś).

Ostatnim „dwutysięcznikiem” w grani – jest Pop Iwan. Pierwszy – jest Pietros (2020 m n.p.m.). Granią pomiędzy tymi szczytami wędruje się cudnie – ot, takie nasze Taterki Zachodnie – tyle, że dziko, cicho i „ta przygoda”...

Po drodze mieliśmy kilka spotkań, które tu wspomnę. Po pierwsze – mineliśmy jakichś niechlujnie odzianych ludzi, typu „z wyglądu – bandzior”. Kilku. Na szczęście tylko mineliśmy się z nimi. Ale od tamtego spotkania – ze strachu miałem już przy sobie tylko „gorącą gotówkę”! [– *To znaczy?! – Jak to?!*] Z Czarnohory mieliśmy jechać jeszcze do Lwowa, a potem na Krym. Więc ja, wtedy – ze strachu – wsadziłem część banknotów do woreczka, a ten wsunąłem... za majtki. No i Kasia się śmiała: *Proszę państwa, gorąca gotówka!* – Na co ja raz powiedziałem: *Cieplutka – owszem! Ale raczej niezbyt świeża...*

Udało się nam przejść tą piękną granią. Cali i zdrowi. Zeszliśmy do wspaniałej wioski – Dzembronia. Teraz *trzeba nam* na Krym. Mamy czas. Ja chowam cały czas swój środkowy palec, usztywniony gipsiem „w charakterystycznym ułożeniu” – tak żeby nikt nie pomyślał, że „tyle właśnie mam mu do powiedzenia”...

Po zejściu z gór – po przenocowaniu [oczywiście „zapoznanie się z miejscową ludnością” przy niejednej butelce...] – prześpialiśmy noc i ruszamy na Krym.

Najpierw – trzeba nam dostać się do Lwowa. Nie ma czym. Wiemy, gdzie jesteśmy. Idziemy długo, „robimy kilometr” – i po drodze „łapiemy stopa”. W końcu się udaje! Jechaliście kiedyś stopem po Ukrainie? Wiem wiem... Autostopem – to nawet Mickiewicz na Krym nie jechał...

W końcu się udaje. A do tego kierowca jedzie właśnie do Lwowa! Rozmawiamy. Nagle – mijamy milicjantów. Zatrzymują nas. A nasz kierowca – nie wiedziałem, czy chce nam

pokazać, jaki to z niego „kozak”, czy co – ale nie zatrzymuje się!!! No i już widzimy za sobą pościg! Jesteśmy na Ukrainie. Goni nas – na sygnale – ukraińska milicja!!!! A do tego – nasz kierowca się cały czas uśmiecha i uspokaja nas! Hmm??? Chcemy, czy nie – musimy mu ufać...

W końcu milicja nas wyprzedza i zajeżdża nam drogę. Groźni stróże prawa wyskakują ze swego bolidu – i bardzo rozgniewani podbiegają do nas. Wrzeszczą coś do kierowcy. On – uśmiecha się do nas. Grzebiąc sobie w kieszeni koszuli. Stamtąd – wyjmuje jakąś legitymację. Chyba „jakąś ważną”. Stróże ukraińskiego prawa – salutują mu w milczeniu i odchodzą...

Za niedługo jesteśmy we Lwowie. Chcemy kupić bilety na pociąg, na Krym. Tu – dokładnie w kolejce do kasy biletowej – muszę wyjąć swoją „gorącą gotówkę”. W kolejce – „grzebię sobie w majtkach najdyskretniej, jak tylko się da”...

KRYM

Z pociągu tylko to: pierwszy raz jedziemy pociągiem „po szerokich torach”. Poznajemy sztuczki i „radzieckie udoskonalenia techniczne”... Gorąco. Dobrze by było otworzyć okno. Kasia – nic. No to ja. Jeden palec w gipsie, no ale szarpnięcie i szarpnięcie – nic. Wchodzę powoli „w fazę moich kolegów z bandy podwórkowej”: *co, kurwa, ja tego nie otworzę?!!!*

No i przy którymś takim szarpnięciu... przewracam się na siedzenie. Z wyrwaną klamką w ręce... Pasażerowie jeszcze długo się śmiali. Najpierw ze mnie i z tego, co się stało. A potem jeszcze – też długo – udzieliło się im to, co czasem dopada Kasię – maraton śmiechu... [Uwaga – trudny do wytrzymania, czasem zarażliwy...]

Wreszcie – wysiadamy w stolicy Krymu – Symferopolu. W czasie wędrowki po mieście – czuję, że stopniowo coraz bardziej chce mi się sikać. Od Kasi słyszę, że jej też. Nasze „zwiedzanie staje się coraz bardziej „tendycyjne”... *Gdzie wreszcie coś będzie?! No kiedy wreszcie będzie można się wysikać?!!!*

Wreszcie jest! Ukraińskie WC. Byłem w wielu. Różnych. Ale „na wschodzie” jestem pierwszy raz w życiu. Nie myślałem, że tak może być. Tylko dlatego, że już naprawdę nie mogłem wytrzymać – nie zwymiotowałem. Za drzwiami widzę pod jedną ścianą z siedem „kabin” – to znaczy drzwiczek, które otwierają się tak, jak widziałem tylko w telewizji, w westernach – wchodzi się środkiem, a obydwie „skrzydła” drzwi bujają się na lewo i prawo za wchodzącym. Ale nawet i to jeszcze mało! Zastaniają postać tak mniej więcej od klatki piersiowej – do kolan. Gdy więc weszło się sikać – a jest się mężczyzną – jest dobrze, widać tylko ramiona, głowę i nogi. No i „strumień pomiędzy nimi”. ALE – gdy się tam przyszło „na drugie danie” albo jest się kobietą i się kuca – hmm... Tak teoretycznie – siedem zajętych kabin, wzdłuż ściany, naprzeciwko wejścia. Tak teoretycznie...

U nas w tym wypadku nie tylko działa wyobraźnia. Dla nas są to też wspomnienia...

W każdym razie – ja już czuję ulgę! Długo to musiało trwać, ale wreszcie ta niesamowita ulga!!!! Wychodzę wreszcie „na miasto”. A Kasia gdzie? Idę pod „toaletę damską”. Po minucie – nieśmiało: – *KASIA!* Po trzech – głośnie: – *KASIA!*



JESTEŚ TAM?!!! Po chwili – ona wreszcie wychodzi. – No i jak – ulga, nie?! – No właśnie, wiesz, yyy, no ja nie zrobiłam! –?????!!!!!!! – Jak tam weszłam i zobaczyłam, co tam jest w środku – to zwymiotowałam!

Rozumiem. Ale nie zazdroszczę... Ubikacje były na szczęście w parku. Stałem za jednym drzewem, oparty o niego. I wystawiałem łeb to na jedną, to na drugą stronę.

DOBRA, TERAZ MOŻESZ!!!!

NA KLENIA Z PANEM PSOREM

Wsiadłem do autobusu sam. On miał dotrzeć na Osiedlu. Kiedy poczciwy Autosan doklekotał jakoś pod górkę, na której stoi szpital i bloki, zobaczyłem, że jedna postać czeka na przystanku. Już z daleka byłem pewien. Ta zgarbiona sylwetka była rozpoznawalna i bardzo charakterystyczna. Nie do pomylenia. Do tego zgarbienia, dodane były jeszcze, prawie zawsze, nieodłącznie, ręce zaplecione z przodu, niczym jakiś grecki mędrzec w *gymnasion*. Jednoznacznie – tak, to Pan Profesor.

Powitanie, w nietypowych okolicznościach. Za czas jakiś „nasz” Autosan dociera do Chrzanowa. Tam – troszkę czekamy, przesiadamy się i za chwilę lądujemy w Zatorze. Dla mnie – *terra incognita*. I tam, nie pamiętam już jak, ale niebawem lądujemy nad Skawą. Jak się okazało, ładną rzeką, o górskim charakterze. Nad wodą rozchodzimy się troszkę – każdy odwiedza swój odcinek. Ale po jakimś czasie przychodzi koniec połowów i wędrówkę powrotną odbywamy już wspólnie.

Cały dzień zmagani – mnie się nie udaje nic złowić, niestety. Ale *Panu Profesorowi* tak! Wyjmuje mi i pokazuje swoje dwa śliczne okazy. Ale nie poprzestaje na tym! Po chwili, może widząc moją smutną twarz, a może po prostu, w *dobrym odruchu* – jednego klenia daje mi w prezencie! Mnie strasznie głupio, ale on nie chce nawet słyszeć, że np.: – *Yyy, ale ja nie mogę!*, czy: – *Nie, no nie mogę!*, itp. I po chwili wracamy sobie do Zatora, każdy z nas „cięższy o jedną rybę”. Dostałem od *Pana Psora* jednego klenia. Koło Zatora.

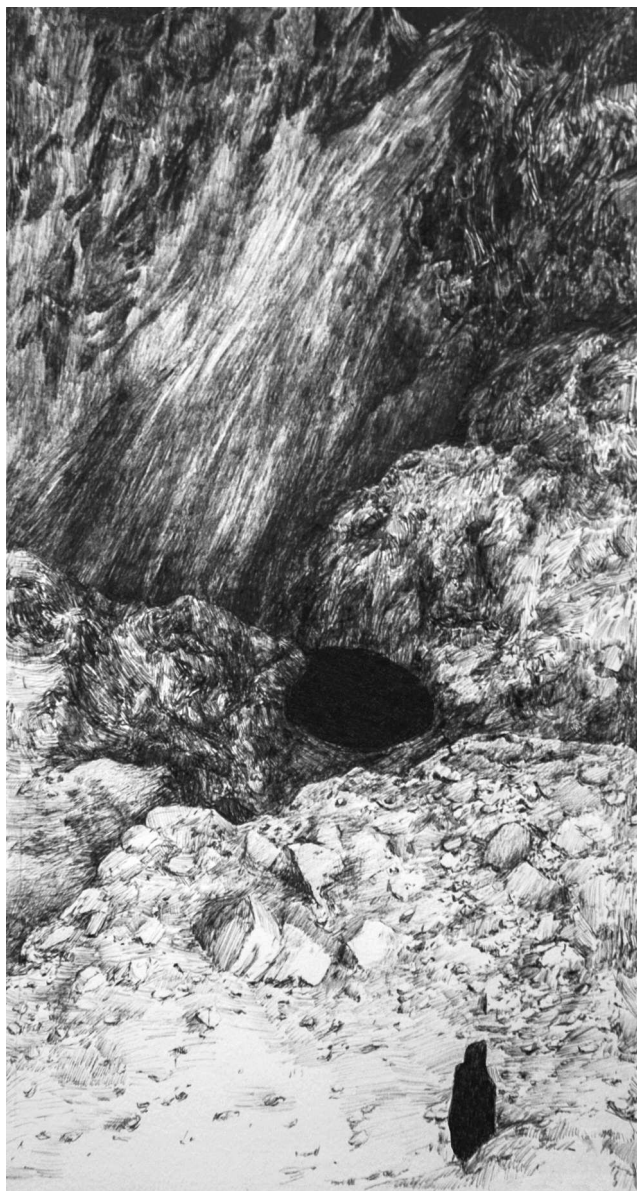
Nie wiem, jak to się dzieje, ale jakoś tak jest, że „podobne fale się przyciągają”. Myślę, że obaj „wyczuliśmy te fale” i pojechaliśmy sobie razem, gdziekolwiek. W tym przypadku – na ryby. Żałuję, że to się już nie powtórzyło. Wtedy żałowałem *tak po prostu* – bo zwyczajnie lubiłem *Pana Psora*. A po 17 dniu marca 2010 roku – żałuję chyba jeszcze tysiąc razy bardziej, że nigdzie razem nie pojechaliśmy. Od tej daty Roman Nowosad, *Pan Profesor*, nie złowi już nigdy żadnego klenia...

Jakiś czas temu złamałem rękę. Po pewnym czasie, jedną z pierwszych czynności, na jaką pozwolił mi ortopeda, co do niej, była jazda na rowerze. I kiedy później jechałem sobie przez piaskownię, między Przymiarkami, a drogą do Jaworzna-Szczakowej, mijając miejsce, w którym ktoś kiedyś wymyślił, że stąd „dokopie się do Bukowna” – i jest tam teraz wycięty dłuugi pas lasu i wybrany taki sam wielki „jezor ziemi” – spojrzałem w stronę naszego miasta, albo raczej w kierunku, w którym ono, mniej-więcej, być powinno. Czyli na ten wielki wybrany pas piachu. Wtedy do głowy wskoczył jeszcze jeden obraz. Na którym jest znowu Roman Nowosad.

Już na studiach, miałem praktyki w liceum. Wybrałem oczywiście to swoje. Opiekunem teje – był właśnie *Pan Profesor*. W czasie praktyki mieliśmy raz między innymi również wycieczkę – za Bukowno, na ujście Sztoły do Przemszy. Człapaliśmy sobie przez piaskownię, do tego w ciepły dzień. Profesor, „szkolniki” i ja. Odwiedziliśmy „nijakie zakończenie rzeki” – to znaczy ujęcie wody, w środku lasu. Wtedy – ot, woda wpadała „gdzieś tam”, ale „zwyczajnie”, z drugiej strony owego „czegoś tam” wypływała już tylko mała strużka – miniatułka...

Człapaliśmy sobie mozolnie przez piaskownię, wreszcie docierając do celu. A że cel jest „nijaki”, a wycieczka długa i żmudna – każdy, pamiętam, laźl niechętnie, smutno. W pełnym słońcu, rozgrzebując gorący piach...

Teraz, gdy teraz jechałem sobie na rowerku przez las, po przejechaniu piaskowni, a potem dolinki, w której płynie Sztoła,



Grafika: Anna Pawluszkiewicz

wjechałem na górkę za rzeką – sprzed nosa czmychnęła mi sarenka, którą spłoszyłem. Zatrzymałem się. I chyba wtedy przypomniała mi się ta nasza druga miła wycieczka z *Panem Psorem*. Nie dojechałem do nudnego asfaltu, którym kończyła się przyjemna leśna dróżka – i od razu za Sztołą skręciłem w lewo. Jadąc bliżej lub dalej, ale w pobliżu Sztoły, dojechałem „do Nabiałka”. Czyli do miejsca, gdzie kiedyś stał młyn.

Dziś – młyna nie ma. Teraz – nad rzeką opalała się jakaś para (ona w majtkach i w *staniku*, on w samych majtkach...). A za nimi – nawet ruin młyna już nie było widać. A Tata opowiadał mi niedawno, jak chodzili się tam kąpać – *na młyny*. Pamięta, jak młyn był czynny. Czyli „dość dawno”. Opowiadał, jak ślizgali się po „rynnie odpływowej” i skakali z niej do wody. I jak raz, jeden kolega, po skoku nie wypłynął. To znaczy nie od razu. Skoczył na nogi, a wypłynął dopiero po pewnym czasie. Wyjął z bólu. Równocześnie, woda wokół niego zrobiła się czerwona. W jego stopie tkwiły – przebijając na wyłot nogę – wielkie, zardzewiałe widły... [Czyli, tak na marginesie, wynika z tego też, że jestem stąd...]

A ja, po wypadku, mam ćwiczyć nie tylko rękę. Ale też pamiętać. Wracając do wspomnień o Romanie Nowosadzie i naszych wspólnych dwóch wycieczek: nie miałem z nim polskiego, ani też nie trenowałem piłki ręcznej, której był przez tyle lat trenerem. Jednak mimo to, zawsze był jakoś mi bliższy, niż inni nauczyciele.

To znaczy bliższy mi JEST. Tyle tylko – że tak w ogóle – to niestety JUŻ GO NIE MA...



Autor: Wernher, Friedrich Bernhard

XVII stulecie nad Rozdzianką



Bogucice Kościół NMP Fryderyk Werner pocz. XVIII wieku

Kuźnica Bogucka czyli zapomniane Katowice

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Prawie 400 lat temu, w miejscu dzisiejszej alei Korfantego w Katowicach biegł wiejski gościniec z Siemianowic do Mysłowic. Po wschodniej jego stronie, wśród drzew i krzewów sielskiego ogrodu, bieleły się ściany szlacheckiego dworu, krytego gontowym dachem. Od drogi dzieliło go drewniane ogrodzenie podobne do tego, jakie otaczało średniowieczną świątynię „Na górcę” w pobliskich Bogucicach.

Solidnie zbudowane sarmackie siedlisko stało na kamiennej podmurówce z Czarną, dębową powalą sklepiającą dwie piwnice w przyziemiu. Tam mieścił się skarbiec i kancelaria. rezydencję otaczały kępy wysokich malwowych lodyg – sztywnych i dostojnych jak arystokratki. Zawsze w lipcu wypuszczały niepozorne pączki przeobrażane w okazałe kielichy o barwie różowej lub ciemniejszej jak smocza krew. Nie-

mniej dorodne pyszniły się w ogrodzie bogucickiego plebana.

Po kilku schodkach, przez frontowe wejście od południowej strony przechodziło się pod zadaszony ganek wsparty na modrzewiowych słupach, dalej do sieni a potem na pańskie pokoje, gdzie gospodarze wypoczywali, bawili się albo przeżywali troski i niespodzianki dnia powszedniego. Godna nobilów była jadalnia z kolekcją portretów Gosławskich,

Kamięńskich oraz ich antenatów. Jej środek zajmował dwunastoosobowy stół z kompletem krzesel. Sąsiednia izba pełniła rolę kredensu z zastawą od najlepszych krakowskich konwisarzy. Okna miały szkło w ołowianych lub drewnianych ramach. Niektóre dodatkowo zabezpieczała żelazna krata. Zza tych ostatnich wydobywały się apetyczne aromaty dworskiej spiżarni i długiej kuchni. Pachniało imbirem, cynamonem, miętą, bazylią, majeranem i specjami tradycyjnej, ziemiańskiej gastronomii doby baroku. Z kilku kominów nad szlacheckim dworzyszczem składającym się z 8 pomieszczeń unosiły się smugi dymu oznaczające, że kucharze stawiają garnki i rondle na piecach a pokojowcy przystępują do ogrzewania komnat. Nieco dalej stały zabudowania gospodarskie i mieszkania dla czeladzi.

W pierwszej dekadzie XVII stulecia, w staropolskim dworku zamieszkała Jadwiga Gosławska, córka Jana Gosławskiego herbu Oksza i Doroty z Salomonów herbu Łabędź. W 1609 roku mężem młodej Gosławszczanki został pochodzący ze Świętochłowic – Waclaw Kamięński herbu Leliwa, od 1628 roku starosta ziemski bytomskiego wolnego państwa stanowego, dziedziczny pan na średniowiecznych dobrach rycerskich Kamień nad Brynicą, a od 1609 roku – dzięki posagowi swej żony – również na Kuźnicy Boguckiej, Katowicach i Brynowie.

Za lasem, na bogucickim wzgórzu stała fara. Pod jej dachem tutejsi mieszkańcy modlili się od czasów Kazimierza Wielkiego. Ze względu na topografię przyłgnęła do niej nazwa „Na górcę”. Znajdujący się tam obraz „Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny” uchodził za cudowny i łaskami słynący. Jeszcze w czasach dzieciństwa pani Jadwigi (1598 r.), na polecenie biskupa krakowskiego kardynała Jerzego Radziwiłła, parafię wizytował ks. Krzysztof Kazimierski. Ich skromny kościółek sklasyfikował jako „kaplicę nie konsekrowaną z trzema murowanymi ołtarzami, bez uposażenia i przyborów liturgicznych”.

Rodowe gniazdo Gosławskich

Gosławscy herbu Oksza wywodzili się z powiatu chęcińskiego. Od kilku wieków mieszkali w Bebelnie, szlacheckiej wiosce zagubionej wśród pól i lasów Wyżyny Przedborskiej, leżącej u progu Gór Świętokrzyskich. W epoce reformacji uchodziła za oazę polskiego arianizmu. W połowie XV wieku ziemie te dziedziczył Jan Długosz, ojciec czternaściora dzieci, w tym sześciu synów, z których jeden to Jan sławny dziejopisarz, autor *Kroniki Polskiej*. Pod koniec następnego stulecia w pobliskiej Czarnicy urodził się i tam został pochowany

hetman Stefan Czarniecki, bohater hymnu narodowego, a od końca XVIII wieku dzierżawcami majątku Bebelno byli pradziadkowie Stefana Żeromskiego, z których pochodziła matka autora *Wiernej rzeki*.

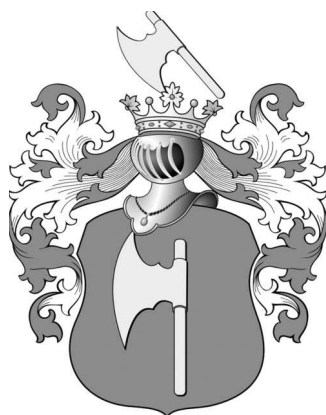
W czasach Odrodzenia Gosławscy opuścili rodowe Bebelno.

Jan Gosławski pieczętował się herbem Oksza, wyobrażającym bojowy topór zwany bradaczą lub kołdą. Groźnie wyglądający atrybut sygnował rycerską genealogię rodu. Od 1581 r. Jan był dziedzicem podkrakowskiej Modlnicy a od 1593. władał Klimontowem nad Brynicą. i posiadłością Goleniowy opodal Lelowa. Ożenił się z Dorotą córką krakowskiego patrycjusza Mikołaja Salomona herbu Łabędź, do którego należały także dobra Modlnica i Mysłowice. Jan i Dorota mieli troje dzieci Dorotę, Jadwigę i Krzysztofa. Jadwiga wyszła za Wacława Kamieńskiego a jej siostra za Wojciecha Mioszewskego. Krzysztof po 1629 roku starosta Będziński, zmarł w 1641 r.

Jego syn, ks. Michał Gosławski (1620-1669), po studiach w Rzymie powrócił do Mysłowic i dożywotnio sprawował urząd proboszcza kościoła Mariackiego. Jego bratankowie Stanisław i Krzysztof odziedziczyli Klimontów i Zagórze. Byli zwolennikami i elektorami Augusta II Sasa zwanego Mocnym.

W majestacie miłosierdzia

Młoda pani Kamieńska była podwójnie spokrewniona z Mioszewskimi, potomkami rycerskiego rodu od kilku pokoleń trudniącymi się szablą, gospodarką, poborem cła i pełnieniem usług dworskich; jej imienniczka – Jadwiga Mioszewska, żona Krzysztofa, pana na dworze obronnym i dobrach rycerskich Siemianowice, to jej ciotka, a podwojewodzi krakowski Wojciech Mioszewski mąż Doroty de domo Gosławskiej, to szwagier Jadwigi Kamieńskiej. Babcią Jadwigi Kamieńskiej



Oksza – herb Gosławskich z Bebelna

źródło: wikipedia



Szlachcic polski 1637 Rembrandt van Rijn – Muzeum Narodowe Waszyngton USA. Jedną z legend mówi, że portret wyobraża Andrzeja Reja, wnuka sławnego Mikołaja z Nagłowic. Żył w latach 1584–1641, był sekretarzem Władysława IV Wazy, być może dobrym znajomym Gosławskich lub Kamieńskich.

i Doroty Mioszewskego była energiczna Katarzyna Salomonowa – wdowa po Mikołaju; do śmierci w 1614 roku, przez ponad 30 lat samodzielnie władająca dobrami myśłowickimi.

Gosławscy należeli do grona fundatorów Arcybractwa Miłosierdzia św. Anny, któremu przewodziła dostojna Katarzyna Salomonowa. Inicjując jego powstanie brała przykład ze sławnej krakowskiej kongregacji ks. Piotra Skargi, powołanej do życia 30 lat wcześniej. Wspomagało ludzi żyjących w niedostatku, gromadziło fundusz na posagi dla ubogich dziewcząt. Dziadom, żebrakom i jałmużnikom zapewniało katolicki pogrzeb i grób. Członkowie bractwa uczestniczyli w ceremoniach pogrzebowych i modlili się za dusze zmarłych. Podczas inauguracji dnia 16 września 1614 roku, w uroczystościach brał udział Krzysztof Gosławski z Bebelna, brat Jadwigi, wówczas właściciel Klimontowa nad Przemszą. Jego siostra Jadwiga wspólnie z mężem, na myśłowickie Arcybractwo, ofiarowała 700 talarów i kilka innych beneficjów.

Pierwsze tulipany w Katowicach

Handlowym pępkiem i kulturalną stolicą ówczesnej Europy był wtedy Amsterdam. Kupcy jadący stamtąd do Krakowa zatrzymywali się w Bytomiu i zachęcali do inwestowania w... tulipany. Skuszeni widokiem ładnego dworku ukrytego pośród wysmukłych, na czarno i na czerwono kwitnących malw, chętnie odwiedzali jejmość Jadwigę panią na Kuźnicy Boguckiej. Wypi-

jali filizankę malwowej herbaty a przy okazji dzielili się ploteczkami. To od nich dowiedzieli się, że w papieskim Rzymie, przed Trybunałem Świętej Inkwizycji Galileo Galilei chciał zmasakrać straszne podejrzenia o herezję, wyparł się grzesznych poglądów i zaprzeczył jakoby ziemia była kulą, a w Paryżu kardynał Richelieu, za radą Kościoła zabronił sprzedaży i zażywania tabaki. To wszystko przerażało, zdumiewało i zachwycało, ale najbardziej przypadły jej do serca wieści o pięknych tulipanach. Dała się przekonać, że piękniejszego od nich nie ma kwiecica! I tak przed kuźnickim dworem wyrosły egzotyczne grzędy i rabaty pachnących roślinek o kwiatach podobnych do miniaturowych turbanów. O zmierzchu stulały swoje wielobarwne kielichy a o poranku znów ukazywały wnętrza. Te nieznanne dotąd cudowności – w początkach tamtego stulecia przywiezione z Turcji, podbiły serca Holendrów a potem królowały na rabatach otaczających domy mieszkańców niemal wszystkich krajów kontynentu.

Wśród pięknych kwiatów, w promieniach zachodzącego słońca młoda pani Jadwiga siadywała na ganku przed dworem i z wypiekami na twarzy czytała dopiero co wydrukowany u Szymona Kempiniego w Krakowie traktat poetycki *Officina ferraria abo huta i warstat z kuźniami szlacheckiego dzieła żelaznego przez Walentego Rożdżeńskiego teraz nowo wydana*; szczególnie te fragmenty, w których mistrz Walenty wspominał Kuźnicę Bogucką.

Sąd nad granicą

W XV stuleciu nad rozlewiskiem Rozdzianki miał swój dom Jurga Kleparski, mistrz fryszerski, a w następnym Andrzej Bogucki i jego synowie, posesjonaci dóbr rycerskich Kuźnica Bogucka.

W XVII wieku dominium przeszło pod zwierzchność lenną Mioszewskego – dziedziców państwa Mysłowickiego.



Łabędź – herb Salomonów z Benedyktowic i Mysłowic

Grafika źródłowa: Tadeusz Gajl



wickiego. Leżało w granicach księstwa Opolsko-Raciborskiego i wraz z całym Śląskiem, jako lenno feudalne bezpośrednio podlegało władzy króla czeskiego w Pradze oraz władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego w Wiedniu.

Jesienią 1624 roku, spowinowaceni z Mieroszewskimi – Adam, Andrzej i wspomniany Krzysztof z Bebelna Gosławscy, jako świadkowie w specjalnej komisji pod przewodnictwem Zbigniewa Bobrownickiego, królewskiego sekretarza Zygmunta III Wazy uczestniczyli w korygowaniu linii demarkacyjnej pomiędzy biskupim Księstwem Siewierskim a stanowym państwem bytomskim; granica pokrywała się ze wschodnim obrzeżem włości podwojewódzkiego krakowskiego Wojciecha Mieroszewskiego a jednocześnie oddzielała terytoria Korony Polskiej od ziem wasalnego Królestwa Czech wchodzącego w skład Cesarstwa Habsburgów.

W porozumieniu z kancelariami księstwa opolsko-raciborskiego, biskupa krakowskiego i kapituły siewierskiej arbitrów zwołał komisarz cesarski Wacław Kamiński pan na Kamieniu, Świętochłowicach, Kuźnicy Boguckiej et cetera. Nad Brynicę zjechało kilkunastu przedstawicieli okolicznej szlachty – właścicieli dóbr położonych po obydwu stronach rzeki oraz mieszczan bytomskich i czeladzkich „na rozkaz krakowskiego biskupa zgromadzonych”. Na koniec, pomiędzy sygnetami – w imieniu władz królewskich i cesarskich – odcisniętymi pod protokołem spisanim w Michałkowicach u Mieroszewskich znalazły się podpisy: Wacława Kamińskiego i Adama Gosławskiego. Zapisali tam między innymi:

„Po zakończeniu i zamknięciu przez obie strony rozmów i zwad, prosily partie, aby je w przez nich wskazanych granicach zachować. Ale chociaż my lubo dobrze zaznaczyli, że wskazane granice przez pana Mieroszewskiego, które rzeką prowadzą, są zgodne z listem księcia Wacława i jego innymi dowodami własności, i tymczasem lepsze były aniżeli mieszczan czeladzkich, także że wszystkie łąki, role, stawy, dęby i inne lasy, które nieprawnie czeladzianie wskazywali, właściwie aż do rzeki Brynicy, Jakubowic i Bańgowa gruntami są, to jednak panowie komisarze krakowskiego biskupa upierali się przy wskazanych przez mieszczan czeladzkich granicach lubo nieprawnych, na które żadnego dowodu nie okazali, a szczególnie chcieli pozostać przy używaniu gruntów, które według ich mniemania były własnością przedawnioną i od tego nie chcieli odstąpić. Z tego powodu my, wyznaczeni przez Jego Cesarski Majestat, naszego najlaskawszego Pana komisarza, odstąpiliśmy od dalszego zakończenia [zatarę].”

Jaśnie Pani Jadwiga

Kamięńscy byli patronami drewnianej „na górcę” w Bogucicach a Jadwiga Kamińska – dziedziczna pani na Kuźnicy Boguckiej, Katowicach i Brynowie – hojną donatorką na rzecz świątyni. Ufundowała kosztowne naczynia liturgiczne w postaci wyłożonej srebrnej monstrancji i mszalnego kielicha a nadto szczerą dziesięcinę snopową ze swoich pszenicznych, owsianych i żytnich łąnów. Co tydzień przed obrazem „łaskami słynącej Matki Boskiej”, pleban myślowicki ks. Jan Goleniowski odprawiał mszę świętą w intencji benefaktorki i jej rodziny. Jego powinności tak zostały określone:

„cztery Msze przenajśw. odprawować ma, to jest w jeden tydzień de Beata Maria Virgine raz, drugi tydzień pro defunctis drugi raz, i tak każdego miesiąca w każdy tydzień któregośkolwiek dnia przez cały rok w kościele na Górcę tituli Visitationis B.M. Virginis, blisko przy wsi zbudowanym, wiecznymi czasami trwać ma, także w każde święto Najśw. Panny Marii in commeratione żywych i umarłych przodków, ojców, matek, także fundatorów i dzieci, a potomków ich wspominając [...]”

W Bytomiu jako starościna ziemska jaśnie pani Jadwiga sponsorowała fundację przy franciszkańskim kościele pod wezwaniem św. Wojciecha (wtedy św. Mikołaja). Wspólnie z mężem piastowała godność kolatorską. Mieli prawo rekomendowania duchownego kandydującego na wakujące stanowisko. Podczas nabożeństw zasiadali na honorowych miejscach w pobliżu ołtarza. Przysługiwał im przywilej pochówku w murach świątyni i umieszczenia tam imiennego epitafium.

Zostali rodzicami dwu synów: Wacława i Jana. Od 1674 roku, Wacław junior Kamiński, sędzia ziemski bytomski patronował tamtejszemu Bractwu Szkaplerzemu Najświętszej Marii Panny.

Jadwiga z Gosławskich, starościna Kamińska została pochowana w krypcie kościoła św. Wojciecha, najstarszej świątyni piastowskiego grodu, wtedy nazywanego „srebrnym Bytomiem”. O miejscu jej wiecznego spoczynku przypomina płyta z czarnego marmuru – obecnie na honorowym miejscu w zakrystii. Zdobuje ją łacińska inskrypcja wspominająca najważniejsze rysy jej ziemskiego wizerunku. Treść barokowego epigrafu podajemy w tłumaczeniu dr Zdzisława Jedyńaka, wybitnego znawcy sekretów zabytkowej fary ze średniowieczną metryką.

„Epitafium dostojnej i szlachetnej Jadwigi Gosławskiej, żony dostojnego i szlachetnego pana Wacława Kamińskiego. Wykonane zostało z mocy miłości małżeńskiej [...] dla Jadwigi z domu

Gosławskiej, dziedziczki Świętochłowic. Była za życia wierna świętej przysiędze małżeńskiej [...] i zawsze głośną czcicielką wiary w Chrystusa odwiecznego króla. W stanie małżeńskim przeżyła trzydzieści lat. Zmarła szóstego kwietnia tysiąc sześćset trzydziestego ósmego roku.”

Czarna legenda Frankenberga

Dwa lata wcześniej, Kamięńskich spotkało nieszczęście; jedno z tych, których co rusz doświadczali mieszkańcy tej okolicy w czasach wojny trzydziestoletniej, podsycanej przez potężnych protektorów rezydujących w pałacach Rzymu, Madrytu, Amsterdamu i Sztokholmu. Jej zarzewie iskrzyło i tliło od początku tamtego stulecia a potem – za rządów elektora Bawarii Maksymiliana I oraz arcyksięcia Styrii i cesarza Niemiec Ferdynanda (czołowych bojowników restauracji katolickiej – wybuchło gwałtownym płomieniem i jak gigantyczny pożar strawiło niemal całą Europę. Zaciętrzewiony Ferdynand zapewniał: Wolę rządzić raczej pustynią niż krajem pełnym heretyków. Do historii – 3 osławione dziesięciolecia – przeszły jako pora „szczytowych sukcesów niekarnej i zdolnej do wszelkich ekscesów soldateski”. W 1630 roku do wojny na śląską arenę wojenną wkroczyły zbrojne oddziały antypańskiej Szwecji. Po ich stronie opowiedziała się Brandenburgia i Saksonia. W następnej dekadzie ze zmiennym szczęściem walczyły wojska dowodzone przez katolickich i protestanckich wodzów.

Dwór Kamięńskich w Kuźnicy Boguckiej napadli i ograbili żołnierze z katolickiego regimentu pułkownika Baltazara Frankenberga walczącego pod sztandarami niemieckiego cesarza. Dla starościny i jej męża wiernie służących kościołowi rzymskiemu, przywykłych do tego, że dom szlachcica to azyl, do którego bez pozwolenia nikt nie ma wstępu, była to niepojęta i wstrząsająca katastrofa.

Pan Kamięński wystąpił z pozwem do trybunału książęcego w Opolu i w grudniu 1638 roku (już po śmierci żony) uzyskał wyrok, w którym sędziowie stwierdzili między innymi:

„Dalszego dochodzenia wymaga ów występek obrzydliwy, jakiego dopuścili się żołnierze frankenbergijscy, na kwaterze bytomskiej przebywający, kiedy to dnia 10 maja roku pańskiego 1636 na Kuźnicy Boguckiej, w starostwie pszczyńskim, osiadłego jegomościa, wielce zasłużonego pana Wacława Kamińskiego, porą nocną w domostwie jego napadli, dobytek wszelki zniszczyli oraz zrabowali, skrzynie i schowki drogocenne przemocą wyłamali, jego god-

ność i zdrowie w stopniu najwyższym na szwank narazili, konie ze stajni oraz wszystko, co tylko mogli, ze sobą zabrali, a majątek ten 1000 czerwonych talarów wart był...”

Sędziowie w uzasadnieniu wyroku występek pułkownika Frankenberga kwalifikowali jako „derobatores et violatores Pacis Publicae” to jest „grabież i pogwałcenia spokoju publicznego”, a w związku z tym nakazywali:

zadośćuczynić panu Kamieńskiemu za krzywdy wyrządzone, poprzez restytucję dóbr zrabowanych a jego osobie spokój zapewnić.

Jednocześnie trybunał postanowił „do Jego Księżęcej Łaskawości w pierwszej kolejności się zwrócić, następnie zaś do Najwyższego Urzędu Cesarzkiego, a wreszcie przed oblicze samego cesarza skargę złożyć jak też nakazać egzekucję „pro Restitutione Spolij” „dla przywrócenia łupów”. Sędziowie podkreślali, „iż podług praw wszelakich i treści restryktu (...) Jego Księżęcej Miłości, księcia bratysławskiego, przede wszystkim majątek cały zrestytuować należy”. Płk. Frankenbergowi nakazywali „jako zadośćuczynienie doznaných szkód i rabunku w czasie najbliższym wypłacenie panu Kamieńskiemu 1000 talarów i przyznanie się do winy wszelkiej.”

Wyrok został potwierdzony stosownymi podpisami i opatrzonym formułą „Publicatum in Curia Opoliensi, 22 grudnia Anno Domini 1638.”

W 3 lata później wniosek opolskiego trybunału trafił na wokandę sądu cesarskiego we Wrocławiu. Tam jako pełnomocnik Wacława Kamieńskiego, w jego imieniu wystąpił burmistrz Bytomia Jakub Koskius. O egzekucji wyroku I instancji i dalszych apelacjach nie mamy wiadomości.

Niewiele też wiemy o fatalnym pułkowniku przez historię wykreowanym na zdecydowanie czarny charakter.

Balcer (Balthasar) urodzony na początku tamtego stulecia wywodził się z bocznej linii Frankenbergów od średniowiecza osiadłych w dolinie rzeki Pratwy. Był synem Adama i Salomei z Ibramów. Jego pradziadowie władali na Proślicach opodal Kluczborka. Po śmierci ojca w 1630 r. wolny pan na Izbicku (wtedy: Stubendorf) – niewielkim majątku ziemskim zagubionym wśród dębowych starodrzewów i świerkowych lasów Opolszczyzny, (dziś tuż obok autostrady A4), zwerbował kilka kompanii żołnierzy pochodzących z księstwa opolsko-raciborskiego i jako oberszter stanął na czele regimentu, z którym zgłosił się pod rozkazy Albrechta Wallensteina, wodza cesarskiej armii. Wkrótce po napaści na dwór Kamieńskich jego regiment został odkomenderowany do Tarnowskich Gór a następnie na Dolny Śląsk w okolice Strzegomia i Świdnicy. Tam ścigając he-

retyków niszczył i grabił luterzańskie parafie. Dowódcą jednej z chorągwi został jego młodszy brat o imieniu Adam, który po zakończeniu wojny przejął część rodzinnych dóbr Dobieszowice, Tapkowice i Pyrzowice, leżących już po wschodniej stronie Brynicy, w biskupim państwie siewierskim. W 1667 r. spłacił ostatnich pretendentów do spadku. Był żonaty z Anną Katarzyną z proślickich Frankenbergów. Ich syn Jan Adolf od 1704 sprawował urząd podsędka w lutyfundiach krakowskich biskupów. Anna Frankenberg wdowa po nim sprzedała majątność Piegłowski. Oberst żył jeszcze w 1661 roku. Z tą datą zachowało się jego urzędowe potwierdzenie odbioru 2 tysięcy talarów od matki Salomei Frankenbergowej, która kupiła od syna młyn Malcherowski opodal Tarnowskich Gór.

Czym po wojnie zajmował się eksrotmistrz i gdzie się podziewał? Nie wiemy.

Wacław herbu Leliwa

Postarości Kamieńskim, od dziada pradziada wiernym poddanym katolickiej dynastii Habsburgów, zachowały się liczne dokumenty, sygnowane jego szlacheckim godłem. Klejnocił się herbem Leliwa a podpisywał jako: „Wacław z Kamienia na Świętochłowicach, Maciejkowicach i Kuźnicy Boguckiej Kamieński”. Inicjację jego popularnego w Polsce herbu, wyobrażającego złoty półksiężyc pod złotą sześciopromienną gwiazdą, na tle błękitu – Jan Długosz, w swoich armoriałach wiązał z Kamieniem na Śląsku. Podstawę etymologiczną tego zawołania stanowi starosłowiańskie Leli, imię jednego z bogów czczonego przez antycznych Sarmatów.

Heraldycy nie wykluczają, że kolebką Leliwitów jest dawna kasztelania Spycimierz nad Wartą, w wymieniona w „złotej bulli papieża Innocentego II” wydanej w lipcu 1136 r., a protoplastą

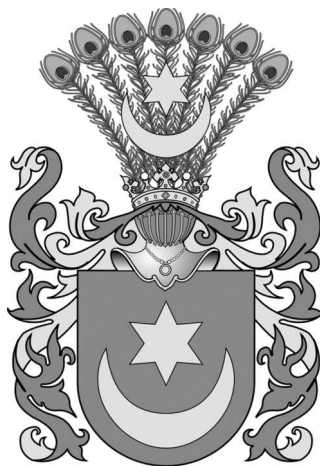
Kamieńskich ze Śląska kasztelan krakowski Spytko z Melsztyna nad Dunajcem, żyjący za panowania Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

Wacław pochodził z rycerskiego rodu. Wśród jego kamienieckich przodków Adam Boniecki w „Herbarzu polskim” wspomina Mikołaja z Kamienia, 1457 r. oraz Wojtkę 1505 r. Ich gniazdem rodzimym był dwór obronny Kamień nad Brynicą – obecnie jedno z osiedli Piekar Śląskich. Historyczną miejscowość opromienia legenda urodzonego tutaj w XIII wieku Jana syna Imbrama herbu Oksza, po konsekracji biskupa znanego pod imieniem Nanker (odważny, dzielny, świątły); zasłynął jako sojusznik Władysława Łokietka, budowniczy katedr na krakowskim Wawelu i na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu, a także jako obrońca polskość przed ekspansją niemieczyzny.

Jako właściciel dóbr ziemskich imć Kamieński sprawował patronat i kolaturę nad tutejszym kościołem św. Apostołów Piotra i Pawła, erygowanym w 1277 roku. Fundatorem okazał gotyckiej świątyni, która przetrwała ponad 6 wieków był wspomniany rycerz Imbram herbu Oksza. Obecnie jest domem bożym wspólnoty wymienianej jako najstarsza wiejska parafia na terenie diecezji Śląskiej.

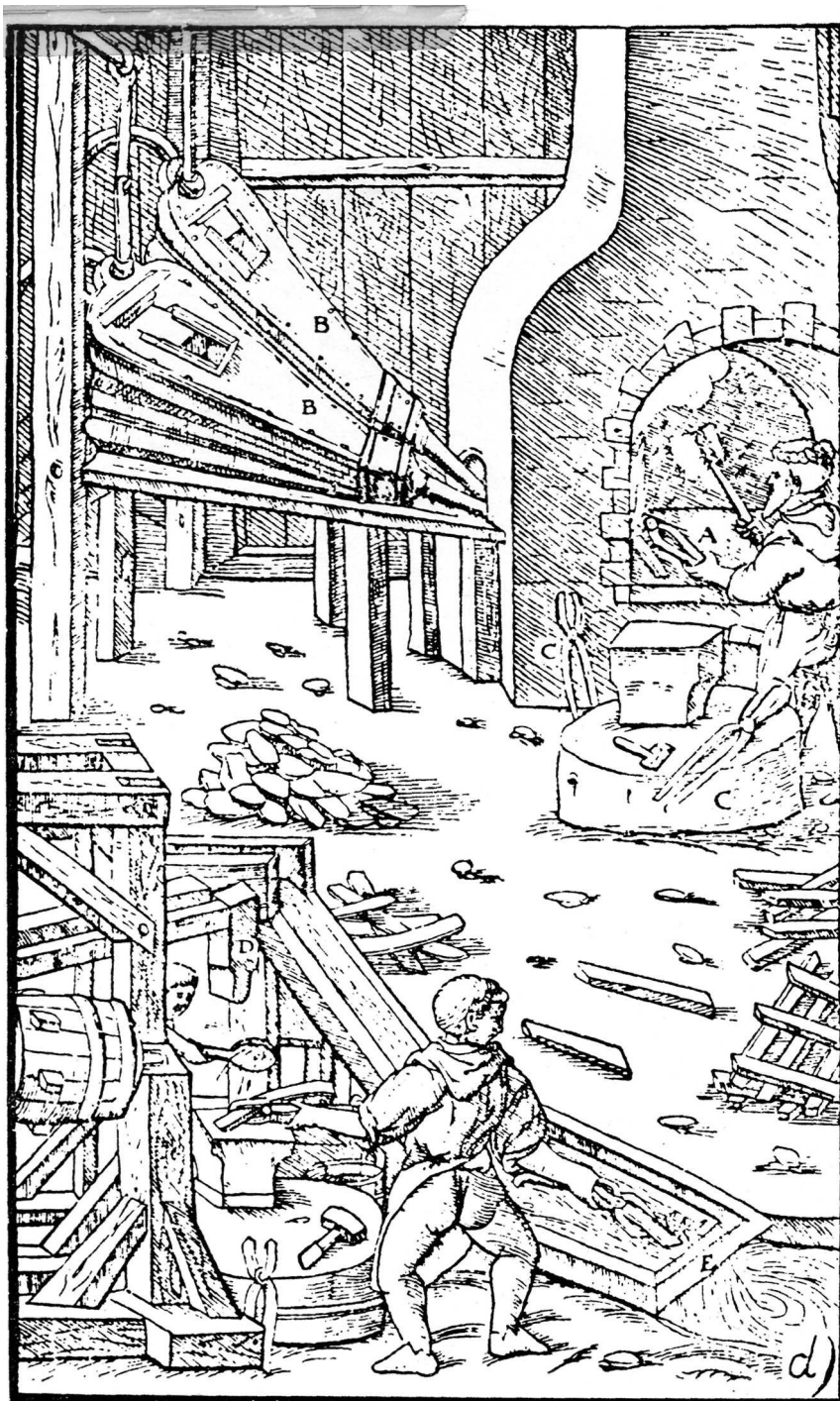
Kamieński uczestniczył w lustracjach i posiedzeniach sądowych prowadzonych na polecenie cesarskiej kancelarii w Wiedniu. Zasiadał w komisjach, którym przewodniczyły osobistość tej miary co baron Wacław Oppersdorff, członek rady cesarskiej, radca i podkomorzy księstwa Lichtensteinu, konsyliarz księstwa Opawskiego i karniowskiego, najwyższy sędzia ziemski księstwa opawskiego; współpracował z nie mniej religijnie gorliwym katolikiem hr. Karolem Hannibalem Dohna, władcą wolnego państwa sycowskiego, przez krótki czas także burgrabią księstwa opolsko-raciborskiego, a w latach 1627-1630 roku kierownikiem akcji kontreformacyjnej na tych terenach, a także prezydentem komory śląskiej i szambelanem dworu cesarskiego w Wiedniu.

Godny spadkobierca Leliwitów, zażęgnywał spory w konfrontacjach religijnych w okresie wojny trzydziestoletniej, podczas której pod hasłami polityczno-administracyjnej rekatolicyzacji Śląska dochodziło do awantur, bójek, zabójstw i grabieży pomiędzy wrogo usposobionymi protestantami i katolikami. Należał do elity społecznej ówczesnego Bytomia i wolnego państwa stanowego. Jako urzędnik – namiestnik księżęcy – zachowywał bezstronność. Niemniej jednak podobnie jak Mieroszewscy wiernie trwał przy kościele papieskim, pamiętając że najważniejszą powinnością szlachetnie urodzonych jest lojalność wobec króla i biskupów. Należał do czołówki śląskiego



Leliwa – herb Kamieńskich z Kamienia

Grafika źródłowa: Tadeusz Gajl



Kuźnik drzeworyt 1612 rok. Officina Ferraria W. Rozdzianki

lobby wspierającego inicjatywy Ligi Katolickiej. Godność starosty ziemskiego bytomskiego czyli książęcego namiestnika Kamiński piastował do 1652 roku. Potem zastąpił go śląski szlachcic Joachim Bujakowski a po nim – skoliigacony z Kamińskimi – Jan Mieroszewski dziedzic na śląskich Michałkowicach a jednocześnie – na siewierskim Małobądzu pod Będzinem.

Tymczasem, jak mawiali poeci „rzeczywistość ze snu budzi” a „pospolicość skrzeczy”.

Niewiele brakowało aby starosta Kamiński i pan na Kuźnicy Boguckiej dał głowę w sporze o własną miedzę. Jego sąsiad Bartłomiej, wolny sołtys Załęża

nie chciał się pogodzić z przewłaszczeniem przez Kamińskiego kilku pól, na którym Bartek uprawiał chmiel. Nie potrafił pozbyć się intruza, który wszedł mu w szkodę, toteż gdy przypadkiem spotkał go na swoim chmielniku, gdzieś w okolicy ujścia strumienia Osiek do Rozdzianki, chwycił za rusznicę i zagroził, że zastrzeli. „Stój, Bartku! nie strzelaj! jeżeli to twój chmiel, zapłacę go!” – miał na to powiedzieć Kamiński.

Od niechybnej śmierci uratowała go zimna krew i ujmujący sposób bycia. Wdał się w rozmowę i doszli do porozumienia. Starosta przysiągł, że zapłaci za poniesione przez Bartka straty i wię-

cej miedzy już nie przekroczy. Słowa dotrzymał, co jeszcze po latach przed pszczyńskim trybunałem potwierdził Jakub, syn rezolutnego Bartłomieja.

W 10 lat po śmierci żony, wczesną wiosną 1648 roku Kamińskiego spotkało kolejne nieszczęście – pożar strawił wszystkie budynki i cały inwentarz jego posiadłości w Kamieniu. Apelowal o pomoc do rady miejskiej Bytomia. Pomogli chłopci pańszczyźniani z Dąbrówki Wielkiej.

W drugiej połowie XVII wieku Dobra rycerskie kuźnica Bogucka (w tym Katowice), wójtostwo Mysłowice i Orzesze, stały się własnością sędziego pszczyńskiego – Jana Kamińskiego, dziedzica na Zaborzu (obecnie: dzielnica Zabrze), syna Waclawa i Jadwigi. Od 1649 r. był żonaty z Zofią Kietlicz Rajską, córką Stanisława.

Nad Rozdzianką, po rodzicach odziedziczył osadę z kilkoma zagrodami leżącymi wzdłuż drogi biegnącej równoległe do grobli nad rozlewiskiem a wraz z nią Katowice i Brynów. Po przeciwnej stronie wiejskiego traktu, pomiędzy kuźniackimi szopami dymila i sypała iskry murowana fryszerka, którą wybudował w 1666 r., a nie opodał, w tym samym roku uruchomił tłocznię olejową potocznie zwaną olejarnią. Zmarł 1675 roku. Potem zastąpił go jeden z synów – Rudolf, a po jego śmierci – owdowiała Zuzanna Kamińska.

W dolinie metalurgów

Istniejąca od średniowiecza Kuźnica Bogucka była szkołą rzemiosła i macierzą dla kolejnych zakładów hutniczych erygowanych w dolinie Rozdzianki. Wciąż funkcjonował tam „warstat z kuźniami szlacheckiego dzieła żelaznego” – coraz częściej nazywany hutą. Jeszcze w 1755 roku wytopił około 300 cetnarów żelaza. Tutaj terminowali i zdobywali mistrzowskie kwalifikacje późniejsi właściciele i fachowcy biegli w obróbce żelaza.

Z wytopu rud darniowych a potem skalnych zasłynęły kuźnice: w Załężu (od 1524 r., mistrz Jan), w Rozdzieniu (założona 1546 r., mistrz Zych), w Szopienicach (od 1640 r., mistrz nieznan, założona przez inżyniera królewskiego Krzysztofa Mieroszewskiego) i w myśłowickiej Szabelni (pierwsza wzmianka: 1723 r., mistrz Stanisław Mikułowski, zwany „sławetnym magistrzem szablarem”).

W XVII stuleciu pod protektorem Mieroszewskich i pod zarządem lenników Kuźnicy Boguckiej, na obszarze przynależnych do niej Katowic, Karbowej i Brynowa zadomowili się kolejni fachowcy i właściciele „warsztatów dzieła żelaznego”. Karczowali sosnowe bory a na ich miejscu wznosili szlacheckie dwory, nowe chaty i obejścia. Przy-



bywali z Mazowsza, Małopolski, Moraw, Czech, podalpejskiej Styrii, z Saksonii nad Łabą a nawet z dalekiej Italii, śródziemnomorskiej Katalonii i wielkobrytyjskiej Szkocji. Wysokim poważaniem cieszyli się mistrzowie i czeladnicy z hutniczych ośrodków w okolicach Olkusza, Kielc i Krakowa.

Surowiec w postaci rudy żelaznej, przez fachowców nazywanej limonitem kopalni chłopi pańszczyźniani zwani rudnikami. Gdy wyczerpali złoża w bezpośrednim sąsiedztwie kuźnic, na furmankach zaprzężonych w konie dowozili go z Obroków, Katowickiej Hałdy, z okolic dzisiejszego Janowa, z Rudnych Piekar, Chorzowa, Kochłowic, a później także – Będzina i terenów obecnego Sosnowca. Drugą niemniej ważną gromadą dostawców byli węglarze zwani kurzaczami. W przyległych lasach układali mielerze i preparowali węgiel drzewny.

To wtedy leśne ostępy pokryła gęsta sieć przesiek, dróg i szos. Obecnie ich śladem bieżą miejskie ulice, (trakty lokalne oraz międzymiastowe trasy komunikacyjne. Tutejsi mówią o nich, że w przeciwieństwie do innych nie prowadzą do Rzymu, lecz do wszystkich zakątków świata a nawet na manowce.

Od niepamiętnych czasów podstawowym narzędziem pracy i emblematem miejscowych metalurgów był pękaty młot kowalski, wyryty na metalowym tłoku pieczętnym sołtysa i ławników Kuźnicy Boguckiej. Naczelnik gminy jako „namiestnik” całej społeczności złożonej nie tylko z tutejszych chłopów ale też i ludzi poprzez pracę związanych z kuźnicą urządował w drewnianej hacie stojącej tam, gdzie dzisiaj wznoszą się mury teatru imienia Stanisława Wyspiańskiego.

W 1723 roku gminne godło o hutniczej proveniencji zostało odcisnięte w czerwonym laku pod tekstem specyfikacji stanowiącej załącznik do Katastru Karolińskiego sporządzonego na polecenie cesarza Karola VI Habsburga. Należy do najcenniejszych archiwaliów Katowic. Wyobraża dwuręczny obuchowy młot osadzony na długim stylisku, żelaznym bijakiem wsparty na kowadle. Rysunek uzupełnia łacińska nazwa miejscowości: „Ferraria Bogucicensis”.

Fot. Archiwum Państwowe we Wrocławiu



Pieczęć Kuźnicy Boguckiej, 1723 rok



Obraz przedstawia królewicza Władysława Zygmunta Wazę, późniejszego króla Polski Władysława IV. Został namalowany przez nieznanego malarza z kręgu Rubensa.

„W morzu sarmackim”

Nad rozlewiskiem Rozdzianki, pod strzechą modrzewiowego dworku Kamińskich, gdzie przed laty mieszkali mistrzowie kuźniczego rzemiosła, od XVII stulecia zatrzymywali się Polacy kultuwający staropolskie obyczaje. Na dłużej bądź krócej gościł: Gosławskich, Orlików, Lipskich, Giebułtowskich, Morskich, Pełków i innych okolicznych ziemian, ale najczęściej Mieroszewskich. Jako mieszkanie lub przystań – „Pański dom” – dwór ziemiański, przez kilka stuleci tętniący polskim życiem, był klejnotem Narodowościowej panoramy tej okolicy. Po mistrzowskiu podpatrzona przez Władysława Konopczyńskiego nie pozwalała wątpić, że na Śląsku: „niemieckie osady i dwory zniemczonej szlachty kapąły się w morzu sarmackim”. Uzmysławiała, że dla księstwa opolsko-raciborskiego XVII stulecie było epoką polskich królów Jana Kazimierza i Jana III Sobieskiego. Króla Władysława IV Wazę, jako

władcę dóbr zastawnych tytułowano „księciem opolsko-raciborskim”. Powszechnie lubianej Ludwice Marii mieszkańcy Śląska Opolskiego oddawali hołd na jaki zasługiwała królowa. W klasztorze minorytów w Opolu Jan Kazimierz ogłosił uniwersał wzywający wszystkich Polaków do narodowego powstania przeciw Szwedom, a Stefan Czarniecki między Odrą a Przemszą formował zbrojne oddziały, które wkroczyły na okupowane terytorium aby wspólnie z rodakami z Małopolski, kresów i Mazowsza podjąć walkę z rajtarami dragonami Karola Gustawa. Wśród ochotników z 1655 roku byli mieszkańcy ówczesnego Chorzowa, Dębu i Dąbrówki Małej. Nazwisko jednego z nich przetrwało w żołnierskich spisach nazywał się Łysko. Pod rozkazami hetmana Czarnieckiego, murów królewskiego Krakowa bronił Krzysztof Mieroszewski – wuj starościny Kamińskiej.

Katowice 19 stycznia 2018



Z JERZYM SZYMURĄ, b. senatorem RP i śląskim przedsiębiorcą rozmawia ANDRZEJ JARCZEWSKI



Highway wysokich technologii

– Zdjęcie sprzed dobrych dwudziestu lat. Pierwszy z lewej – to Bill Gates, o którym na razie wystarczy powiedzieć, że jest dziś na drugiej pozycji listy najbogatszych ludzi świata, a jego główne zajęcie to działalność charytatywna. Pierwszy z prawej – to Roman Kluska, który swojej firmy też już nie prowadzi, a w środku – Jerzy Szymura... nadal w branży.

– To było spotkanie szefów największych polskich firm, współpracujących w różny sposób z Microsoftem. Rok 1996. Okres agresywnego kapitalizmu w Polsce. Moja firma, Techmex International (później 2Si SA) była w latach 1999-2002 najważniejszym partnerem Microsoftu w Europie Środkowej. Ale firmy powstają, rozwijają się, zwiłają...

– ... lub ktoś je zwiłja...

– ... tak też się zdarza. W Ameryce i Europie było i jest podobnie, ale w Polsce w tym czasie ma miejsce wyjątkowa sytuacja – w sposób lawinowy narasta korupcja, a państwo stara się tego nie dostrzegać. Co więcej, politycy uważają korupcję za normalny element okresu przekształceń ustrojowych i nie podejmują żadnych działań, aby ją zwalcząć. Czasami coś mówią, ale nic nie robią. Nie mając pojęcia o mechanizmach rynkowych, nie dostrzegali tego, że korupcja niszczy zdrową gospodarkę, eliminuje zdrową konkurencję i stwarza preferencyjne warunki dla oszustów i złodziei, których główna przewaga konkurencyjna polega na umiejętności da-

wania łapówek, bądź szantażowania swoich klientów. Miało to istotny wpływ na polski rynek informatyczny i spowodowało, że ówczesny olbrzymi potencjał rodzącego się polskiego przemysłu informatycznego, został w dużym stopniu zmarnowany.

– Niewiele później rodziła się idea Autostrady Firm Nowych Technologii.

– To są różne sprawy. Idea Autostrady była reakcją na powszechną wówczas (i dziś) propagandę i politykę, przedstawiającą Śląsk jako region gospodarki opartej na górnictwie węglowym – i nic

poza tym. A do tego miliardy na trwającą wieki restrukturyzację. Ten wizerunek Śląska wpływał negatywnie na konkurencyjność moich firm informatycznych, ale również na konkurencyjność Śląska jako miejsca do życia. Tymczasem na Górnym Śląsku już od lat siedemdziesiątych XX wieku istniał znaczący przemysł informatyczny.

– Nie pojawił się na pustyni.

– Dzięki Politechnice Śląskiej, ZSAK PAN i kilku instytutom (np. ISS, IMM) powstało prężne środowisko naukowe o znaczącej pozycji w całym RWPG. Po-



Autostrada Firm Nowych Technologii

mału rozwijał się pomysł, aby przemysłem, na którym opierać się będzie przyszłość Śląska, był przemysł informatyczny. Ale do tego potrzebna była również zmiana wizerunku Śląska. Między innymi po to, by to właśnie tutaj inwestowały firmy informatyczne. Jednak z globalnego punktu widzenia śląski potencjał był niedostrzegalny. Śląsk na „mapie światowego przemysłu informatycznego” nie istniał. Zastanawiałem się, co zrobić. I wtedy zauważyłem, że – jeśli połączymy potencjał intelektualny i gospodarczy województw: dolnośląskiego, śląskiego i małopolskiego – powstanie makroregion, który może realnie zaistnieć na mapie europejskiego przemysłu informatycznego. Ten makroregion to właśnie Autostrada Firm Nowych Technologii, w skrócie AFNT.

– Powiem szczerze: żyjęm się, gdy słyszę speców od marketingu, wizerunku i od robienia „dobrego wrażenia”. Teraz jednak rozmawiam z przedsiębiorcą, który osiągnął bardzo wiele w swoim biznesie, wszedł na „Listę 100 najbogatszych Polaków” itd. Dlaczego Pan mówi o wizerunku Śląska, a nie o śląskiej gospodarce?

– Utrzymywałem kontakty biznesowe z największymi firmami świata, z którymi współpracowałem na polskim rynku. W pewnym momencie dostrzegałem „szklany sufit”, barierę blokującą rozwój mojej firmy. To była bariera mentalna, związana z postrzeganiem Śląska. Moi partnerzy woleli współpracować z firmami z Warszawy i tam zakładali swoje przedstawicielstwa. Ale ja nie chciałem przeprowadzić się do Warszawy, bo wierzyłem w potencjał Śląska. Tak więc wizerunek Śląska wpływał negatywnie na decyzje biznesowe i inwestycyjne firm informatycznych, a w ten sposób na naszą gospodarkę oraz pozycję moich firm.

– Czy „Autostrada” pomoże?

– Spójrzmy na mapkę: Kraków-Katowice-Opole-Wrocław plus jeszcze zaprzyjaźniona Ostrawa. To są ośrodki komplementarne. Pomysł polega na tym, by połączyć potencjał gospodarczy Górnego Śląska oraz pozycję Krakowa i Wrocławia – ośrodków naukowych, rozpoznawalnych w Europie i na świecie. Efekt synergii jest korzystny dla wszystkich ośrodków. Ponadto pod wieloma względami zaczyna to przypominać „Dolinę Krzemową”, choć z początkowego okresu jej historii. Od tej pierwszej „Doliny” będzie nas jeszcze dzielił ocean regulacji prawnych i finansowych. I trzy oceany wizerunku, ale jest to dobry punkt wyjściowy. Co więcej: idea Autostrady Firm Nowych Technologii została bardzo pozytywnie przyjęta przez środowiska naukowe i gospodarcze, a nawet polityków. Została też zauważona za granicą. Osiągnęlibyśmy dużo więcej, gdyby została we właściwy sposób zrozumiana i wykorzystana.



Jerzy Szymura

– Zaczęliśmy tę rozmowę w Sali Marmurowej Urzędu Wojewódzkiego, tuż po prezentacji „Programu dla Śląska”. Słyszeliśmy wypowiedź premiera Morawieckiego, ministrów i działaczy związkowych. Teraz proszę o uwagi po lekturze tego dokumentu.

– „Program dla Śląska” jest doskonale przygotowany, ale niestety nie przyniesie przełomu. Jego mocną stroną jest dobra analiza stanu wyjściowego i profesjonalne opracowanie. Nie chciałbym jednak w tym miejscu polemizować ze szczegółami, z podziałem nakładów na przemysł górniczy *versus* przemysł gospodarki opartej na wiedzy i MŚP, bo to wymaga wnikliwej analizy. Mój sceptycyzm wynika z tego, że jest to tylko program inwestycji, a nie kompleksowa strategia. Potrzebne jest znacznie bardziej radykalne i kompleksowe podejście: **Nowa Strategia dla Śląska**. Przecież sytuacja naszego województwa ulega stałej deprecjacji, a Śląsk rozwija się wolniej niż inne regiony kraju. Szczególnie bolesnym zjawiskiem jest to, że liczba mieszkańców Śląska zmniejsza się systematycznie od roku 1990...

– ... na co również zwrócono uwagę w „Programie dla Śląska”.

– Do roku 2050 ludność naszego województwa ma się zmniejszyć o kolejny milion, jeśli nie podejmiemy radykalnych kroków, w które uwierzy nasza młodzież. Młodzi wyjeżdżają nie tylko za granicę, ale również do Warszawy. Jeśli zrywamy więzi z miejscem urodzenia, to muszą być ku temu ważne powody. W Polsce funkcjonuje mit opacznie pojętego „równomiernego rozwoju”. Czasami utożsamia się go błędnie ze Strategią Odpowiedzialnego Rozwoju

i wykorzystuje jako argument przeciwko inwestycjom na Śląsku.

– Czyżby regiony miały się rozwijać nierównomiernie?

– Równomiernie powinien przyrastać dobrobyt. Ale każdy region powinien się rozwijać w oparciu o swój własny potencjał: przemysł, turystykę, rolnictwo, czy wysokie technologie. Regiony powinny wykorzystywać swoje przewagi konkurencyjne. Musimy też dbać o to, aby nie było w Polsce regionów zapóźnionych cywilizacyjnie. Nie znaczy to jednak, że wszędzie mamy rozwijać górnictwo, zaawansowane technologie czy rolnictwo.

– W Polsce realizowany jest jednak policentryczny model rozwoju, uwarunkowany dość równomiernym rozproszeniem większych miast na mapie kraju.

– Ten model nie jest sprzeczny z ideą AFNT. Wręcz przeciwnie – AFNT to makroregion z kilkoma dużymi ośrodkami i wieloma mniejszymi. Można połączyć rozproszenie geograficzne (choć główną miarą odległości jest czas, a nie kilometry) ze scentralizowanym wizerunkiem marketingowym.

– To co powinniśmy robić, żeby młodzi ludzie czuli się związani ze Śląskiem? Żeby tu znaleźli szansę.

– To powinien być jeden z naszych podstawowych celów, bo jeśli młodzi ludzie tu nie zostaną, to nie ma mowy o rozwoju regionu. Ale powinno nam zależeć również na tym, by na Śląsk przyjeżdżali młodzi, zdolni ludzie z Polski i z całego świata. Konieczne jest opracowanie nowej kompleksowej strategii dla Śląska, która będzie atrakcyjna dla młodych ludzi. Sam „Program dla Ślą-

ska” nie wystarczy, choć może być dobrym, ważnym elementem nowej strategii.

– **Autorzy zebrali te wnioski, które do nich wpłynęły...**

– Jest to pewna suma oczekiwań różnych grup, ale każdy tego typu dokument strategiczny powinien mieć charakter twórczy, musi być dziełem osób, którym faktycznie zależy, żeby osiągnąć te cele. Strategii nie opracowuje się w dyskusjach publicznych i negocjacjach ze związkami zawodowymi.

– **Czyli ten wątek moglibyśmy zamknąć stwierdzeniem, że aktualny „Program dla Śląska” nie pokazuje, jak z punktu A przejść do punktu B.**

– Dajmy „Program” do przeczytania młodym ludziom, którzy kończą studia, którzy kończą szkoły średnie na Śląsku, w Polsce i na świecie i zapytajmy, czy to zestawienie wydatków zachęci ich do pozostania na Śląsku lub do przyjazdu na Śląsk.

– **A... to jest bardzo ciekawe ujęcie, tylko... kto to przeczyta? Młodzież nie jest w stanie przebrnąć przez tak ogromny, stustronicowy wykaz zadań szczegółowych.**

– Jasne. Nie każdy to przeczyta, ale ważne jest samo pytanie. Odpowiedź powinna być na pierwszej stronie dokumentu. Albo zapytajmy młodego czytelnika, czy może jednym zdaniem powiedzieć, jaki jest cel i misja „Programu”, misja, która mogłaby go zachęcić do związania swojej przyszłości ze Śląskiem? Czy jest nim np. budowa nowych kopalń, które mają tu powstać za parę miliardów?

– **Każdy z wnioskodawców przepychał swoją sprawę. Stąd te kopalnie.**

– No tak, jest to pewien kompromis pomiędzy ministerstwem a zespołem negocjacyjnym. Każdy miał swój interes, ale czy rezultat jest spójny, czy realizacja Programu zmieni Śląsk na tyle i w takim czasie, że to przyciągnie młodych ludzi?

– **Kiedyś pytaliśmy: „wejdą, nie wejdą”?**

– A teraz: czy jedni pozostaną, a drudzy przyjadą. Czy Śląsk będzie na tyle atrakcyjny, by zachęcać młodych ludzi do związania ze Śląskiem swojej przyszłości. Jest jeszcze dodatkowe pytanie: kto tym „Programem” będzie zarządzał. Zespół negocjacyjny? Czy zarządzanie sprowadzi się wyłącznie do kontroli, czy wszystkie środki zostały wydane? A może w ogóle zarządzanie „Programem” nie jest potrzebne? To „tylko” 40 miliardów złotych! Horyzont czasowy – rok 2030. O większości spraw będą wówczas decydować zupełnie in-

ni ludzie. Każdy urzędnik za sukces będzie uważał...

– **... to oczywiście: rozdanie tych pieniędzy.**

– I tak się dzieje ze wszystkimi programami rozwojowymi w Polsce. Również tymi, które są prowadzone przez NCBiR (Narodowe Centrum Badań i Rozwoju). Z kolei rozmowy z młodymi ludźmi, rówieśnikami mojego syna, wskazują na to, że dziś Katowice nie są już atrakcyjnym miejscem do życia, co więcej – nikt z ich przyjaciół nie chce przyjechać na Śląsk.

– **Co mogłoby ich przyciągnąć?**

– Sytuacja jest dramatyczna, bo kiedy inne kraje rozwijają się niezwykle szybko (nie Europa, lecz Azja i Ameryka Południowa), tu mamy kryzys demograficzny. Na uczelniach pełno wolnych miejsc! Oczywiście – to bardzo złożony problem, ale jego elementem jest atrakcyjność inwestycyjna. Nikt też nie pyta młodzieży, co należy zrobić, żebyśmy byli dla nich atrakcyjni jako region. Niektóre odpowiedzi wprowadzisz znamy, ale to jest wiedza akademicka, która nie przekłada się na kształtowanie budżetów miast i województw.

– **Istnieje teza, że rozwój gospodarczy nie jest możliwy w warunkach depopulacji. Tymczasem jednak Górny Śląsk jakoś się rozwija.**

– Proszę zwrócić uwagę, że dynamika wzrostu jest na Śląsku niższa niż w innych województwach. Tymczasem duża część pieniędzy zapisanych w „Programie” ponownie pójdzie na górnictwo i ciężki przemysł. Oczywiście – to jest też potrzebne, ale przełomu ten „Program” nie zapowiada.

– **Mamy do wyboru: albo szybka „zmiana paradygmatu”, albo „harmnijna równowaga”.**

– Nie chodzi o szybkie pozbywanie się przemysłu górniczego, ale proces zmian trwa już 30 lat! No i pytanie: ilu młodych ludzi chce pracować w kopalni węgla? To, co udało się dziś rządowi, to doprowadzenie do sytuacji, w której przemysł węglowy nie przynosi strat, ale nie sądzę, by górnictwo w obecnej formie mogło stanowić ważny element nowego śląskiego przemysłu. Tymczasem to, co stanowiło i nadal stanowi ważny element światowej gospodarki – przemysł energii – emigruje ze Śląska do innych regionów kraju. Węgiel nie jest jedynym źródłem energii! A to przecież przemysł energetyczny jest obszarem, gdzie zaawansowane technologie mają olbrzymie znaczenie. Jak mogliśmy pozwolić na wyprowadzenie przemysłu energii ze Śląska!

– **Teraz pozostaje pytanie, jak sprawić, żeby młodzi nie wyjeżdżali.**

– Nie wystarczy, by nie wyjeżdżali. To za mało! Żeby być magnesem, trzeba zrobić coś więcej.

– **Samemu się najpierw namagnesować?**

– Może, ale nie chciałbym trywializować problemu. Depopulacja Śląska jest rzeczywiście poważnym problemem. Dziś kryzys demograficzny zaczyna już odczuwać Śląskie uczelnie. Nie ma kto studiować, a to oznacza problemy finansowe uczelni i problemy dla firm, które sygnalizują brak wykwalifikowanych informatyków. Jeszcze niedawno Śląsk był wręcz „kopalnią” specjalistów z tej branży. Dziś nawet te zasoby się wyczerpują i to niekoniecznie dlatego, że zapotrzebowanie jest wielokrotnie większe. Pokolenie dzisiejszych maturzystów, gdy za kilka lat rozpocznie aktywność zawodową, nie zastąpi odchodzących specjalistów. Kiedyś na Śląsk przyjeżdżało na studia wielu młodych z całej Polski, a dziś już nie. Dlaczego? Zły „marketing”? „Wizerunek”? Może wizja rozwoju regionu była jednak potrzebna?

– **Parę dni temu byłem na Politechnice Śląskiej i widziałem wielkie tablice z ogłoszeniami pracodawców. Zatrudniają już studentów... drugiego roku informatyki!**

– Ależ ja to widzę w firmach na co dzień. Natomiast problemem coraz większej rangi staje się absolutny brak świadomości powagi sytuacji. Dotyczy to zwłaszcza lokalnych i regionalnych decydentów politycznych.

– **Do tak, brak informatyków nie zastrajkuje, byłaby to najmniejsza manifestacja świata: obecność ujemna!**

– Dochodzi do tego niewielki wpływ śląskich polityków na politykę państwa.

– **Z tym różnie bywało w poprzednich kadencjach...**

– Obecnie jedynym przedstawicielem Śląska w rządzie jest minister... sportu! Zresztą bardzo kompetentny i znający się na sporcie młody człowiek. Ale Śląsk nie ze sportu żyje. W poprzednich kadencjach nie było lepiej, bo stan dzisiejszy – to skutek wieloletnich zaniechań.

– **Może więc „Program dla Śląska”...?**

– Wśród twórców dokumentu widziałem m.in. szefów „Solidarności” i przedstawicieli BCC, ale ani jednego reprezentanta sektora wysokich technologii, a przecież mamy sporo takich firm. Zabrakło ich głosu i to widać w całym „Programie”. Światowa ranga Kalifornii nie wzięła się z tego, że tamtejsi urzędnicy pisali programy rozwoju. Nie. Przemysł rozwijał się dzięki przedsiębiorcom i na-

Światowa ranga Kalifornii nie wzięła się z tego, że tamtejsi urzędnicy pisali programy rozwoju. Nie. Przemysł rozwijał się dzięki przedsiębiorcom i naukowcom. I inwestorom, którzy byli chętni do inwestowania w ryzykowne przedsięwzięcia. Robili swoje, nikt im nie przeszkadzał, a wielu pomagało. Profesorowie „od innowacji” od nich się uczyli. Administracja też pyta, jak im pomóc, a nie nakazuje.



Podpisanie porozumienia samorządowego na rzecz AFNT we Wrocławiu 5.07.2007. Na zdjęciu, od lewej: prof. Piotr Moncarz – Stanford University; Jerzy Szymura – senator RP, autor koncepcji AFNT; Andrzej Łoś – marszałek województwa dolnośląskiego; Marek Nawara – marszałek województwa małopolskiego; Rafał Dutkiewicz – prezydent Wrocławia (w zabytkowych pomieszczeniach Urzędu Miasta na wrocławskim Rynku).

ukowcom. Oni robili swoje, nikt im nie przeszkadzał, a wielu pomagało. Profesorowie „od innowacji” od nich się uczyli. Administracja też pyta, jak im pomóc, a nie nakazuje.

– **A u nas tak nie może być?**

– Nasi profesorowie od innowacyjności nigdy nie prowadzili firm wysokich technologii. Czytają mnóstwo mądrych książek, z tego się uczą i tego uczą swoich studentów.

– **Teraz przygotowywana jest ustawa o obniżeniu, czy wręcz rezygnacji z podatków od korzyści z innowacyjności...**

– Ależ o tym była mowa zawsze. Pamiętam z historii swojej przedsiębiorczości, że były okresy znaczącego wsparcia gospodarki i były całe lata lekceważenia... Osobiście uważam, że w Polsce znacznie ważniejsze niż obniżanie podatków są sprawiedliwe i sprawnie działające sądy oraz sprawna, życzliwa przedsiębiorcom administracja. Jest więc szansa, że obecna reforma sądownictwa i usprawnienie administracji poprawi sytuację przedsiębiorców.

– **Czy teraz zanosi się na wyraźne wsparcie?**

– Takie są, jak wiemy, plany rządu. Mam nadzieję, że się zmaterializują.

– **W takim razie, co może być perspektywiczną wizytówką Śląska?**

– Zabrzmi to jak slogan, ale po pierwsze jest to konieczne, a po drugie – Śląsk już do tego dojrzał.

– **Czyli?**

– Gospodarka oparta na wiedzy!

– **O tym „Program dla Śląska” częściej... trochę jakby... milczy?**

– Niekoniecznie. Ale musimy pamiętać, że jest to program inwestycji, głównie infrastrukturalnych. Jest coś o „innowacyjności”, ale musimy zdawać sobie sprawę z tego, że inwestowanie w „innowacyjną gospodarkę” to znacznie trudniejsze przedsięwzięcie niż inwestowanie w infrastrukturę komunikacyjną. Przynajmniej jeśli chodzi o osiąganie celów. Poza tym realizacja złożonej strategii rozwoju jest w obecnej, archaicznej strukturze zarządzania państwem bardzo

trudna. Nauka, badania i rozwój – to już inny resort. Podobnie MŚP.

– **Zacytuj pewien dokument, a Pan mi powie, skąd to zaczerpnąłem:**

Istnieje dość powszechne przekonanie, że przyszłość Górnego Śląska zależy od rozwiązania problemów gałęzi przemysłu tradycyjnych dla naszego regionu. Naszym zdaniem przyszłość gospodarcza regionu zależy w głównej mierze od tego czy, i jak szybko będziemy w stanie stworzyć tu warunki rozwoju dla nowych dziedzin, takich, do których należy przyszłość.

Oznaczałoby to zastąpienie strategii o charakterze defensywnym – strategią ofensywną. Takie rozumowanie zmieni niewątpliwie perspektywę postrzegania problemów związanych z rozwojem regionu, pozwoli na zmianę priorytetów działania i alokacji dostępnych środków, a w konsekwencji wpłynie pozytywnie na procesy rozwojowe.

Kreowanie takiej pozytywnej wizji rozwoju Górnego Śląska zmieni sposób postrzegania naszego makroregionu zarówno przez jego mieszkańców jak i przez osoby z zewnątrz. Coraz więcej ludzi zaczyna sobie bowiem zdawać sprawę z tego, że wykreowany przez media niekorzystny obraz Górnego Śląska nie odpowiada stanowi rzeczywistości. Coraz częściej bowiem osoby z zewnątrz są zdziwione i zaskoczone, gdy konfrontują olbrzymi potencjał gospodarczy Górnego Śląska i niezłą sytuację ekonomiczną jego mieszkańców z negatywnym wizerunkiem naszego makroregionu stworzonym przez media.

– Brzmi to znajomo...

– **Bo to jest Pańska wypowiedź, opublikowana... 20 lat temu! „Raport o Śląsku” 6.03.1997. Dwadzieścia jeden lat temu.**

– I brzmi dość aktualnie. Poza tym projekt AFNT i dwa porozumienia samorządowe, w roku 2002 i 2007. Zmarnowany czas. Zobaczmy, gdzie dwadzieścia lat temu były Chiny, a gdzie są dziś!

– **Czego więc zabrakło w „Programie dla Śląska”?**

– Nie chciałbym krytycznie wypowiadać się na temat tego programu, bo w samej rzeczy jest to najlepiej przygotowany program, jaki widziałem. Ale brak w nim klarownej wizji przekształcenia Śląska w region gospodarki opartej na wiedzy, na czym osobiście bardzo mi zależy, choć równocześnie „Program” może być doskonałym elementem takiej strategii.

– **Co w takim razie powinniśmy zrobić?**

– Na takie pytanie nie ma prostej odpowiedzi. Owszem, mogę powiedzieć: zrobić to, albo tamto. Ale tak naprawdę odpowiedź – nowa strategia dla Śląska i plan działań – musi być wynikiem szczegółowych badań i analiz, w tym analiz porównawczych rozwiązań alternatywnych. Takie badania miały zapoczątkować realizację projektu AFNT, ale projekt został wstrzymany przez ówczesnego prezydenta Katowic i marszałka śląskiego, więc nic nie zrobiono. W ten sposób minęło kolejnych 10 lat. No i jesteśmy w punkcie wyjścia. Teraz należałoby zacząć od takich właśnie badań i analiz. Idea Autostrady Firm Nowych Technologii, to nie tylko konkretny projekt, ale również marzenie, marzenie aby południowy region Polski, a w nim Śląsk, stał się ponownie jednym z centrów cywilizacyjnych Europy. Niektórzy zarzucają mi, że projekt jest co prawda piękny, ale nierealny. To nieprawda.

– **Jeśli nie będziemy mierzyć wysoko to nie zrealizujemy żadnego ambitnego celu.**

– Musimy połączyć nasze marzenia z konkretnym planem działania i go konsekwentnie realizować. Dotychczasowe dwa porozumienia: z roku 2002 i 2007 nie były realizowane. Ale jak mówi stare polskie przysłowie: „Do trzech razy sztuka”. Wierzę, że zrealizujemy nasze marzenie, bo dziś są ku temu znacznie bardziej sprzyjające okoliczności niż w przeszłości.

– **Mimo wszystko – pozostajemy optymistami. Dziękuję za rozmowę.**

Literatura i teologia

Ks. JERZY SZYMIK

Homilia podczas Mszy św. za zmarłych i żywych członków
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego 12 stycznia 2018 r.

Czytania:

2.

1.

Oto są dzieje początków po stworzeniu nieba i ziemi.

Gdy Pan Bóg uczynił ziemię i niebo, nie było jeszcze żadnego krzewu polnego na ziemi, ani żadna trawa polna jeszcze nie wzeszła – bo Pan Bóg nie zsyłał deszczu na ziemię i nie było człowieka, który by uprawiał ziemię i rów kopał w ziemi, aby w ten sposób nawadniać całą powierzchnię gleby – wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą.

A zasadziwszy ogród w Eden na wschodzie, Pan Bóg umieścił tam człowieka, którego ulepił. Na rozkaz Pana Boga wyrosły z gleby wszelkie drzewa miłe z wyglądu i smaczny owoc rodzące oraz drzewo życia w środku tego ogrodu i drzewo poznania dobra i zła. (...)

Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał. A przy tym Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz: „Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać według upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz”. (...)

Ulepiwszy z gleby wszelkie zwierzęta lądowe i wszelkie ptaki powietrzne, Pan Bóg przyprowadził je do mężczyzny, aby przekonać się, jaką on da im nazwę. (...) I tak mężczyzna dał nazwy wszelkiemu bydłu, ptakom powietrznym i wszelkiemu zwierzęciu polnemu (...)

Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo.

Ono było na początku u Boga. Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało.

W Nim było życie, a życie było światłością ludzi, a światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. (...)

Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi.

Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał.

Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli.

Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi,

tym, którzy wierzą w imię Jego – którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili.

A Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas.

Ewangelia wg św. Jana 1, 1-5; 9-14a

1. Te wspaniałe – teologicznie i literacko – czytania biblijne tworzące, obok psalmu i wersetu *Alleluja*, liturgię słowa dzisiejszej Eucharystii, sytuują nas na pograniczu dwóch liturgicznych epok życia Kościoła: okresu Bożego Narodzenia i tzw. czasu zwykłego. Modlimy się przecież dziś jeszcze śpiewem kolęd,

krypta naszej katedry, która jest miejscem tej Mszy świętej, ciągle jeszcze jarzy się światłami choinek i blaskiem bijącym od żłóbka, ale szaty liturgiczne przybrały barwę już nie uroczystego złota, lecz zwykłej zieleni. I wiele znaków na ziemi i w niebie, wplecionych w liturgię tego i najbliższych tygodni przypominają nam, że nieuchronnie zbliżamy się do Wielkiego Postu. Od świętowania do męki. W liturgii jak w życiu, chciałoby się rzec, choć wiara przypomina w tej kwestii, że droga – tak w liturgii jak w życiu – ma swoje przedłużenie i w dziedzinie daleko poza mękę i śmierć...

Zwłaszcza tekst dzisiejszej Ewangelii, fragmenty monumentalnego Prologu świętego Jana, Hymnu o Logosie, klasycznego miejsca biblijnego opowiadającego o Wcieleniu Chrystusa, przykuwa naszą uwagę. Centralne dla tej ewangelicznej perykopy greckie pojęcie *Logos* tłumaczymy najczęściej jako „Słowo”. Ale zawiera ono również takie znaczenia jak „Sens” i „Rozum”, a w intencji autora oznacza przede wszystkim Jezusa Chrystusa, Drugą Osobę Trójcy Przenajświętszej, która dokonała Inkarnacji i jako człowiek „zamieszkała wśród nas” (w oryginale: „rozbiła namiot” wśród ludzi, w naszym świecie). *Logos* to więc rozumne słowo, pełne sensu a więc i wewnętrznego piękna swej treści i formy, które prowadzi do Chrystusa i Go, ostatecznie, oznacza.

Akcentując takie rozumienie pojęcia *Logos* z dzisiejszej Ewangelii nie bez związku z naszą modlitwą: za zmarłych i żywych członków Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Literackiego – czyli związku tych, którzy służyli bądź służyć rozumnemu, sensownemu, pięknemu Słowu. To bardzo ważne: właśnie ta dzisiejsza Ewangelia – Janowy Prolog – jest głównie odpowiedzialna (jako tekst w tej kwestii źródłowy, fundamentalny) za wielkie przymierze między chrześcijaństwem i sztuką słowa, przymierze trwające już przeszło dwa tysiące lat. Historia tego przymierza była i jest zmienna, wspaniała i burzliwa, życiodajna (dla obu sprzymierzonych) i skomplikowana, ale jego fundament – ten właśnie, ewangeliczny – jest nie do podważenia i nie do zburzenia.

Wybrałem te właśnie, „logosowe” Janowe wersety do dzisiejszej liturgii z dwóch powodów. Po pierwsze: by oddać hołd Zmarłym, za których się modlimy – Ludziom Słowa. Po drugie: by dać do myślenia i wierzenia Żywym, w tym sobie – Ludziom Słowa.

2. Podstawowym narzędziem rozumienia i interpretacji dzisiejszych czytań w – że tak powiem – „GTL-owym kontekście” naszej modlitwy, niech będą słowa duchowego przewodnika przełomu tysiącleci, świętego Jana



Fot. Tomasz Bienek

Pawła II, wypowiedziane 35. lat temu w Wiedniu do środkowoeuropejskich uczonych i artystów, w samym środku impasu pierwszej połowy lat osiemdziesiątych, u progu wielkich przemian końca dwudziestego wieku:

„Tak jednostka, jak społeczność potrzebują sztuki dla interpretacji świata i życia, dla rozjaśnienia epokowych wydarzeń, dla ujęcia wielkości i głębi istnienia. Potrzebują sztuki, aby zwrócić się ku temu, co przewyższa sferę samej użyteczności i dopiero w ten sposób człowiek jest w stanie spojrzeć na samego siebie. Potrzebują literatury i poezji: słów łagodnych, a także proroczych i gniewnych, które częstokroć lepiej dojrzewają w samotności i cierpieniu. Według głębokiej myśli Beethovena, artysta poniekąd powołany jest do służby kapłańskiej. Także Kościół potrzebuje sztuki, nie tyle po to, ażeby zlecać jej zadania i w ten sposób zapewnić sobie jej służbę, ale przede wszystkim po to, aby osiągnąć głębsze poznanie *conditio humana*, wspaniałości i nędzy człowieka. Kościół potrzebuje sztuki, aby lepiej wiedzieć, co kryje się w człowieku: w tym człowieku, któremu ma głosić Ewangelię”¹. W dziesięć lat później na Uniwersytecie Wileńskim tak określił nadrzędny cel współpracy tego co ar-

tystyczne z tym, co religijne: „Odnowione »przymierze« między Kościołem i światem kultury (...) wydaje się być rzeczą pilną i konieczną dla zrozumienia tych naszych trudnych czasów i rozpoznania kierunku, który należałoby obrać”².

Tak dałoby się – przy pomocy papieskich słów – opisać przestrzeń, w której sytuuje się problem, który tu chciałbym rozważyć na kanwie biblijnych tekstów i naszej modlitwy. Chodzi najogólniej o kwestię współczesnej relacji „Słowo – słowo”, którą dałoby się też wyrazić synonimiczną relacją „teologia – literatura” (czy może lepiej: „słowo o Bogu” – „sztuka słowa”).

3. Spróbujmy dla uporządkowania koniecznych wyjaśnień zapytać: czym jest teologia dzisiaj? Jest jedną z sióstr w wielkiej rodzinie nauk (pokrewieństwo zasada się na obecności *ratio* w instrumentarium badawczym teologii), ale siostrą o wyrazistej oryginalności – to jasne. Etymologicznie jest teo-logia (słowiańskie *Boho-słowie* „nauką o Bogu”, „mówieniem o Bogu”, czy też – jak chcą niektórzy ujęcia metodologiczne – nauką o rzeczywistości w perspektywie Boga (prawdy o Bogu). Mnie osobiście bliska

jest definicja, którą swego czasu sformułował Jan Paweł II: „Słowo i nauka zrodzone ze Słowa samego Boga”³. Kluczem do poprawnego rozumienia tego określenia jest wydarzenie Wcielenia. Ponieważ to właśnie w Inkarnacji przemawia Bóg przez Syna w sposób najwymowniejszy, najpełniejszy i ostateczny: kiedy Słowo (*Logos*) staje się ciałem.

Dla naszych rozważań moment to kluczowy. Oto bowiem w Wydarzeniu Wcielenia „dotykamy” tajemnicy jednoczesnego kresu Bożej mowy i jej *teologicznego* początku. W tym dokładnie sensie *Logos*, Bóg-człowiek, jest „nowym i ostatecznym początkiem” teologii, a ona sama uczestniczy w Boskim wypowiedzianiu się „po ludzku”, w realizowanej w Kościele misji Słowa Wcielonego. Tu też dokonuje się „istotne otwarcie” teologii na słowo jako takie, na „sztukę słowa” – literaturę w szczególności.

Definiowanie teologii przy pomocy triady „wiera – rozum – słowo” oferuje takie rozumienie „nauki o Bogu”, które wykracza poza suchą naukowość (dodajmy: o modelu nierzadko konstruowanym na wzorcu nauk przyrodniczych, który okazuje się cokolwiek przyciasny dla teologii a na pewno nieadekwatny dla jej potencjalnej współpra-

cy z literaturą...). Poważne potraktowanie „słowa” w odpowiedzi na pytanie „czym jest teologia?” sprawia, że *scientia fidei* może się stać uniwersalną i najgłębszą z możliwych odmianą „rozmowy” (*logii*) ze światem: teologia jako (roz) mowa o Bogu, w której uczestniczy sam Bóg⁴. Rzecz jasna wówczas jedynie, gdy rzecz rozpatrywać w perspektywie żywej wiary.

Oczywiście, prawie wszystkie nauki mają wyraz „słowo” wbudowane w nazwę własną. Ale przecież w nauce o Bogu „słowo” funkcjonuje w takim samym jak w innych naukach, a jednocześnie w różnym wymiarze i znaczeniu. Bowiem oryginalność (odrębność i jedyność) teologicznego słowa bierze się z jego źródła: jest ono wyprowadzane nieustannie ze Słowa. Autentyczna teologia, godna tej nazwy, pracuje w środowisku Słowa Życia, czyli przekazuje żywe słowo o żywym Bogu żywemu człowiekowi. Dlatego też teologia nawiązuje relacje ze sztuką; z literaturą piękną – szczególnie.

4. Czym jest literatura dzisiaj? Pod pojęciem „literatury pięknej” (franc. *belles lettres*; niem. *Schoene Literatur*, *Dichtung*; ang. *belles-lettres*, *poetry*) rozumiem – za Michałem Głowińskim – „dział piśmiennictwa obejmujący utwory, w których dominuje funkcja estetyczna, w przeciwieństwie do typów wypowiedzi o charakterze informacyjnym, dydaktycznym, naukowym, publicystycznym itp.”⁵. Trzeba tu dodać, że pojęcie „literatura” jest w większości języków współcześnie stosowane zamiennie z pojęciem „literatura piękna”.

Dla teologii otwartej na współpracę z literaturą szczególnie ważny jest związek „słowa pięknego” ze „słowem prawdziwym”, czyli kwestia teologiczno-epistemologicznej wartości poznania literackiego. Rozpisywali się na ten temat już Platon i Arystoteles oraz tysiące ich następców, ale niewrażliwa wydaje się zwłaszcza kwestia tzw. założeń wstępnych teologicznej optyki, to znaczy odpowiedź na pytanie o głębię i stopień pokrewieństwa prawdy i piękna, czyli o gnozeologiczną wartość estetyki. Czy teza Hegla: *Wahrheit waere nicht, wenn sie nicht schiene und erschiene* – jest słuszna? Nie nam rozstrzygać w tych skrótowych i pobieżnych – siłą rzeczy – dywagacjach. W każdym razie utożsamiam swój pogląd z tezą Jacques’a Maritaina. „Poznanie poetyckie” – pisał – „jest tak naturalne dla ducha ludzkiego, jak powrót ptaka do gniazda; to cały wszechświat wraca razem z duchem do tajemniczego gniazda duszy”⁶.

I teraz: czego tak rozumiane, teologia i literatura, mogą się po sobie nawzajem spodziewać? Jakie oczekiwania, jakie

perspektywy współpracy? Jakie jej potencjalne owoce?

Badanie i tym samym wspieranie związków religii i kultury to – w moim najgłębszym przekonaniu – obecnie w humanistyce wielka sprawa, istotny element wzmacniania fundamentów atlantyckiej kultury. Teologia spodziewa się po literaturze penetrowania najgłębszych rejonów egzystencji i jej tajemnic i nazywania ich w języku i rejestrach (estetycznych), które są nieosiągalne dla pozaliterackich epistemologii... W liście z 12 lutego 2003 r. Czesław Miłosz zaproponował taką opinię-zdanie na czwartą stronę okładki tomu moich wierszy: „(...) wydaje mi się, że religia może uratować poezję przed otaczającym nas chaosem”⁷. Ten sam pisał kiedyś w eseju: „jedynie możliwa oryginalność polskiej literatury zależeć będzie od przemyślenia podstawowych kwestii religijnych”⁸. Oto czego spodziewa się literatura po teologii...

Bez siebie – wiedz. Bez teologii, jej zaplecza, czujnej obecności stróża tajemnicy – literatura staje się jałowa, a bywa, że i demonicznie destrukcyjna. Bez literatury, jej tylko właściwej penetracji języka i faktury rzeczywistości – teologia staje się „nieprzenikalną, gładką kulą”. To też z Miłosza, z *Pieska przydrożnego*: „To, co najgłębsze i najgłębiej we własnym życiu doświadczone, przemijalność ludzi, choroba, śmierć, marność opinii i poglądów, nie może być wyrażone w języku teologii, która od wielu stuleci zaokrąglą odpowiedzi w gładkie kule, łatwe do toczenia, ale jakby nieprzenikalne. Poezja dwudziestego wieku, w tym co w niej najbardziej istotne, jest zbieraniem danych o rzeczach ostatecznych w kondycji ludzkiej, i wypracowuje po temu swój język, który teologia może wykorzystać albo nie”⁹.

5. Przypomnijmy punkt wyjścia naszej refleksji i obecnych w niej tezy: najgłębsze i najwyższe źródło ich – Słowa i słowa, teologii i literatury – pokrewieństwa tkwi w Biblii, którą jest i teologią i literaturą zarazem, kwintesencją ich obydwu niejako. Janowy Prolog – dzisiejsza Ewangelia – mówi wszak o tym, że istnieje jakiś wewnętrzny związek słowa ze Słowem, jakieś esencjalne wręcz zakorzenienie ludzkiego słowa w Słowie Wcielonym, jakiś rodzaj pokrewieństwa sięgający głębin Boga samego. Podkreślmy dla jasności raz jeszcze: nieprzypadkowo przecież Janowy Prolog wyraża istotę Drugiej Osoby Trójcy pojęciem *Logos*. Fakt ten mówi nie tylko coś fundamentalnie ważnego teologicznie o Jezusie Chrystusie, Jego istocie, preegzystencji i proegzystencji, pochodzeniu i misji, ale również coś niezwykle ważnego o słowie

jako takim. Także o wzajemnej relacji Słowa i słowa ludzkiego, o więzi pomiędzy teo-Logią i sztuką słowa...

Zaś malownicza scena zapisana w *Genesis* (dzisiejsze pierwsze czytanie), kiedy to Bóg przyprowadza do mężczyzny wszelkie zwierzęta lądowe i ptaki powietrzne, „aby przekonać się, jaką on da im nazwę” rzecz tę dookreśla. Mężczyzna daje nazwę bydłu, ptakom i zwierzęciu, tworząc w ten sposób teologicznie otwarty archetyp wszelkiej literatury – współpracownicze Stwórcy, słowem-imieniem wzmacniającej istnienie bytu powołanego do bycia przez Stwórcę. Odtąd – czyli „od zawsze” – są krewne: literatura i teologia, penetrujące Boskie rejony stworzenia i zbawienia.

Odtąd od słowa do Słowa droga niedaleka. W obu kierunkach.

Katowice, Krypta Katedry
pod wezwaniem Chrystusa Króla,
12-27 stycznia 2018 r.

¹ *Natura i sztuka drogami prowadzącymi do tajemnicy Boga*. Spotkanie z przedstawicielami świata nauki i sztuki, Wiedeń, 12 IX 1983, w: Jan Paweł II, *Wiara i kultura. Dokumenty, przemówienia, homilie*, red. M. Radwan, S. Wyleżyk, T. Gorzkula, Rzym – Lublin 1998, s. 209.

² *Przymierze między Kościołem i kulturą*. Przemówienie do przedstawicieli świata kultury (fragmenty). Uniwersytet Wileński, 5 IX 1993, „Tygodnik Powszechny”, 47 (1993) nr 47, s. 13.

³ *Przemówienie Ojca świętego Teologia, czyli Bohosłowie*, w: *Świadectwo Kościoła katolickiego w systemie totalitarnym Europy Środkowo-Wschodniej. Księga Kongresu Teologicznego Europy Środkowo-Wschodniej, KUL 11-15 sierpnia 1991*, red. J. Nagórny, B. Jurczyk, J. S. Gajek i in., Lublin 1994, s. 305.

⁴ Por. J. Szymik, *Teologia w krainie pepsy-coli. Od teologii-nauki do teologii-mądrości*, Warszawa 1999, s. 44-58.

⁵ M. Głowiński, *Literatura piękna*, w: *Słownik terminów literackich*, oprac. M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa i in., red. J. Sławiński, Wrocław 1988², s. 260.

⁶ *Pisma filozoficzne*, tłum. J. Fenrychowa, Kraków 1988, s. 301.

⁷ Archiwum autora.

⁸ Cz. Miłosz (cyt za: J. Szymik, *Problem teologicznego wymiaru dzieła literackiego Czesława Miłosza. Teologia Literatury*, Katowice 1996, IV str. okładki).

⁹ Kraków 1997, s. 35.

Malowane nocą

Obrazami Krzysztofa Rzeźniczka zajmowałem się „z urzędu” przed pół rokiem recenzując jego doktorat. Nic zatem dziwnego, że ten tekst będzie rodzajem persyflaży, bo moje zdanie na temat jego twórczości ani trochę się nie zmieniło.

Krzysztof Rzeźniczek nie jest malarzem pochopnym. Wręcz przeciwnie: jest perfekcjonistą i to ta cecha nie pozwala mu uznać dzieła za skończone, jeśli nie spełnia ono jego oczekiwań w stopniu najwyższym, pomimo że tak zwana publiczność okazuje swoją satysfakcję na długo przed końcem jego twórczego trudu.

Zastanówmy się więc, co zawsze malował (i maluje do dziś) Krzysztof Rzeźniczek?

Odpowiedź zdaje się prosta: światło. Gdyby jednak pozostać przy tej refleksji, uznalibyśmy, że wystarczy teraz przypomnieć definicję *chiaroscuro*, czyli kontrastu między płaszczyznami oświetlonymi a zacienionymi, dzięki którym malarz tworzy iluzję trójwymiarowości kreując przy tym dramatyczny, czy choćby poetycki nastrój. Przyglądając się dalej, zauważylibyśmy, że od jakiegoś czasu maluje on światło sztuczne: elektryczne. Tu znów wspominając obrazy Luki Cambiasa, Caravaggia, Rembrandta czy Georges’a de La Toura celebrujących migotliwe światło świec, czy pomijając plakatowo jednoznaczny *Lampe uliczną* Giacomina Balli skupiając uwagę na *Nocnych włóczęgach* Edwarda Hoppera nie znajdziemy się znacząco bliżej fenomenu malarstwa Krzysztofa Rzeźniczka, bo tutaj ważny jest sztafaż, wzajemne relacje bohaterów tego nokturnu. Nieco więcej podobieństw znajduję w hopperowskich *Pokojach do wynajęcia*, a to z powodu stawianych przez malarza pytań o źródło, to właściwie dwa źródła światła: ze środka i z zewnątrz sportretowanego domu. Gdybym jednak nie Rzeźniczce, a Hopperowi szukał precedensów, to wspomniałbym raczej obrazy z serii *Imperium światła* Rene Magritte’a z racji swoistej zabawy sprawdzanymi po wielokroć „stałymi” regułami oświetlenia sceny obrazu. Nasz malarz jest daleki od gry konwencjami, nie chce popisywać się swoim niewątpliwym zresztą kunsztem malarskim dla samego tylko uwierzytelniania kompetencji i dowodzenia wyszukanego poczucia humoru. Dostrzegam w nim raczej swoistą obsesję, każącą mu każdorazowo, kiedy jakiś temat czy wizja głęboko go poruszy, dawać im wyraz najlepiej jak potrafi. Pozwoliłem sobie na komplement wobec jego umiejętności, a mamy tu do czynienia z wartościami niemal wymierającymi. Współczesna sztuka nie szuka już tego rodzaju kompetencji. Szczera amatorszczyzna daleko łatwiej znajduje poklask nie tylko u szerokiej, wyedukowanej w Internecie publiczności, ale nawet u jurorów prestiżowych konkursów i w opiniotwórczych, fachowych periodykach. Mistrzowsko opanowany warsztat, nieprzeciętna wrażliwość na nierozpoznawalne dla innych

niuanse skali barwnej, dzielenie włosa na czworo wobec jakości śladów pędzla zostawianych na płótnie, to dzisiaj raczej balast utrudniający marsz po sukces. Tym bardziej doceniam jego upór w kreowaniu artefaktów jednoznacznie zakotwiczonych w domenę estetyki, co postrzegam jako manifestację postawy zasadniczo odmiennej od panującego od ponad dekady przekonania, że stosownym dla sztuki współczesnej jest język socjologii i polityki. (Cierpkie uwagi dotyczące „martwej natury krytycznej” odnoszę do polskich realiów.)

Dzisiaj, gdy oceniam foto-realistyczny cykl stworzony w związku z przewodem doktorskim dostrzegam oprócz tropu mistycznego drugą jego cechę: zmaganie z realnością.

Najprościej będzie mi to przedstawić posługując się myślą Jacquesa Lacana, który estetyczną kontemplację definiował określając niektóre kierunki jako dążące do *trompe-oeil* chcące oszukać oko, a całą sztukę określił jako próbującą *dompte-regard*: ujarzmiającą spojrzenie.

W swoich wywodach Lacan przywołując powieść o pojedynku między Zeuksisem (którego doskonale zobrazowane winogrona znęciły ptaki) a Parrasiosem (który tak wiernie namalował zasłonę, że jego przeciwnik chciał ją przesunąć by zobaczyć, co się za nią kryje) wywodzi, że cała ta historia opowiada o różnicy pomiędzy schwytanym, znęconym przynętą zwierzęciem a oszukanym człowiekiem. Zwierzę nęci sama powierzchnia, człowiek zaś daje się oszukać przez to, co leży poza nią. Według Lacana poza obrazem znajduje się *realne*, z którym malarz jako twórca wchodzi w dialog. W konkluzji przeciwstawia owo *realne* znajdujące się poza obrazem, nieustannie nas nęcące *symbolicznemu* będącemu wręcz *realnego* negatywem. Owo *realne* ma jeszcze do tego moc kwestionowania dawnego przywileju podmiotu polegającego na posiadaniu wzroku i samoświadomości, jak również dawne panowanie podmiotu nad reprezentacją w tym aspekcie, który świadczy o jej przynależności do podmiotu. Każde to Lacanowi na tradycyjny stożek perspektywy wychodzącej z podmiotu, nałożyć inny stożek, który wychodzi z przedmiotu na poziomie źródła światła nazwanego przez niego spojrzeniem.

Te znalezione kiedyś w książce Hala Fostera: *Powrót realnego* spekulacje

wydają się jak ułaf pasować do mojej próby odczytania na nowo fenomenu twórczości Krzysztofa Rzeźniczka. Mógłbym też pójść dalej tropem Fostera i spekulować nad *hiper* bądź *sur* realistyczną naturą jego twórczości. Należałoby wtedy za autorem zaryzykować twierdzenie, że hiperrealizm wiąże się z tym, co najniższe i chce się nad tym unosić. W przeciwieństwie do surrealizmu chce ukrywać, a nie ujawniać to, co realne. Te próby skazane są (zdaniem Fostera) na niepowodzenie, bo iluzja nie potrafi oszukać oka ani ujarzmić spojrzenia a więc ochronić przed *realnym* stając się traumatycznym iluzjonizmem. Akces Krzysztofa Rzeźniczka do nurtu surrealistycznego okazuje się wtedy ze wszech miar usprawiedliwiony, czego dodatkowo dowodzą tytuły obrazów, którymi zdaje się nas zapraszać na ulicę Pszczyńską, Rybnicką, pod dom Preisa. Najlepiej nocą. Z tezą Lacana o dwu nakładających się stożkach w ramach patrzenia na obraz rymuje się zabieg Krzysztofa Rzeźniczka wprowadzający jego samego – autora w tkanke obrazów: *Light My Fire* czy *Pszczyńska*. Tak więc ryzykując dalej: znany nam dotąd Krzysztof Rzeźniczek – malarz wypowiadający się w języku symboli wkraczając w domenę surrealizmu zaczął mierzyć się z realnością w jej onirycznym kształcie. Zaczął nobilitować stojącego przed obrazem widza czyniąc z niego niezbywalny element tego obrazu struktury.

To zanurzone w sięgającej XVII wieku tradycji malarstwo ma zarazem wiele cech sztuki na wskroś współczesnej. Więcej nawet: sędzę, że sztuka Krzysztofa Rzeźniczka niejako antycypuje zmiany w stosowaniu kryteriów oceny wobec sztuki dziś w Polsce powstającej.

Coraz liczniejsze głosy publiczności oczekującej na dzieła z powrotem osadzone w kategoriach szeroko rozumianej estetyki, niekoniecznie naznaczonej cudzym słowem postmodernizmu znalazły już właściwy rezonans na wielu światowych przeglądach w cyklach biennale, czy triennale, jak choćby zeszłoroczne Biennale w Lyonie.

Tyle moich dobrych przeczuć. Najbliższe lata pokażą, czy Krzysztof Rzeźniczek „znacząco zaznaczy” należne mu miejsce we współczesnej sztuce polskiej, czy jak zwykle byłem w „młym błędzie”.

PROZA

MARIAN LECH
BEDNAREK

KŁĘSKI

Ulepiłem sobie armatę z plasteliny i włożyłem tam kulki z nosa, w to ulepienie „mnie”. I wystrzeliłem. I leciały te kózki tam gdzie chciały, chociaż czasem trafiłem w to co mnie najbardziej wkurzało, w te różne Kłęski. Bo idzie taki Kłęsek i tylko knuje, jak ci kłęskę podłożyć, i łypie, uśmiecha się niby, przeżegnaje, a tu nóż mu z kieszeni wyłazi. Mówi: „... A ten, ten, co to tak tylko gryzmoli i bryka na scenie w obronie hodowli własnych kartofli, czy czegoś tam, ten, ten, tego to trzeba no..., zjeść. Nie wstydzmy się tego, mamy przecież porządne podwaliny ku temu i lubią nas dziewczyny”. Nie wytrzymałem tego braku fundamentu i kolejny raz armatę załadowałem. No i poleciała kózka... nie mizdrzyć się, bynajmniej, tylko w Kłęska przywalić rogami co tryumf uwielbiają. A tych Kłęsków wokół pełno łązi. Och, można se postrzelać aż kóz braknie. Ale raz strzeliłem dla samego właśnie tryumfu, w górę, tak jak się strzela dla prawdziwego bohatera (bardzo cichego zresztą), salwą honoru. Strzeliłem dla Franka Prusa*, co o kłęskach grał poematy na harmonii. A właściwie o zwycięstwach zawsze grał, bo każdy jego utwór był zwycięstwem, nie tylko sprawnych palców i słuchu, ale wszystkich zasłuchanych w niego dusz. Za to warto strzelać w niebo, z kóz, a może bardziej z róż. Bo Franek kochał róże, zresztą wszystko kochał, dlatego za kołnierz nie wylewał. Na głowie miał białą, dużą michę z plastiku, wyklejoną przeze mnie scenami spektaklu „Muchy-Dwoje”, jak z jakiegoś plemienia Faraonów czy Wróżbitów. I tak grał, grał, a teatr mu tańczył na głowie. I te wszystkie Beethoveny, Bachy, Greeny też tam tańczyły, wszyscy razem jak jakaś plejada. Dla Franka nie żałuję tych kulko-kóz, zamienionych w róże, więc jeszcze raz w niebo lubudu!

Kłęski to mroczna powłoka tej wydzieliny ochrzczonej, co tylko łązi i zrzedzi i zrzedzi że „mało, za mało, e tam, ja to pierdołę...” A ten Kłęsek u góry nominowany, z pogardą: „Niech tylko mordę zamknie, dajcie mu coś, dajcie, chce mieć wreszcie święty spokój i limuzynę!”. Nie chce mi się już gadać o tych Kłęskach, bo ich pełno wokół, za dużo. Ale jak mi się zachce, to znowu sobie strzelę. Armatę przecież mam, więc nie ma problemu. Teraz idę na śniadanie, by kózki nakarmić. Pasterz ze mnie dadaistyczny, to fakt, ale lepszy taki niż żaden.

* **Franciszek Prus** – ur. 8.01.1953 r. w Jejkowicach (koło Rybnika), zm. 31.08.2012. Wytibny akordeonista, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach, wieloletni pedagog rybnickiej szkoły muzycznej. Jego najwyższą klasę wykonawczą potwierdziły sukcesy na Międzynarodowych Konkursach w Klingenthal i Brukseli oraz festiwalach w Portugalii, Szwajcarii i we Włoszech. Założyciel i lider zespołu Frank Prus Trio, był również związany z Kapelą ze Śląska im. Józefa Poloka i Teatrem Mariana Bednarka.

ROCZNICA ŚMIERCI

Rocznica śmierci, a zwłaszcza osoby znanej jest bardziej żywa (jako forma) niż ta osoba za życia była. Celebra stwarza swoją formę 10 razy większą od osoby żyjącej w czasie minionym, którą wspominamy, formę wyolbrzymioną, wyjaskrawioną, groteskową, ciekawszą od człowieka – tego byłego powiedzmy artysty, którego się mijało na co dzień na ulicy. Idzie sobie taka „ROCZNICA ŚMIERCI” i kiwa się, kwęka coś, może coś mówi, ale niezbyt zrozumiale. Ważne że się odbywa w sobie, wypełniając media od brzegu do brzegu. Mówią coś o niej i piszą bardzo poważnie i pompatycznie. Muzyka gra. A ta lezie, toczy się, domaga się kwiatów i pokłonów, lepszych deklamacji jej dzieł, wyraźniejszych, donioślejszych, czołobitnych. Ta postać zaczyna obejmować sporą przestrzeń. Ludzie zaczynają dostrzegać, że za życia ten człowiek był o wiele spokojniejszy i skromniejszy niż teraz po śmierci. Niby nie żyje, a tak się daje we znaki wszystkim, rozpycha się. Rocznica śmierci stwarza drugą formę życia jak sobowtór w teatrze Kantora. Doprawdy ten wymiar plastyczny tej formy „Rocznicy” jest co najmniej ocierający się o fenomen jakiegoś wiecznego życia publicznego, co jest może oczywistą konsekwencją, ale nie wiem czy aż w takiej skali i w takiej formie? Nie wiem, nie znam się na wiecznościach, a zwłaszcza zasłużonych wiecznościach. I pytania jak szczury, zawsze będą z kątów wątpliwości wyłazić. Może i dobrze. Idzie sobie na przykład drogą taka Stuletnia Rocznica Śmierci Puszkina, kojarząc się z różnymi innymi Rocznicami (a więc lezie cały pochód tych Rocznic, pośród wrzasków), lezie. Ciekawe jakbym ja ją osobiście wykonał, gdybym miał ją powołać do życia. Cóż by to za maszkarę zaczęła śpiewać tym swoim dziwnym pośmiertnym głosem, jakim krokiem by szła? Czy zmieniłoby się coś istotnego w kwestiach sztuki?, wymiary obec-



nego czasu i wymiary pośmiertne?, jeśli takie istnieją? Nie bardzo wiem co by się zmieniło, ale wiem że człowiek nie znosi pustki. W każdym razie rocznie śmierci, to niezbyt świadomie uprawiany teatr. Chyba że się mylę.

BRAMY

Z NIESMAKIEM – któż tej bramy nie poznał, przekraczając sensualność, przez którą jak najszybciej chciał przebrnąć jak przez tą „Arbeit Macht Frei”, czy coś podobnego, byle jak najdalej od tego co cię pomniejsza i upadła. Ale któż to ten, co o 22.30 wywozi kubeł cuchnących śmieciorów na drogę, bo jutro przyjedzie śmieciara i weźmie je z niesmakiem. Ci faceci w pomarańczowych kamizelkach znie-smaczani są codziennie przez osiem godzin, co najmniej. Nie wiem czy niesmak w ogóle ich opuszcza w życiu, jeśli z tego trzeba się utrzymywać. Ale konsekwencje tego, wydaje mi się, są wielkości tej okropnej, ponurej bramy, którą jak najprędzej chciałoby się wypłuć z siebie. Ja też te śmieciory wywożę na drogę, gdyż niesmak ten jest ogólnie zatwierdzony przez prawo, przez prawo gminne. Dwadzieścia złotych na miesiąc płacę za ten niesmak. Nie jest to żadna rewelacja pod żadnym względem, ale ten niesmak nas łączy. My go nie lubimy, ale on po cichu nas łączy, w jakimś ogólnym niesmaku na większą skalę. To jak przespacerowanie się przez piekło Dantego, gdzie trzeba spotkać znajomych.

GÓWNO MNIE TO OBCHODZI – to druga brama (bez żadnego cudzysłowu), której chętnie wymykamy się. Jest ciągle otwarta, by wietrzyć się? Gdy padają deszcze, sąsiedom wycieka z szamba i cieknie to pod moją bramę. Śmierdzi szczykami. Niesmak mnie odwraca od własnej furtki, ludzie! Jakim prawem? Zmuszają mnie by interweniować. Popsują się stosunki, jak to zwykle bywa. Tak to ich religijne oblicze (bo regularnie uczęszczają do kościoła) sika-czy zza płotu stworzyło kolejną bramę. **TO NIESMAK ZE SMAKIEM**, gdyż dopuszczam tu, jak to zwykle u mnie bywa, kroplę nadziei na rozwiązanie pokojowe. Lecz to dopiero wstęp do tego bukietu Homo multiplex, tej istoty złożonej. Ktoś powie, to tylko retoryczne banialuki, śmierdzące zaczepką i mordobijką? Och, odciął mi głowę, która skacze po placu i krzyczy „*ślipoki!, ślipoki!*”

Genialne robactwo, nadające się do wyjścia. Bo my znowu musimy wyjść przez Morza Czerwone, gdyż innych mórz nie ma, sama czerwień krwi. Exodus, część 2.

Cieknie mi z szamba, ale nie do sąsiadów, bo w dole mieszkam. Tak jest zawsze, gdy goście przyjadą, to mi przecieka. Ale nie będę przygotowywał przecież stołów w polu, tylko w domu. Niesmak ze Smakiem muszą się spotkać, a jakże. Nie znam tych dwóch gości tak naprawdę, a najbardziej w sobie. Ale ten teatr litości nie ma, bo forma nie zna litości, ona po prostu musi być. „*No to pyrsk, na zdrowie!*”, „*Everybody pomidory*”, jak mawia mój szwagier, siup! Zaczyna się fermentacja tej mieszanki: gestów, min, strzępków słów, rośnie, nabiera procentów. Znam konsekwencję tego. Wiem że zostałem tylko obornikiem przyszłości, może dla innych Wielkiej Przyszłości?, że przyjadą i wszystko wezmą w posiadanie, moje słowa też. Ale gdzie królestwo mojego ukolenia?, genialność zamieszkania w chwili obecnej jak w domu słowa. Niedługo przyjedzie beczkowóz i da odpocząć ziemi, przynajmniej na chwilę. Niesmak ze Smakiem zatańczą ostatni taniec we mnie, przed przerwą, którą jest milczenie codzienności. Ale czy Niesmak i Smak może milczeć? Gdy to pisałem, usłyszałem w radiu z rana, że wczoraj w Poznaniu rozpoczęły się Międzynarodowe Targi Żywności. Pociągnąłem nosem, zazgrzytałem zębami, przełknąłem coś, oblizałem wargi, ale jednak ciągle się boję, by się nie zniesmaczyć samym sobą.



Grafika: Anna Pawłuszkiewicz

SŁOŃCE

Zanim wygaśnie we mnie świadomość, czyli wyciągnę ko-
Zpyta, chciałbym opisać słońce, które jak podarunek przekazała mi moja matka na tacy mojego żywota. Wielu jak ja, przygniecenemu zgrozę tak zwanego porządku, nie wie co z tym fantem zrobić, jak je opisać? I w ramach rekompensaty zajmują się jakąś daleko pochodną formą tego „obrazka”. Na przykład robią karierę à la słoneczną, albo trochę mniej słoneczną, albo przedłużają sobie penisy, żeby było jeszcze słonecznej i wymyślają różnych bogów z jednym rozpalonym okiem. Ja jednak dalej nie wiem jak opisać to słońce, choć Giordano Bruno w pewnym sensie już złożył za nas ofiarę, płonąc na stosie w obronie słońca, można teraz pisać dowolnie, ile się chce. Ale przecież nie będę gadał głupot, że to tylko kupa gazów i ognia. Sens prezentu słońca jest gdzie indziej. Tylko gdzie? Zacznę od skopania kota. To brutalne, ale oddaje wagę problemu, tak mi się wydaje – jakby całe okrucieństwo świata było już wpisane w estetykę słońca. A więc tak mu dupę skopię, że coś we mnie się obudzi i spojrzę inaczej na słońce. A jak to będzie zaciążona kotka po byzanku, to tym bardziej. Sierść mnie zawsze prowokowała. I nic na to nie poradzę, że lubię się zbliżać do prawdy o sobie. Postawię zatem na to, czego się najbardziej boję, na brak słońca, wtedy wszystkie nasze nawet najgorsze rzeczy i wady stają się tylko małymi błahostkami i świecą w ciemnościach jak gwiazdy (pocieszenie dla różnych kanalii i kreatur). Ale czy to jest mądre, tym się pocieszać? Takie kilogramy wiedzy o słońcu wszędzie leżą, a ja tu chcę kota skopać i plotę jakieś dyrdymały o tej największej gwiazdzie w naszej galaktyce. Słońce to słońce, z pewnością to jakieś bóstwo, któremu trzeba oddać należyty hołd (nawet jakby to był hołd niewiedzy), smarując twarz kremem, albo zjadając ukryte promyki na śniadanie, obiad i kolację, co najmniej. O mamma mija, gdzie ten mój obrazek słońca? Ciągle mi tkwi gdzieś pod językiem a ja nie mogę go stamtąd wydobyć i przemienić w słowa. Ostatecznie można wycisnąć trochę farb na paletę i wałnąć na płótno jakiś sentymentalny landszaft z okrągłą czerwona kulą, znikającą za horyzontem. Potem pójść do toalety i nabazgrać na drzewach jak za dawnych czasów „tu się robi ser dla ZSRR”, albo jakiś inny trywializm, bardziej współczesny, jak np. „Uwaga! Toniemy w gównianym globalizmie! Złap się klamki!” Potem uruchomić spłuczkę, także słonecznie, jak się da. Bo my holistyczni od korzeni jesteśmy, lecz w desperacji jakiejś wypisujemy różne głupstwa na drzwiach, jakby to miało nas zbliżyć do ucha igielnego, też porównywanego do drzwi. Tylko że nie wiadomo, czy też należąc do tej samej słonecznej księgi, czy raczej do jakiejś ponadsłonecznej dziury. Na razie na moim statku kosmicznym Znaku Zapytania ciągle okrążam tę tajemnicę słońca.

Coaching jako przestrzeń spotkania

ANITA FRANKOWIAK

Coaching w gąszczu znaczeń

Coaching jest dzisiaj modnym terminem, który niestety bardzo często bywa mylony z motywacją, wzmocnieniem potencjału, doradztwem i wieloma innymi pojęciami związanymi z pracą nad rozwojem człowieka. Tymczasem jest to głęboki, zawsze w pełni indywidualny proces „poznawania siebie i odkrywania swoich motywów do działania oraz przekonania na temat możliwości osiągnięcia postawionych sobie celów. Jest to również relacja z coachem, który pomaga w tym procesie osiągnąć nowe rezultaty – osobiste, zawodowe oraz biznesowe”¹. Na pewno nie jest to terapia ani motywowanie klienta. Na stronie Izby Coachingu, bezstronnej i niezależnej organizacji reprezentującej interesy środowiska coachingowego w Polsce, możemy przeczytać, że coaching jest metodą wspierania rozwoju „realizowaną w formie cyklu spotkań pomiędzy coachem a klientem, podczas których coach, poprzez aktywne słuchanie, zadawanie pytań oraz stosowanie innych specyficznych narzędzi i zadań rozwojowych, towarzyszy klientowi w wyznaczaniu ważnych dla niego celów, odnajdywaniu wewnętrznych zasobów potrzebnych do ich realizacji oraz ustalaniu i wdrażaniu planów działań. Coach wspiera klienta w odkrywaniu i efektywnym wykorzystaniu osobistego potencjału celem podnoszenia jakości życia”².

O popularności coachingu mówią statystyki branżowe. Już na początku XXI w. czasopismo „The Economist” oszacowało ten rynek na świecie na ponad miliard dolarów³. W Polsce w ubiegłym roku wartość rynku coachingu przekroczyła 40 mln zł, a zainteresowanie nim wciąż rośnie.

Początków coachingu można poszukiwać w *Human Potential Movement*, czyli psychologii humanistycznej skupionej na ludzkim potencjale. Oczywiście źródeł jest co najmniej kilkanaście podobnie jak szkół coachingu. Jedno jednak pozostaje niezmiennie – „coaching uwalnia ludzki potencjał maksymalizowania własnej efektywności”⁴, a człowiek odkrywa swoje zasoby i potrafi z nich korzystać w pełni.

Dzisiaj bardziej kompetentnie wykorzystujemy wiedzę na temat budowy mózgu, a neurokomunikacja nikogo już nie dziwi. Wiemy, że układ limbiczny steruje naszymi emocjami, a podniesiony poziom

kortyzolu utrudnia komunikację pomiędzy racjonalną a emocjonalną częścią mózgu i skutecznie utrudnia podejmowanie decyzji. Zarządzania emocjami trzeba się więc nauczyć. Nie wszyscy bowiem są wyposażeni w tzw. drugi faktor inteligencji emocjonalnej. Umysłownie sobie gdzie i w jaki sposób „odpalają się” nasze emocje i w jaki sposób możemy nimi zarządzać lub sterować, jest wyższą umiejętnością niż proste zrozumienie, że je po prostu mamy.

Pokonanie przez klienta mentalnej drogi, rozpiętej pomiędzy tym co ma, a co chciałby osiągnąć, jest sednem spotkań coachingowych.

Jedną z ważnych kwestii, która wymaga dziś szczególnej uwagi, jest nieustanna profesjonalizacja usług i zawodu. W ten sposób z rynku zostaną wykluczone osoby, które po krótkich, często jedno- lub kilkudniowych szkoleniach przypisują sobie umiejętności coachingowe i określają siebie coachami. A przecież coach pracuje z zasobami drugiego człowieka i powinien być w pełni przygotowany, kompetentny i odpowiedzialny za działania, których się podejmuje. To oczywiście sytuacja modelowa, która na polskim rynku dopiero jest w fazie kształtowania.

Wokół coachingu w Polsce narosło wiele mitów i niedomówień. Niezależnie jednak od tych dyskusji coaching jest potężnym narzędziem wykorzystującym wiedzę interdyscyplinarną i powinien służyć człowiekowi jako narzędzie zmian wewnętrznych.

Kim jest profesjonalny coach?

Sa trzy filary profesjonalnego coachingu. Należą do nich: standardy, etyka i jakość. Dlatego też coach – specjalista nie tylko wciąż doskonali swoje kompetencje poprzez systemy akredytacyjne, superwizje lub dodatkowe studia, szkolenia i kursy kwalifikacyjne, ale też dba także o poziom oferowanych usług i przestrzega zasad etycznych. Ponadto jest zainteresowany rozwojem klienta. Docenia osiągnięte przez niego rezultaty i co najważniejsze wie, w jakim kierunku podąża osoba, z którą pracuje. Podstawową wartością jest dla niego dobro klienta. Jeśli uwzględnimy fakt, że według najnowszych statystyk International Coach Federation, „coaching przyczynia się do podwyższenia osiągnięć zawodowych

nawet o 70%, zarządzania biznesowego o 61%, zarządzania czasem o 57% oraz skuteczności zespołu o 51%”⁵, to kwestia profesjonalizacji zawodu staje się naprawdę ważna. Dlatego warto sprawdzać kogo wybieramy na swojego coacha.

Uważność na drugiego człowieka

Zygmunt Bauman słusznie twierdził, że **Z** nadmiar wiedzy w świecie współczesnym jest problemem bowiem nasz mózg nie zwiększył swojej pojemności, a liczba informacji napływających do niego w bardzo krótkich sekwencjach czasowych wzrosła o setki procent⁶. To swoiste obciążenie poznawcze naszego pokolenia spowodowało wzrastający poziom „nieradzenia sobie” nie tylko z emocjami, ale także z zadaniami i celami, które sobie wyznaczamy. Określenie priorytetów, skuteczność w zarządzaniu czasem i zmianą to obszary wymagające obecnie natychmiastowego wsparcia. Jakby przepisywali go dla nas coach nie wspiera. Powoduje, że klient sam odkrywa, że ma wystarczające zasoby i potencjał, by zmierzyć się z czekającymi go zadaniami. Człowiek zaczyna rozumieć, że dokładność w wyznaczaniu celów to praca ze swoimi nawykami i przekonaniem, które najtrudniej zmienić. W końcu uzmysławia sobie, że najważniejsze są te pytania, które zadaje sobie w momencie zmiany i podejmowania wyzwań.

W dzisiejszym świecie przepelnionym gotowymi przepisami na udany związek, rozwód, zdradę i sukces zawodu tak naprawdę brakuje uważności na drugiego człowieka. Prasa zapełniona jest gotowymi receptami na osiągnięcie sukcesu w każdym obszarze życia oraz szybkimi poradami, jak postępować w sytuacji, gdy partner nie spełnia naszych oczekiwań, a praca nie daje satysfakcji.

Profesjonalny coach nie udziela rad i nie ingeruje w przestrzeń klienta. Nie interpretuje i nie ocenia. Słucha. Jest uważny i skupiony. Nie lekceważy chwili spotkania. Tworzy przestrzeń, w której klient zaczyna wyrażać siebie. Wykorzystuje ciszę. Nawiguje z nim głęboką relacją opartą na zaufaniu. Precyzyjnie zadaje pytania i kieruje klienta do zmiany perspektywy.

Coaching w przestrzeni multikulturowej

P przestrzeń multikulturowa byłaby wspaniała gdybyśmy zaprojektowali ją jako niepowtarzalną, z racji właśnie zmieniających się warunków kulturowych, miejsce spotkań, wzajemnego zrozumienia i dzielenia się wiedzą. Jednakże dzisiaj, w warunkach wciąż rosnącego zagrożenia terroryzmem, procesy multikulturowe nie należą do najłatwiejszych. Z niepokojem obserwujemy antropofagię i antropoemię. Negatywne skrypty pamięci kulturowych i historycznych doświadczeń zabijają w nas uważność na drugiego człowieka. „Kultura

składa się dziś z ofert” – pisał Bauman – „nie z nakazów; z propozycji, a nie norm. Jak to już Bourdieu odnotował, kultura posługuje się dziś rozciąganiem pokus i rozstawianiem przynęt, kuszeniem i uwodzeniem, a nie normalną regulacją; piaraczej niż policyjnym nadzorem; produkcją, rozsiewaniem i nasadzeniem nowych potrzeb, pożądań i pragnień raczej niż przymusem”⁷. Stąd spostrzeżenie badacza, że **ludzi się dziś uwodzi kulturą, by ostatecznie osiąść ich tożsamość.**

Nie ma też żadnych wątpliwości, że kultura wyznacza ramy naszych działań i decyzji. „Niegdyś pytanie o tożsamość było prostym pytaniem »kto to jest?« i dotyczyło kogoś, kogo nie potrafimy nazwać i umiejscowić w naszym otoczeniu”⁸. Dziś pytamy o ludzi, których znamy i zjawiska już zdefiniowane, dookreślając ich funkcjonowanie grupowe i przestrzenne. Kategoria tożsamości kulturowej jest jedną z odpowiedzi na sposób i rodzaj uczestnictwa jednostek w kulturze. W przestrzeni międzykulturowej ma to niebagatelne znaczenie. Pytamy bowiem o komunikację pomiędzy zasobami kulturowymi w globalnej wiosce, gdzie czas i przestrzeń mają inne znaczenie.

Interakcje pomiędzy odmiennymi kulturami są naturalnymi procesami, nawet jeśli nie kończą się sukcesem komunikacyjnym, a ponieważ są sterowane różnymi normami, a potrzeba efektywnego funkcjonowania w nich jest jednym z ważniejszych uwarunkowań społeczno-kulturowych w XXI wieku. Przestrzeń multikulturowa wymaga zmian, a coaching jako narzędzie psychologiczne może i powinien im towarzyszyć.

Coaching multikulturowy „ma obecnie bardzo duże znaczenie w kontekście rozwoju i efektywności pracy w międzynarodowych korporacjach. Współpraca w ramach wielokulturowych zespołów wymaga skutecznego i uważnego zarządzania, które bierze pod uwagę odmienną kulturowo specyfikę pracy i funkcjonowanie jego członków”⁹. Ludzie, jako reprezentanci różnych kontekstów kulturowych, mają często heterogeniczną wrażliwość kulturową, inne upodobania komunikacyjne, niekompatybilne nawyki myślowe oraz skrajnie różne preferencje negocjacyjne. Coach, który jest jednocześnie komunikatorem i specjalistą od komunikacji międzykulturowej, może być bardzo pomocny w procesie zrozumienia różnic pomiędzy niskim, wysokim, a średnim kontekstem kulturowym. Jego praca będzie nieoceniona zarówno wśród uchodźców, którzy bardzo często nie radzą sobie z szokiem akulturacyjnym, jak również w środowiskach emigrantów,



Rys. Janusz Karbowniczek

którzy z kolei potrzebują zrozumieć zmiany kulturowe, jakim podlegają w swoich nowych miejscach pracy. Coach może być pomocny także w procesach asymilacyjnych wśród młodych ludzi podejmujących edukację poza granicami Polski, a także wśród wielokulturowych grup „erasmusowych” zaangażowanych w aktywność studencką na terenie naszego kraju. Z coachingu międzykulturowego powinni korzystać wszyscy, którym zależy na budowaniu synergii w środowiskach międzykulturowych i to nie tylko na arenie międzynarodowej.

W tym rozumieniu funkcji sprawczej coachingu multikulturowego chodzi nie tylko o tolerancję i wzajemny szacunek, ale przede wszystkim o budowanie osobowości dialogu opartej na wewnętrznym rozwoju „spotykającego” i „spotkanego”.

Coaching multikulturowy ma na celu „rozwój osobisty i zawodowy klienta, uwzględniając przy tym specyficzne zjawiska kulturowe składające się na rzeczywistość klienta. Jest to proces polegający na zwiększaniu efektywności, wspieraniu w rozwoju i realizacji celów w danym kontekście kulturowym. Skupia się na adaptacji różnic kulturowych, poprzez wykorzystanie konkretnych narzędzi do przeobrażenia tych odmienności w potencjał i sposoby efektywnego rozwiązywania problemów w kontekście zawodowym, jak i osobistym. (...) Pierwszym etapem procesu jest rozpoznanie i akceptacja różnic kulturowych na poziomie emocjonalnym i intelektualnym.

Drugim etapem jest adaptacja tych różnic i ich asymilacja. W kolejnym kroku należy skupić się na integracji odmienności poprzez spojrzenie na kwestie współpracy biznesowej z różnych perspektyw kulturowych. Finalny etap stanowi synergia różnic, osiągnięta poprzez wytworzenie jedności w różnorodności”¹⁰. W tym celu wykorzystuje się Siatkę Orientacji Kulturowej, która ułatwia klientowi efektywne zarządzanie sobą w środowisku multikulturowym polegające nie tylko na rozpoznaniu różnic kulturowych, ale ich wykorzystaniu do budowania nowej jakości komunikacji.

Świadome zarządzanie komunikacją jest z kolei najbardziej pożądaną kompetencją w XXI w. wymienioną wśród kompetencji kluczowych w Programie Europa 2020. Jeśli przyjmujemy takie założenie to **coaching, niezależnie od środowiska, w którym będzie stosowany, pozostaje w swojej istocie narzędziem wyrastającym z uważnej komunikacji i niesłuchanej uwagi wobec drugiego człowieka.** W labiryncie współczesnych wartości, w konglomeracie wykluczenia i wzajemnych animozji kulturowych, takie rozumienie istoty coachingu powinno pozostać rozstrzygające. ■

¹ <http://magazynlbq.pl/perspektywa-coachingu-w-polsce/> [dostęp: 2017.01.10].

² <http://www.izbacoachingu.com/coaching/czym-jest-coaching/> [dostęp: 2017.01.10].

³ Szerzej: A. Scoular, *Coaching biznesowy*, przekł. M. Nosorowska, Sopot 2014, s. 9-12.

⁴ J. Whitmore, *Coaching. Trening efektywności*. Przeł. M. Sobczak, Warszawa 2009, s. 17.

⁵ <http://magazynlbq.pl/perspektywa-coachingu-w-polsce/> [dostęp: 2017.01.10].

⁶ Pisał o tym: Z. Bauman, *Kultura w płynnej nowoczesności*, Warszawa 2011.

⁷ Z. Bauman, op. cit., s. 27.

⁸ V. Descombes, *Rozterki tożsamości*, przekł. M. Krzykowski, Warszawa 2013, s. 17-18.

⁹ <http://swiatcoachingu.pl/2011-09-27-04-22-47/typy-coachingu-act/329-coaching-miedzykulturowy-odpowiedzia-na-wyzwania-wspolczesnosci> [dostęp: 2017.01.05].

¹⁰ Ibidem.

Dr hab. Anita Frankowiak – humanistka, kulturoznawca, dyrektor Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Izby Coachingu, dyplomowany coach, pracownik naukowy w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej w Zakładzie Komunikacji Społecznej i Języka Mediów na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, gdzie zajmuje się badaniem przestrzeni medialnych w perspektywie kulturoznawczej i komunikacyjnej oraz protokołem dyplomatycznym.

Wspomnienie bynajmniej niesentymentalne

STANISŁAW GĘBALA

W czasie przedświątecznych porządków, które objęły także „czeluście” mojego biurka (jest małe, ale głębokie, wręcz przepaściste), wydobyłem plastikową teczkę, zawierającą cienki plik maszynopisów (niewiele ponad 20 kartek). Znaleźisko bardziej zdumiało mnie niż ucieszyło, gdyż pogodziłem się już z myślą, że te teksty zaginęły przed siedmiu laty w katastrofie, jaką była przeprowadzka z Bielska-Białej do Kołobrzegu. Teczka zawiera dziesięć krótkich felietonów (rzadko przekraczających dwie strony formatu A4), które w połowie lat 90. ubiegłego wieku czytałem w Radiu Katowice. Ta przygoda radiowa, druga w moim życiu, okazała się nader krótka; o ile pamiętam, ostatni z tekstów już nawet nie poszedł na antenę, a któryś z poprzednich poszedł na podkładzie muzycznym, co było dla mnie wyłącznie irytujące – choć powinno mi „dać do myślenia”.

W tym momencie przypominałem sobie dowcip rysunkowy sprzed wielu lat, przedstawiający taką scenkę: chodnikiem po jednej stronie ulicy przemyka wątył osobnik, zerkając z wyraźnym niepokojem na dwóch osiłeków, patrzących na niego z chodnika po drugiej stronie i zastanawiających się: „Damy mu do myślenia?”. Moja sytuacja (przed mikrofonem) była niejako odwróceniem tamtej z rysunku; to ja coś tam mówiłem, a moi słuchacze na razie milczeli – ale już zaciskając pięści. Był jeszcze uprzejmy redaktor, który mnie zaprosił „na antenę”. To zapewne on wpadł na pomysł podłożenia delikatnej muzyki pod moje chropowate słowa, łudząc się zapewne (jak niedawno jeden z posłów opozycji w naszym Sejmie), że „muzyka łagodzi obyczaje”.

Skoro napisałem, że to była moja druga przygoda radiowa, krótko wspomnę też pierwszą – znacznie dłuższą, bo paroletnią. Ale tamta zdarzyła się w zamierzchłej przeszłości – przełomu lat 60. i 70. poprzedniego stulecia, kiedy to zasiadałem (jeszcze młody i bardzo przejęty) raz w miesiącu przed mikrofonem rzeszowskiego radia. Wtedy jednak czułem wsparcie całkiem sporej liczby radiosłuchaczy (audycja nadawana była na falach rozgłośni krakowskiej Polskiego Radia), biegle władających językiem aluzji, w którym pisałem swoje felietony. W połowie lat 90. mówiliśmy już zupełnie innym językiem – pozbawionym finezji, żeby nie powiedzieć topornym. Waliliśmy słowem na odlew jak maczugą – o tym też napomykałem w swoich ówczesnych tekstach, których nie uratował nawet podkład muzyczny.

Postanowiłem jeden z nich wydobyć z teczki i podsunąć dzisiejszym Czytelnikom „Śląska”.

*

Słowa w stanie nieważkości

Tak się jakoś składało, że dotąd – to znaczy do momentu, kiedy przed paroma tygodniami usiadłem przed tym mikrofonem – nie miałem okazji skorzystać z pełni wolności słowa w III Rzeczypospolitej. Z tym większą uwagą patrzyłem, co dzieje się ze słowem, które nagle zostało wyzwolone z wszelkich cenzuralnych ograniczeń. Oczywiście, jak przytłaczająca chyba większość ludzi, którzy nie mogą się oprzeć pokusie publikowania swoich wypowiedzi, nie posiadałem się z radości. Pamiętałem przecież bzdurne wielogodzinne dyskusje (jedna ciągnęła się nawet całą noc) z cenzorami na temat np. blahego felietonu, który usiłował przemycić jakąś ciekawą aluzję. Wtedy po prostu nieodparcie śmieszyły mnie – a czasem doprowadzały do wściekłości – „argumenty” cenzora, że ów felieton zagraża fundamentom ustrojowym PRL-u albo godzi w nasze sojusze. Kpią czy o drogę pytają? – zastanawiałem się. Są tacy głupi czy tacy cyniczni? Rzecz jasna, pracowali w cenzurze i głupcy, i cynicy, ale było też paru całkiem inteligentnych i odczytanych młodych ludzi. Ba! W niektórych rozpoznawałem moich własnych byłych studentów – i ci owe „argumenty” recytowali z uśmiechem zażenowania. Po prostu sama instytucja cenzury jak i cały „fundament ustrojowy” zbudowane były na zabobonnym lęku przed słowem i wierze w magiczną moc słowa.

Ów fundament był dość tandetny i rozsypany się gładko; nader żywotna okazała się natomiast wspomniana wiara. W jesieni 1989 roku wielu z nas miało absolutną pewność, że realny świat tworzy się wypowiadając odpowied-

nie zakłęcia, których dawniej nie wolno nam było wypowiadać. Właśnie! To wydaje mi się istotne: zabobonny lęk władzy przed wymykającym się cenzuralnym ograniczeniom słowem potęgował u ludzi dotkniętych tymi ograniczeniami wiarę w jego cudowną siłę sprawczą. Właściwie każdy, komu cenzura kneblowała usta, czuł się w posiadaniu SŁOWA, które mogłoby w sekundzie odmienić nasze życie. Jedni próbowali to sprawić apelując do najlepszych cech swoich bliźnich – ci, rzecz jasna wydali mi się bardziej sympatyczni. Drudzy otwarcie głosili, że aby mogło zwyciężyć dobro, trzeba najpierw przykładnie wyegzorcyzmować zło – i tych jakoś nie zdołałem polubić. Ale jedni i drudzy prędzej czy później musieli spostrzec (niektórzy nie spostrzegli do dziś, to prawda), że ich słowa w przerażającym tempie tracą swoją magiczną siłę oddziaływania – co stwierdziwszy mogli postąpić w zasadzie na dwa sposoby: zamilknąć albo powtarzać swoje zakłęcia coraz częściej i coraz głośniej. Czy muszę dodawać, że tylko nieliczni zdecydowali się na to pierwsze?

W każdym razie – nazwijmy ich tak – „egzorcyści” miotają nadal coraz cięższe oskarżenia. Można odnieść wrażenie, że wprost na ludzkie głowy toczy się kamienna lawina. Niemal słyszy się ogłuszający hurgot głazów, które powinny ścierać ludzi na proch. Ale to tylko złudzenie akustyczne, a miotane z furją kamienie, zamiast ludzi miażdżyć, fruwią sobie w powietrzu w jakiejś dziwnej przestrzeni, w której nagle przestało działać prawo grawitacji. Oczywiście ci, którzy mieli zostać ukamienowani (a jest wśród nich sporo niezgorszych kanalii), natychmiast zorientowali się, że te słowa, których tak się lękali, okazały się papierowymi maczugami – i nic dziwnego, że teraz pokładają się ze śmiechu. A „egzorcyści” dalej walą słowem jak cემem, jak kłonicą...

Sytuacja jest zgoła groteskowa. Takie sceny oglądaliśmy w filmach nieodżałowanego Benny Hilla: jeden troglodyta odziany w skórę wali drugiego w głowę z rozmachem maczugą, a ten drugi ani drgnie. Nie zamierzam się wtrącać w porachunki takich dżentelmenów, ale czasem czuję przyływ współczucia nie tyle dla bitego, co dla bijącego – i mam ochotę mu powiedzieć: jak już koniecznie musisz zdzielić bliźniego w głowę kłonicą, to najpierw sprawdź czy aby to subtelne narzędzie nie zostało wykonane z papieru lub styropianu. Bo w takim wypadku tylko się zmęczysz, zmachasz, a karcony jeszcze ci się roześmieje prosto w nos.

*

Tak to sobie pokpiwałem przed mikrofonem przeszło dwadzieścia lat temu, pochopnie bagatelizując problem brutalizacji języka naszych publicznych dysput i nie przewidując, że samo nadmierne zagęszczenie w powietrzu „słów w stanie nieważkości” może nam utrudnić oddychanie, czyli – mówiąc wprost – życie w wolnym kraju.

„Wreszcie żyjemy w wolnym kraju!” – powtarzaliśmy tak często, że i te słowa rychło musiały się zużyć i ztracić całą złożoność swoich znaczeń. „Jest wolność!”, „jest demokracja!” coraz częściej znaczyło tylko „wszystko mi wolno!”. Niemal z dnia na dzień postępowała erozja moralności indywidualnej i społecznej; prawie zniknęły z na-

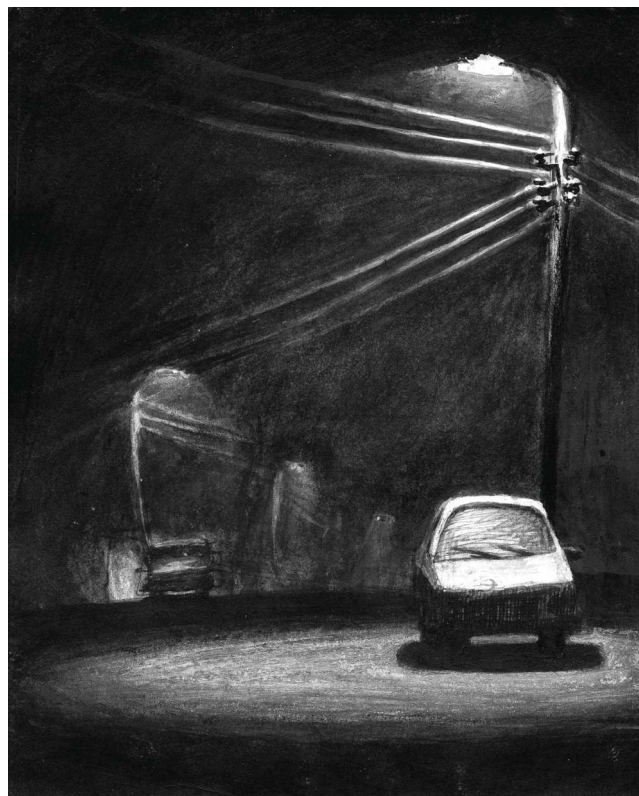
szego słownika pojęcia „odpowiedzialność” i „dyscyplina”. Nawet słowa Papieża-Polaka, że nie ma wolności bez odpowiedzialności, nagle straciły siłę oddziaływania.

Oj! Uderzyłem w ton zbyt wysoki, więc muszę szybko zejść o jakąś tercję (czy nawet oktawę) niżej. Niech mi w tym pomoże Tadeusz Różewicz, który jak nikt inny posiadał sztukę łączenia tonów wysokich i niskich. W 2004 roku napisał wiersz *słowa*, który zamieścił w tomie *Wyjście*. Zacytuję z niego dwie środkowe strofy:

za mojego dzieciństwa
można było słowo
przyłożyć do rany
można było podarować
osobie kochanej

teraz osłabione
owinięte w gazetę
jeszcze trują cuchną
jeszcze ranią

Jeszcze za mojego dzieciństwa żywa była naiwna wiara, że słowa dzielą się na dobre i złe; można było o kimś powiedzieć „dobre słowo”, albo przynajmniej nie można było powiedzieć „złego słowa”. Słowo było niezawodnym przewodnikiem w świecie wartości i ludzi. Dziś już wszystkie słowa zostały zakłamane i zdegradowane – więc jak żyć bez przewodnika?



Grafika: Krzysztof Rzeźniček

Z ARTUREM GOTZEM
rozmawia KATARZYNA PILARSKA



Mam sentyment do Katowic

– Urodziłeś się w Krakowie, uczyłeś w Olkuszu, grałeś w Londynie, studiowałeś we Wrocławiu, obecnie mieszkasz w Warszawie – trudno przypisać Cię do miejsca, a jednak mam wrażenie, że Śląsk jest tym miejscem, z którym wiele Cię łączy?

– Jestem obywatelstwem. Uwielbiam poznawać nowe miejsca, ludzi. To bardzo mnie inspiruje i rozwija jako człowieka, ale też jako aktora. Z Katowicami związany jestem od dziecka. Na ulicy Teatralnej mieszka moja ukochana babcia Helena, która prowadziła gabinet kosmetyczny. Przychodziły do niej ciekawe osobowości, również aktorki Teatru Wyspiańskiego, m.in. Violetta Smolińska. Z babcią oglądałem spektakle w Teatrze Śląskim, Teatrze Rozrywki, chodziliśmy na koncerty do filharmonii i na koncerty promenadowe w Parku Kościuszki, a po studiach zamieszkałem w Katowicach i pracowałem w chorzowskiej Rozrywce, a w ubiegłym roku śpiewałem koncert

w Parku Kościuszki. Marzenia się spełniają. Uwielbiam Śląsk i Ślązaków za szczerość. Tutaj nikt spraw nie owija w bawełnę. Pracuję też w Teatrze Nowym im. K. Dejmki w Łodzi i widzę, że Śląsk ma z Łodzią wiele wspólnego – oprócz industrialnej i secesyjnej zabudowy właśnie taką naturalność i świeżość wśród ludzi. Poza tym uwielbiam śląską gwarę. Jestem gorolem, ale czasami w towarzystwie lubię coś po śląsku powiedzieć. Mam sentyment do Katowic. Czuję się tu jak w domu. Poza tym najważniejsze dla mnie osoby w moim artystycznym życiu pochodzą właśnie stąd.

– Podobno jako dziesięciolatek byłeś zafascynowany historią Katowic.

– To prawda. Rozpocząłem od tramwajów. Znałem na pamięć wszystkie linie tramwajowe, jeździłem nimi razem z babcią. Cioce opowiadały mi, jak przed wojną wyglądały Katowice, że miały prawdziwy rynek, przez który płynęła Rawa. Zacząłem zbierać widokówki z Kato-

wic – stare i nowe, ale też czytać książki o historii miasta. Babcia kończyła pracę o siedemnastej, jedliśmy obiad, a po południu zwiedzaliśmy miasto i jego dzielnice. Kiedy byłem nastolatkiem już samodzielnie wędrowałem po różnych zakamarkach poza centrum, chodziłem do Muzeum Śląskiego, Muzeum Historii Katowic. Dziś to już całkiem oczywiste, wycieczki z całej Polski przyjeżdżają, żeby zobaczyć Nikiszowiec, ale wtedy niektórzy się podśmiewali, mówiąc, że chłopakowi się widocznie nudzi. Potem przyszedł czas na teatr i historia miasta już trochę poszła w odstawkę.

– Czy to wtedy rozpoczęłaś współpracę ze śląskimi instytucjami kulturalnymi?

– Nie tak od razu. Najpierw przygotowywałem spektakle dla kolegów z bloku, później byłem w różnych grupach teatralnych, sam również założyłem swój teatrzyk – Autorski Teatr Młodego Widza. Miałem wtedy 11 lat. Dość szybko zacząłem zdobywać nagrody na festiwalach w całej Polsce m.in. nagrodę za osobowość aktorską na Festiwalu „O Uśmiech Dziecka” w Mysłowicach, ale też w Pałacu Młodzieży w Katowicach. Dzięki nieżyjącemu już dyrektorowi Teatru Ateneum, panu Bogumiłowi Pasternakowi, trafiłem na tekst Jana Drdy *Zgadywanki Ondry Świniarka* i sam przygotowałem 40-minutowy monodram, mając za ledwie 14 lat. Zdobywałem nagrody i wyróżnienia m.in. nagrodę od Konsula Generalnego Republiki Czeskiej.

– A kiedy pojawiło się Towarzystwo Kultury Teatralnej i pani Otylia Czerny?

– To było mniej więcej w tym samym czasie. Pani Otylia, czyli kochana pani Tola, bo tak ją nazywaliśmy, to była moja teatralna babcia. Pamiętam, że napisałem do TKT list, bo wtedy jeszcze pisało się listy, i pani Tola zadzwoniła do mnie i godzinę ze mną rozmawiała, a później zaprosiła do swojego biura na ulicy Młyńskiej w Katowicach. Poszedłem tam i po prostu się w niej „zakochałem”. To była pani starsza nawet od mojej babci, ale znalazłem z nią wspólne tematy. Brałem udział w konkursach na recenzję teatralną i byłem nagradzany, potem zostałem wolontariuszem TKT i pomagałem w różnych pracach. Pani Tola to była torpeda – miała doskonałą pamięć, szanowała i kochała ludzi. Przed egzaminami do szkoły teatralnej poszedłem do niej, powiedziała, że we mnie wierzy, pobłogosławiła i zapewniła, że dostanę się za pierwszym razem. Tak się stało. Kiedyś powiedziała: – Przyjdiesz kiedyś na mój grób, zapalisz świeczkę i przypomnisz sobie Tolę i tę historię. Pani Tola zmarła pod koniec 2016 roku, miała 95 lat. Bardzo mi Jej brakuje.

– Po studiach we wrocławskiej PWST pracowałeś w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Jak tam trafiłeś?

– Moją wielką fascynacją było aktorstwo, ale pod koniec liceum pojawiło się również śpiewanie. To chyba Ewa Demarczyk spowodowała, że zapragnąłem śpiewać. Widziałem trzy jej koncerty, a jeden z nich w Rozrywce. Znałem też wspomnia-



łe musicale w Chorzowie i czułem, że to byłoby dla mnie idealne miejsce. Na IV roku śpiewałem w koncercie *Energia Pro. Młodzi* podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Śpiewali w nim studenci szkół teatralnych z Polski, ale też z innych krajów Europy. Dyrektorowi Dariuszowi Miłkowskiemu spodobał się występ mój i koleżanki z roku, Darii Karalskiej. Zaprosił nas na przesłuchanie i zaangażował do teatru. Jednocześnie grałem swoje koncerty, ale jeździłem też do Krakowa, ponieważ śpiewałem w Piwnicy pod Baranami.

– Jak udawało ci się to wszystko pogodzić?

– Jestem niespokojnym duchem, mam takie artystyczne ADHD i muszę robić wiele rzeczy. W jednym dniu próba z kompozytorem Zygmuntem Koniecznym, który napisał specjalnie dla mnie piosenkę, następnego dnia koncert, a później „Skrzypek na dachu” w Chorzowie, i jeszcze trasa koncertowa po USA w 2007 roku, bo dość szybko byłem zapraszany na koncerty zagraniczne. Po dwóch latach pracy w Chorzowie wygrałem casting do spektaklu Krzysztofa Zaleskiego i Macieja Englerta w Teatrze Współczesnym w Warszawie i dopiero wtedy zrobiło się naprawdę ciasno. Potrafił się jednak zorganizować. Zdażyłem przygotować jeszcze recital *Uspokojenie przyjemne* na Małą Scenę Teatru Rozrywki. Później wziąłem udział w kolejnym castingu do spektaklu *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* w Teatrze Kamienica w Warszawie, zostałem zaangażowany, i po trzech latach zdecydowałem, że muszę pożegnać się z Chorzowem.

– Nadal jednak grałeś w regionie. W katowickim klubie Old Timers Garage wystąpiłeś w *Piaskownicy* Michała Walczaka, która cieszyła się w tej nietypowej adaptacji dużym zainteresowaniem.

– To prawda. W tym klubie razem z reżyserem Adamem Biernackim i aktorką Anią Walkowiak otwieraliśmy naszym spektaklem scenę teatralną. To było w 2010 roku, w tej chwili to już Teatr Old Timers Garage, który wyprodukował wiele spektakli. Bardzo miło wspominać ten czas i przyjazdy do Katowic. Adam Grządziel, właściciel klubu, w którym jest też muzeum zabytkowych pojazdów, stworzył coś niesamowitego w tym dawnym kinie Piast. Graliśmy pod sceną, a publiczność siedziała z dwóch stron – na scenie i na widowni. Wykorzystaliśmy te stare samochody i publiczności bardzo się to podobało. Na premierę przyszło dwa razy tyle osób, ile było miejsc. To była wielka radość. Spektakl został przeniesiony do Teatru Nowego w Łodzi, w którym zacząłem wtedy pracę etatową.

– I znowu były podróże z Warszawy do Łodzi?

– Tak. Całe moje życie to podróż. Do legendarnego teatru Kazimierza Dejmka ściągnął mnie ówczesny dyrektor Zdzisław Jaskuła, poeta, artysta otwarty na ludzi i na poszukiwania w teatrze. Bardzo się cieszę, że mogłem go poznać. Niestety, zmarł dwa lata temu.

– Ominęliśmy Londyn. Na międzynarodowej scenie zadebiutowałeś w wieku 16 lat.

– To było wielkie szczęście. Dyrektorka polsko-angielskiego Teatru The Imagination, Anna Maria Grabania, zaprosiła mnie do współpracy. Przygotowałem tam trzy spektakle z cyklu *Legendy polskie* i zjeździliśmy z nim całą Wielką Brytanię. Pani Anna zaufała mi, jestem jej bardzo wdzięczny, bo przecież zaryzykowała, zapraszając amatora.

– Zdolnego amatora, z licznymi nagrodami.

– Ale jednak amatora, który w chwili otrzymania propozycji miał 15 lat. Czasami zawodowi aktorzy są nieodpowiedzialni, a co dopiero podlotek. Na szczęście wszystko się udało. Wtedy nie zdawałem sobie chyba sprawy z tego wszystkiego, co się wokół mnie działo. Wtedy nie było mowy o tremie, o stresie. Dzisiaj mam już większą świadomość tego, co proponuję publiczności. Dlatego często zastanawiam się, czy podążam w dobrym kierunku.

– Skąd wzięła się damsko-męska tematyka twoich piosenek?

– Początkowo nie miałem swojego repertuaru, wybierałem mało znane utwory z repertuaru innych artystów, ale kiedy na IV roku PWST trafiłem do Piwnicy pod Baranami, poznałem legendarnych kompozytorów Ewy Demarczyk, czyli Zygmunta Koniecznego i Andrzeja Zaryckiego, którzy podarowali mi swoje piosenki. To było dla mnie wielkie wyróżnienie. W tym samym czasie trafiłem na Darka Rzontkowskiego, współtwórcę Kabaretu Mumio. Piosenki Darka były bardzo zabawne, autoironiczne m.in. *Obciążę cię za moją ciężę*, *Nie zażyłem pigułki* oraz *Obiekt seksualny*. Tak zatytułowałem moją pierwszą płytę. W pięć lat później ukazał się *Mężczyzna prawie idealny*.

– Brzmie jak kontynuacja poprzedniej płyty.

– Faktycznie, to coś w rodzaju kontynuacji damsko-męskiej tematyki, ale jednak coś całkiem innego. Dzięki Michałowi Zabłockiemu poznałem Agnieszkę Chrzanowską, z którą bardzo się zaprzyjaźniłem. Agnieszka zaprosiła mnie najpierw do swojej audycji w Radiu Kraków, a później zagrałem koncert w jej Radiowym Teatrze Piosenki. To ona wymyśliła tytuł kolejnej płyty. Poprosiłem ją, żeby napisała jedną piosenkę i zgodziła się. W efekcie powstało 13 piosenek o psychofizycznej kondycji mężczyzn XXI wieku. Płyta różniła się muzycznie od tej pierwszej, była bardziej popowa i zyskała wielką popularność. W ciągu trzech lat zagrałem prawie 200 koncertów.

– To co robisz, jest też bardzo różnorodne – w ubiegłym roku, wraz z Emilianem Kamińskim, Katarzyną Pakosińską i Rafałem Królikowskim nagrałeś płytę z bajkami muzycznymi dla dzieci. Przypominam sobie jak czytałeś wiersze w Teatrze Małym w Tychach. Lubisz pracować samym głosem?

– Bardzo lubię. Jestem aktorem, dlatego tak wyczułony jestem na słowo, a z kolei jako wokalista odbieram bardziej intonację głosu, rytm i melodię. Wtedy w Tychach, ale też w Gliwicach, Bytomiu i wielu innych miastach Polski czytałem i śpiewałem w ramach Krakowskiego Salonu Poezji Anny Dymnej. Jeśli chodzi o bajki, to są aż dwie płyty. Do projektu zaprosił mnie Tomasz Gęsikowski. Wcielam się tam na przykład w postać krecika Felka, który chciał zobaczyć słońce. Moją ciotkę gra Justyna Sieńczyło. To wielka radość, bo ja od takich bajek zacząłem przygodę z teatrem. Najpierw służyłem, później spisywałem je, a następnie przedstawiałem w swoim pokoju. *Tam, gdzie mieszkają bajki* – taki tytuł nosi ta ostatnia płyta.

– Widowie mogą kojarzyć Cię także z kilkunastu ról serialowych i filmowych. Któraś jest Ci najbliższa?

– Trudno powiedzieć. Nie skupiałem się na filmie, choć bardzo lubię pracę z kamerą i lubię takie oszczędne aktorstwo filmowe. Mile wspominać pracę na Śląsku nad filmem telewizyjnym *Ściana śmierci*, który opowiadał o tragedii w kopalni w Rudzie Śląskiej. Grałem młodego górnika, Wojtka Wystracha. To postać autentyczna, a statystowali prawdziwi górnicy. Dopiero pod ziemią zobaczyłem, jak trudna i niebezpieczna jest ta praca. W serialu *Na Wspólnej* grałem przez jakiś czas ginekologa. Po jednym z koncertów przyszła kobieta w średnim wieku, która bardzo chciała umówić się na badanie, choćby w garderobie.

– A film *Karol – człowiek, który został papieżem*?

– To był mój debiut. Grałem tam niewielką rolę, czeskiego seminarzystę, Jurija Noge, ale sama tematyka była dla mnie istotna. Wtedy żył jeszcze Jan Paweł II.

– Czytałem w jednym z wywiadów, że niektórzy uważali Cię za krewnego Karola Wojtyły. Dopatrzili się podobieństw w tym filmie?

– Nie, to było w 1999 roku. Pojechałem wtedy występować do Londynu i wszyscy dziwili się, w jaki sposób znalazł się tam młody chłopak bez żadnych koneksji. Akurat w tym czasie Jan Paweł II przyjechał do Polski. Od razu ktoś rzucił plotkę, że papież blondyn i ja blondyn, a dodatkowo oboje jesteśmy z Małopolski, więc na pewno jestem rodziną papieża. Początkowo próbowałem to demontować, a później nawet mi się te plotki podobały, więc niech tak zostanie.

– Może nie wszyscy wiedzą, że wszystkie Twoje dotychczasowe teledyski zostały nagrane na Śląsku. Pierwszy powstał właśnie we wspomnianym Old Timers Garage, ale i kolejne nie wyszły poza granicę województwa.

– Trzy teledyski są śląskie ze względu na miejsce, ale też śląskich artystów, którzy w nich zegrali. *Milionerzy* to piosenka o jednym z dziesięciu najbogatszych Polaków. Idealnym miejscem był Old Timers Garage. A wystąpił w nim m.in. Darek Niebudek i tancerze z Teatru Rozryw-

ki, Weronika Ratajczak i Kryspin Hermański. *Obecny narzeczony* powstał na zamku w Ogrodzieńcu i w restauracji greckiej Irini, w Zawierciu. Tam wystąpiła m.in. Gosia Gadecka, Przemek Kania, Marian Florek, Piotr Wiśniewski, a w roli panny młodej Ewa Błachnio. Z kolei w TVP Katowice, w programie Anety Chwalby, poznałem Irka Bartkowiaka, który zaprosił mnie do Złotego Potoku i tam zrobiłem kolejny teledysk do piosenki *Duch, dusza i ciało*, z Elą Romanowską. Z katowicką telewizją również współpracowałem od dziecka, Aneta mnie zauważyła wiele lat temu. We wszystkich teledyskach nie mogło też oczywiście zabraknąć autorki, Agnieszki Chrzanowskiej, która z kolei pochodzi z Sosnowca.

– Śląsk wystąpił więc w filmach promujących drugą płytę pt. *Męczyzna prawie idealny* i zaistniał na całym świecie, to właśnie z tym albumem występowałeś od Stanów Zjednoczonych po Australię. Po takich przygodach chętniej się wraca do domu?

– Tak. Od kiedy mam swoje mieszkanie w Warszawie, czuję, że mam swój dom. To wspaniale wrócić po pięciu tygodniach trasy po Australii do swojego łóżka. Ostatnio wyjechałem na tydzień, wróciłem nad ranem po jubileuszu Agnieszki Chrzanowskiej w Teatrze Variete w Krakowie i okazało się, że zakręciłem kaloryfery i było strasznie zimno. Niemniej jednak wraca się z radością.

– W końcu zostałeś *Idolem*. W cudzoziemiu, bo to tytuł powieści, którą dla młodzieży napisała Marta Fox, mieszkająca w Katowicach. Jak to się stało, że jesteś głównym bohaterem książki?

– Martę zawsze podziwiałem z boku, dużo opowiadała o niej pani Tola Czerny. I kiedyś Marta przyjechała do Olkusza na spotkanie z młodzieżą. Czytałem fragment jej powieści. Przygotowałem się solidnie. Po latach Marta wspominała, że kiedy mnie usłyszała, była pewna, że zostanę aktorem. Później połączyła nas wspólna praca w Towarzystwie Kultury Teatralnej. Kiedy skończyłem studia, zaczęliśmy się artystycznie przyjaźnić. Często nazywam Martę moją teatralną mamą. Po mojej drugiej płycie Marta zadzwoniła z propozycją. Spotkaliśmy się w Katowicach, na Teatralnej, w kawiarni Za kulisami, i tam zdradziła swoje *niecne* zamiary. Zgodziłem się zostać tytułowym bohaterem. Powieść powstała po kilku miesiącach, przeczytałem ją przed drukiem w jedną noc, z wypiekami na twarzy. Miejsca akcji są w tej powieści autentyczne, także Teatr Bez Sceny Andrzeja Dopierały, w którym zresztą śpiewałem. Fabuła i bohaterowie są fikcyjni, tylko ja występuję tam pod swoim nazwiskiem. Jako bohater literacki uwikłany zostałem w przewrotną intrygę nastoletniej Soni.

– Czy w artystycznym życiu zdarzały Ci się podobne sytuacje z fankami?

– Wiele takich było, choć żadna nie przypomina tej z powieści. Podczas trasy koncertowej po USA trafiłem psy-

chofanke, amerykańskiego pochodzenia. Jeździła ze mną po całej Ameryce, pokonywała czasami wielkie odległości ze Seattle do Las Vegas, albo Los Angeles. Wyznawała mi miłość po koncercie podczas podpisywania płyt. Chciała, żebym się z nią ożenił i został w Stanach. Teraz wspominam to z uśmiechem, wtedy sytuacja była bardzo dramatyczna, nie wiedziałem jak z niej wybrnąć.

– Z Martą Fox odbywasz wspólne spotkania. O co pytają Cię młodzi ludzie?

– O wszystko. Są bardzo ciekawi świata. Dla mnie to inny kontakt z publicznością, bardzo intymny. Nie mogę się przysłonić tekstem, piosenką. To dla mnie prawdziwa przygoda. Spotkania są różne, czasami kameralne, a zdarza się, że na widowni jest 400 osób, jak w Teatrze Nowym w Łodzi. To było bardzo wyczerpujące niż spektakl! Musieliśmy zrobić show, ale chyba się udało, bo później przez godzinę podpisywaliśmy książki.

– Jakby tej działalności aktorskiej i wokalne było mało, zostałeś niedawno prezesem Fundacji Kultury i Sportu 44 w Warszawie. Co to za inicjatywa?

– Od wielu lat angażuję się w różne działania charytatywne. Potrzebna była jednostka prawna, aby móc działać na rzecz kultury i sportu. Zdecydowałem razem z moim bratem, Norbertem, absolwentem Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, że czas założyć fundację. Jestem odpowiedzialny za działania kulturalne, mój brat za sport. To są nasze początki, ale już wystąpiłem na Gali poświęconej kobietom chorym na nowotwory. Fundacja produkuje również moją płytę. Planujemy przygotowywać ciekawe projekty muzyczne, teatralne, warsztaty artystyczne, sportowe. Zapraszamy do współpracy wszystkich chętnych.

– Nie zwalniasz tempa, w Walentynki ukaże się twoja trzecia płyta z przebojami z Kabaretu Starszych Panów. Zawsze uciekałeś przed śpiewaniem nie swojego repertuaru – co Cię przekonało w tym przypadku?

– Miałem kilka piosenek Starszych Panów w repertuarze, też Marka Grechuty, Agnieszki Osieckiej, Bułata Okudźawy. Podczas trasy po Australii, ponad rok temu, śpiewałem m.in. *Już kapiesz się nie dla mnie*, w wersji lekko jazzowej, reakcje publiczności przerosły moje oczekiwania. Przed koncertem w Adelajdzie zaczęliśmy improwizować na próbie z klawiszowcem, Dawidem Ludkiewiczem, w efekcie czego powstała elektroniczna wersja tej piosenki. Publiczność namawiała mnie na nagranie płyty z tymi piosenkami i w takiej właśnie formie. Później podobnie reagowano w Polsce i w Szwajcarii. Pomyślałem sobie, czemu nie? Ale wiedziałem, że nie mogę zrobić tych piosenek po bożemu. Dodatkowym impulsem do pracy był fakt, że w 2018 roku przypada 60 rocznica powstania Kabaretu.

– Czyli będą to wykonania nietradycyjne? Nie obawiasz się krytyki – tak to jest, gdy pewne utwory od razu słyszymy w głowie w oryginalnie.

– Strach zabija sztukę. Gdybym się bał, to większości rzeczy nie zrobiłbym w swoim życiu. Oryginał jest niedoścignionym wzorem i nie zamierzam nawet się z nim mierzyć. Ale chciałem zrobić ukłon w stronę tych wybitnych artystów, których w większości już nie ma albo nie występują publicznie. To moja interpretacja muzyczna tej wspaniałej klasyki. Uważam, że tylko w nowoczesny sposób mogę pokazywać te piosenki, aby przemówić do młodszej publiczności, która nie słyszała w życiu o Kabarecie Starszych Panów. Poza tym nie zmieniam tekstu i muzyki, szukam w tej muzyce rytmu, bawię się nim, a także gatunkami muzycznymi, formą. Dużo w tych nowych aranżacjach pastiszu, ale to kabaret, więc trzeba trochę przymrużyć oczy i śmiać się.

– Teledysk do piosenki *Już kapiesz się nie dla mnie* też nas pewnie zaskoczy?

– Mam nadzieję. Powstał w Teatrze Nowym w Łodzi, wystąpili wspaniali aktorzy m.in. Agnieszka Korzeniowska, Barbara Dembińska, Anna Walkowiak-Sikorska, Arleta Lemańska, Sławomir Sulej. W jedną z ról wcieliła się sama Marta Fox. Miała trudną scenę do odegrania, musiała wdrapać się na wielkiego, sztucznego wielbłąda i siedzieć na nim ponad godzinę. Reżyserią zajął się Adam Biernacki, który jest autorem hejnału Katowic, i Tadeusz Kubicz, student katowickiej Filmówki. Premiera w lutym.

– Kiedy będziemy mogli Cię znów usłyszeć na Górnym Śląsku?

– Śląska premiera mojej trzeciej płyty z piosenkami Starszych Panów odbędzie się 18 marca w Teatrze Rozrywki. Serdecznie zapraszam. Zresztą dość często śpiewam na Śląsku – wielokrotnie gościłem w ciągu ostatnich lat w Teatrze Żelaznym w Katowicach, czy w Teatrze ŚwiętochOFFice. Mam tutaj swoją publiczność, która o mnie nie zapomni.

ARTUR GOTZ – wokalista, aktor teatralny i filmowy, po studiach we wrocławskiej PWST związany ze scenami Warszawy (Współczesny, Kamienica, 6. Piętro), Łodzi (Nowy) i Chorzowa (Rozrywki). Wokalnie debiutował w Piwnicy pod Baranami, współpracuje z Zygmuntem Koniecznym i Agnieszka Chrzanowską, grał w wielu produkcjach telewizyjnych i filmowych. Wydał albumy: *Obiekt seksualny* i *Męczyzna prawie idealny*. Artysta śpiewał w całej Polsce, ale również w wielu miastach Europy, USA i Australii. Zagrał ponad 350 koncertów. Teraz promuje swoją trzecią płytę z piosenkami z Kabaretu Starszych Panów w elektronicznych aranżacjach.

KATARZYNA PILARSKA pochodzi z Gliwic, miłośniczka teatru, dziennikarka radiowa przez lata związana z Polskim Radiem Katowice i I Programem Polskiego Radia. Swoje teksty publikowała m.in. w portalu wiadomo.co. Obecnie zajmuje się promocją kultury.

4 stycznia 2018 r. o godz. 17.00 w Muzeum im. Gustawa Morcinka w Skoczowie odbyła się promocja książki *Szukanie kluczy. O literaturze poobozowej Gustawa Morcinka*, autorstwa dr Lucyny Sadzikowskiej z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikacja, będąca przepracowaną wersją pracy doktorskiej, ukazała się nakładem Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” pod koniec 2017 roku.

Gośćmi wieczoru były autorka książki oraz promotorka dysertacji doktorskiej prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, która moderowała i podsumowała rozmowę.

Warto odnotować, że spotkanie miało miejsce w sali ekspozycyjnej ze stałą wystawą dotyczącą życia i twórczości Gustawa Morcinka.

Promocję poprzedziło przywitanie gości, wśród których znaleźli się przedstawiciele Rady Miejskiej Skoczowa, m.in. przewodniczący Rajmund Dedio i Maria Brodniewicz, emerytowani nauczyciele i dyrektor Liceum im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie Mateusz Czupryna, burmistrz Skoczowa poprzedniej kadencji Janina Żagan, dr Joanna Jurgała-Jureczka, dr hab. Mirosław Mika z Uniwersytetu Jagiellońskiego, przedstawicielki Biura Promocji Miasta Skoczowa, Monika Jaworska z „Gościa Niedzielnego”, Maciej Kuglin spadkobierca i osoba bliska Gustawowi Morcinkowi, dr Bogumiła Warzachowska, kierownik Biblioteki Wydziału Teologicznego US oraz mieszkańcy miasta. Wprowadzeniem do rozmowy stał się zacytowany przez Rozalię Wawronowicz, kierownika Muzeum im. Gustawa Morcinka fragment recenzji wydawniczej ks. prof. Jerzego Szymika, który napisał, że: „... to jest książka, z której coś ważnego dla tajemnicy człowieczeństwa i życia wynika, to jest myślenie w zwarciu z nieprzemijającą problematyką”.

Autorka podczas wieczoru opowiedziała, co skłoniło ją do przeczytania literatury poobozowej, która wyszła spod pióra pisarza, i jakie po lekturze narodziły się refleksje i wnioski. Uświadomiła, że twórczość poobozowa autora *Listów spod morwy*, choć z różnym natężeniem, przedstawia makabryczne obrazy lagrowego życia, od których do końca życia pisarz nie mógł się uwolnić. Pisarstwo miało się stać swoistym *katharsis* dla autora i osób po podobnych przejściach, a w przyszłości dla wszystkich, których życie postawiło w sytuacji granicznej.

Dr Lucyna Sadzikowska interesująco opowiadała o swojej książce. Wspomniała, że swoistego rodzaju kontynuacją i uzupełnieniem jej wiedzy o doświadczeniach ludzi, którzy przeżyli piekło obozów koncentracyjnych, były rozmowy z żyjącymi jeszcze byłymi więźniarkami lagrów. Podzieliła się osobistymi spostrzeżeniami na temat cierpienia człowieka podczas drugiej wojny światowej, twierdząc, że ta tematyka nadaje twórczości Morcinka wymiar uniwersalny. Przekonywała, że pisarstwo autora *Wyrąbanego chodnika*, które powstało tuż po doświadczeniach z Dachau i na długo po nich (*Judas*

Niespodziewany powrót Gustawa Morcinka



Prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, dr Lucyna Sadzikowska i Rozalia Wawronowicz

z *Monte Sicuro*) jest równie ważne, choć niedoceniane, jak tematyka śląska.

Jednak pisarz, który przed wojną twierdził, że „ludzie są dobrzy”, przeformułował swój sąd, który teraz brzmiał, że „ludzie mogą być dobrzy”. Morcinek dzięki swojej ufności i franciszkańskim zasadom zachował wiarę w Boga i człowieka. I taką postawę wpisał też w postaci wielu swych bohaterów.

Sadzikowska stwierdziła, że sąd wybitnego badacza, prof. Zbigniewa Jerzego Nowaka, iż literacki wyraz przeżyć obozowych był swego rodzaju zabiegiem terapeutycznym dla pisarza, stał się niejako inspiracją do napisania monografii, której celem nadrzędnym jest próba udzielenia odpowiedzi na pytanie, czy możliwe jest odnalezienie „kluczy”: do prawdy, do drugiego człowieka, do samego siebie.

Na kartach swoich książek autor *Lyska z pokładu Idy* śmiało zadawał pytania o podstawowe wartości, które za drutami kolczastymi zostały lub wydawać się może, że zostały zbrukane lub unicestwione.

Wieczór autorski był niezwykle interesujący, nie tylko ze względu na temat, ale na ożywioną rozmowę między gośćmi a słuchaczami. Autorka, mówiąc o doświadczeniu cierpienia przez pisarza na podstawie jego pisarstwa poobozowego, poruszyła temat wiary, świętości i człowieczeństwa.

Dialog, jaki prowadziły badaczki, zachęcił uczestników spotkania do zadawania pytań i podzielenia się swoimi odczuciami. Pewne aspekty z życia pisarza zostały zweryfikowane i wyjaśnione

przez prof. Krystynę Heską-Kwaśniewicz, znawczynię jego życia i twórczości. Uczestnicy promocji dowiedzieli się też interesujących informacji z życia osobistego Gustawa Morcinka, od przybyłego na spotkanie Macieja Kuglina. Obalił on krzywdzącą Morcinka obiegową opinię, że był on człowiekiem skąpym, sknerą. Wystarczy przywołać tylko jedną z kilku historii, jakimi Maciej Kuglin podzielił się z zebranymi, a która dotyczyła zakupionego przez pisarza we Włoszech ekspresu do kawy, wówczas przedmiotu bardzo luksusowego. Podczas spotkania rozwinęła się ożywiona dyskusja i przypomniano postać autora *Żagubionych kluczy*, którego połowa przybyłych pamiętała ze swojego osobistego kontaktu i zachowała we wdzięcznej pamięci. Wspomnienia były pozytywne, a samego pisarza określono jako kulturalnego i dobrego człowieka.

Było to inspirujące spotkanie literackie, podczas którego Gustaw Morcinek został na nowo odkryty, a goście po zakończeniu części oficjalnej jeszcze w kulturalnych prowadzili ożywione rozmowy na temat wybitnego Skoczowianina. Na koniec uczestnicy nabyli książkę, ustawiwszy się w kolejce po autograf.

Promocja przebiegła w bardzo ciepłej i sympatycznej atmosferze, a dodatkowym walorem był fakt, że odbyła się w Muzeum imienia pisarza i w mieście, w którym przez czterdzieści lat mieszkał i tworzył.

ROZALIA WAWRONOWICZ
Kierownik Muzeum
im. G. Morcinka w Skoczowie



Profesor Jan Malicki

PIOTR URBAŃSKI

1. Nie jest tylko realizacją toposu afektowanej skromności stwierdzenie, że piszący te słowa czuje się onieśmielony przypadającym mu w udziale zaszczytem sportretowania własnego Promotora, Profesora Jana Malickiego, którego był jednym z pierwszych doktorów przed niemal ćwierć wiekiem na Wydziale Filolo-

gicznym Uniwersytetu Śląskiego. Promotora, który – by przepisać z dedykacji pomieszczonych w kilku książkach – nieustannie wzywał swoich uczniów do nie Zoilowej emulacji.

Przypomnę, że Jan Malicki, absolwent katowickiej polonistyki AD 1972, związany jest z nią przez całe swoje życie zawodowe. Pod opieką Profesora

ra Jana Zaremby rozpoczął karierę naukową, której dynamika musiała budzić i podziw, i zdumienie swym tempem i rozmachem. W ciągu czterech lat przygotował pracę doktorską, kolejne cztery zajęła mu habilitacja, niebawem został docentem, a w wieku lat czterdziestu siedmiu uzyskał tytuł profesora – wszystko to zdecydowanie wcześniej niż przewidywały to standardy w Jego pokoleniu. Dynamika ta była wszakże nie pogonią za kolejnymi szczeblami akademickiej kariery, ale wyrastała z przekonania, że dopiero wypełniwszy wszystkie zobowiązania, jakie przed uczonym stawia akademicka tradycja i prawo, może on w sposób w pełni wolny, niezależny i twórczy rozwijać swe badania, poświęcić się wyzwaniom, jakie przynosi uniwersytecka codzienność, a zwłaszcza budować własną szkołę.

2. Spośród książek Profesora Jana Malickiego chciałbym zwrócić uwagę tylko na kilka najważniejszych, stanowiących zarazem fundament dla Jego późniejszych publikacji.

Już pierwsza, która jest zmienioną wersją pracy doktorskiej, *Słowa i rzeczy. Twórczość Wacława Potockiego wobec polskiej tradycji literackiej* (1980) stanowiła nowoczesną monografię nieco wówczas zapomnianego poety, przywracającą mu właściwe miejsce wśród pisarzy polskiego baroku. Stawiała sobie ona za cel „określenie miejsca, jakie zajął Potocki w kontekście przemian dokonujących się w literaturze drugiej połowy XVII wieku”. Pamiętajmy, że książka powstała jeszcze przed pojawieniem się fundamentalnej edycji Leszka Kukulskiego i wciąż stanowi ważny punkt odniesienia dla wszystkich, którzy zajmują się poetą z Łużnej. Świadomość literacka, praktyka genologiczna, topika staropolska, wreszcie sposoby recepcji dzieł Potockiego to najważniejsze zagadnienia poruszone w rozprawie, wprowadzającej także rzadką wówczas metodę retorycznego badania tekstów dawnych, bliską Profesorowi również w jego kolejnych studiach. Udało się mu też niejako przy okazji, na przykładzie twórczości Potockiego, uchwycić ewolucję literatury polskiej w okresie dojrzałego baroku. Autor konkludował: „Tak więc nie tylko tradycja modyfikowała strukturę dzieła czy jedynie na nowo określała jego funkcje. W poważnym zakresie przyczyniła się do tego również kultura pisarza, rozumiana jako suma doświadczeń literackich, znajomość reguł i gustów odbiorcy oraz



kontaktów z innymi twórcami”. Do twórczości Potockiego, jak również do wątków poruszonych w tej rozprawie, jak choćby socynianizm czy figura-topos rycerza chrześcijańskiego, Profesor Malicki wracać miał wielokrotnie.

Opublikowana dwa lata później książka habilitacyjna *Mity narodo-we. Lechiada* (1982) to pierwszy etap zainteresowania Profesora historiografią i zawartymi w niej koncepcjami etnogenezy Polski (a później również Śląska) i problemem legendy eponimicznej, a zarazem badaniami nad świadomością historyczną. Zostało tu wyrażone przekonanie, że tylko dzięki narzędziom literaturoznawczym możemy dotrzeć do najgłębszego, prawdziwego przesłania, jakie zostało zapisane w dawnych tekstach historycznych, co dokonuje się dzięki dialektycznemu oglądowi prawdopodobieństwa-literackości oraz historyczności-prawdy zawartej w dziełach, które podążyły za odmiennymi tradycjami czy też były pisane na użytek innych środowisk i odbiorców, wyrażając wszakże ich odmienne zapatrywania i próby określenia własnej tożsamości, by ostatecznie współtworzyć ideologię sarmacką (to wszakże kolejny z ulubionych problemów Profesora Malickiego), decydującą o swoistości kultury polskiej i stanowiącej w oświeceniu czynnik modyfikujący w niej to, co wspólne, europejskie.

Wątki te są wyraźne również w studiach pomieszczonych w zbiorze *Legat wieku rycerskiego. Studia staropolskie* (1989) i jego poszerzonym wydaniu (*Legat wieku rycerskiego. Studia staropolskie dawne i nowe*, 2006) – książce, która znalazła się swego czasu w kanonie lektur studentów polonistyki w Katowicach i Szczecinie, a pewnie i innych ośrodkach. Zebrane tu prace koncentrują się przede wszystkim wokół problematyki antropologicznej i retorycznej w literaturze, a także tożsamości narodowej i kulturowej – polskiej i śląskiej. Duża część książki dotyczy szeroko pojmowanej historiografii. Czytelnik ma więc możliwość zapoznania się z panoramą literatury staropolskiej przez przyjrzenie się zjawiskom uznanym przez Profesora za najbardziej interesujące. Co ważne, zaproponowane przez Niego interpretacje mogą „uwieść” czytelnika; pokazać mu, że świat tekstów staropolskich jest zajmujący i pasjonujący, a poruszane w nich problemy bywają aktualne i dziś. Jan Kochanowski, Wacław Potocki, Maciej Kazimierz Sarbiewski to autorzy, którzy wielokrotnie zajmowali i fascynowali Profesora

Malickiego, także jako bohaterowie tomów przez niego redagowanych.

Wreszcie książka *Laury, togi, pastorały. Szkice o kulturze literackiej renesansowego Śląska* (1983) otwiera istotny nurt śląskoznawczy w badaniach Jana Malickiego. Zwraca tu uwagę to, co stwierdza On o długim trwaniu łacińskiego humanizmu na Śląsku, współlistnieniu literatury pisanej po łacinie, po polsku i po niemiecku. A także obiegach czytelniczych, w których funkcjonowały te literatury.

3. Nie sposób pominąć tu *cursus honorum* – funkcji akademickich Profesora Jana Malickiego: poczynając od zastępcy dyrektora Instytutu Nauk o Literaturze (1974–1980), przez prodziekana Wydziału Filologicznego (1982–1985) do dziekana Wydziału Filologicznego (1987–1990). Zwłaszcza ta ostatnia funkcja, dziekana czasów przełomu, zasługuje na dobitne podkreślenie. Końcówka lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia była przecież nie tylko nową rzeczywistością i polityczną, i ekonomiczną uniwersytetów, ale także szansą na dokonanie rzeczy o wymiarze i symbolicznym, i historycznym. W przypadku Profesora Malickiego, co oczywiste, przypomnieć trzeba jego wygraną batalię o budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR jako katowicką siedzibę części Wydziału Filologicznego, zwłaszcza polonistyki. Chyba do dzisiejszego dnia wszyscy, którzy uczestniczą w posiedzeniach Rady Wydziału czy w rozmaitych uroczystościach akademickich odbywających w dawnej sali egzekutywy KW mają poczucie przełomu, który się dokonał i symbolicznego wzięcia w posiadanie przez humanistykę i naukę przestrzeni, w której królowała ideologia.

Pomimo swych wielorakich obowiązków i zaangażowania dziekan Malicki znajdował czas m.in. na to, by co dwa tygodnie systematycznie dojeżdżać na zajęcia do nowo powstałego Uniwersytetu Szczecińskiego, wspomagając budowanie staropolszczyzny w młodej uczelni, przechodząc też do miejscowej legendy studenckiej jako bardzo wymagający acz życzliwy profesor. Właśnie w Szczecinie ówczesny Docent Malicki spotykał się z wybitnym neolatynistą Profesorem Stefanem Zablockim. Obaj uczeni żywili przekonanie, że do kompletności jakiegokolwiek wydziału filologicznego niezbędne są studia w zakresie filologii klasycznej. Marzenia szybko się urzeczywistniły i Katedra Filologii Klasycznej została powołana w Kato-

wicach w roku akademickim 1991/1992. Był to w moim przekonaniu jeden z najważniejszych sukcesów organizacyjnych Profesora Jana Malickiego, stanowiących nieco przesunięte w czasie dopełnienie lat dziekanowania – zwłaszcza jeśli przyjrzymy się niektórym sylwetkom uformowanych tu, wciąż młodych, jej pracowników, doskonale rozpoznawalnych i w kraju, i za granicą.

4. Niewątpliwie nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że w życiu zawodowym Profesora Jana Malickiego wyrazistą cezurę stanowi rok 1991, gdy objął stanowisko dyrektora Biblioteki Śląskiej w Katowicach, które piastuje nieprzerwanie aż do dnia dzisiejszego. Gdy podejmował się nowych obowiązków, był do nich świetnie przygotowany przez lata uczestniczenia w administracji Instytutu i Wydziału. Wiedział też, że cena, jaką trzeba będzie za to zapłacić będzie wysoka: zamiast skupić się na pisaniu planowanych kolejnych książek, będzie musiał zająć się budową nowego gmachu książnicy i zarządzaniem – a przypominam, że były to wciąż początki gospodarki rynkowej, kłopoty z finansowaniem, wykonawcami etc. Kilka lat później, w roku 1998, powstał jednak pomnik trwalszy od spiżu – jeden z najnowocześniejszych i najbardziej funkcjonalnych budynków bibliotecznych w Europie. Dyrektor Malicki zawsze był przekonany, że była to decyzja ze wszech miar słuszna, pomimo różnorodnych kłopotów, jakie przez ponad dwadzieścia lat musiał systematycznie przezwyciężać. Jednocześnie Biblioteka Śląska pod rządami Profesora coraz bardziej umacniała swą pozycję jako instytucja naukowa i kulturalna, dodając coraz to nowe zadania i funkcje do kalendarza swoich działań. Tym samym stała się ona niemożliwą do przecenienia placówką, mającą ugruntowane miejsce i w regionie, i w kraju, i w Europie. Wspomnę tylko dynamiczne badania śląskoznawcze, stanowiące kontynuację pasji Profesora, poświęcone im serie wydawnicze i osobne książki; liczne spotkania, wśród których wymienić wypada choćby cykliczny Śląski Wawrzyn Literacki; wystawy i koncerty; bogatą działalność edukacyjną; wreszcie przygarnięcie pod skrzydła zacnej instytucji cennych inicjatyw, które na fali przemian bądź kłopotów finansowych podmiotów dotychczas je prowadzących znalazły schronienie w gmachu przy placu Rady Europy 1 i patrona w osobie jego gospoda-



rza – choćby „Śląskie Miscellanea” oraz czasopismo poświęcone literaturze dla dzieci „Guliwer”. A wszystko to, pamiętajmy, działo się i dzieje niejako na marginesie czy jako uzupełnienie podstawowej działalności Biblioteki, rozwijającej księgozbiór i tradycyjny, i cyfrowy, stanowiącej też punkt odniesienia dla kilkuset bibliotek na Śląsku, wreszcie stając się po niekąd drugą biblioteką uniwersytecką. „Pozostaję przy wizji biblioteki aktywnej, która trudni się nie tylko gromadzeniem i udostępnianiem zbiorów książkowych, ale też integruje grupy ludzi. Szczególnie zależy mi na bibliotekach w małych gminach, chciałbym, by w każdej istniała biblioteka, by nie łączono ich z domami kultury” – mówił Profesor przed kilkoma laty.

Kiedy nawet pobieżnie przegląda się publikacje Profesora z tego okresu jego działalności zawodowej (są wśród nich także liczne prace redakcyjne, edycyjne, popularnonaukowe, eseje przypominające niemal zapomnianych, a ważnych dla kultury śląskiej i narodowej, jak choćby Józef Lompa), nie można oprzeć się wrażeniu niezwykłego dynamizmu, wyrażającego się słowem *magis: stiliae temporum* – ‘kropelki czasu’, o których pisał św. Augustyn (*Confess.* 11.2.2), zostały w pełni spożytkowane, stanowiąc *otium* po trudach pracy administracyjnej w księżnicy i codzienności uniwersyteckiej.

5. Ta ostatnia to przecież nie tylko kierowanie Zakładem Literatury Średniowiecza i Renesansu (również od roku 1991), który stał się jednym z najciekawszych środowisk staropolan. To również wypromowanie dziesiątków magistrów oraz niemal trzydziestu doktorów, z których większość podejmowała w swych rozprawach tematy staropolskie i śląskoznawcze. Liczba to imponująca, porównywalna chyba tylko z seminarium Profesora Andrzeja Borowskiego na Wszechnicy Krakowskiej. To również udział (w różnym charakterze) w kilku kolokwium habilitacyjnych, również własnych uczniów, z których kilkoro pracuje na stanowiskach profesorskich nie tylko w macierzystym ośrodku, ale również w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. O Profesorze Janie Malickim jako promotorze można rzec, że to rzeczywiście *vir bonus docendi peritus*. Nigdy bowiem nie narzucał swoim uczniom tematów ani opcji metodologicznych, stawiał na ich poznać *cupiditas* i *curiositas*, a także *maturitas* – nawet jeśli niekiedy mieli poczucie, że dzieje się tak zbyt wcześnie. Inspirował, stymulował, zachęcał, stwarzał możliwości wystąpienia konferencyjnych i publikacji (by wspomnieć tylko o zaproszeniach do składania tekstów do kolejnych tomów serii „Staropolskie teksty i konteksty” czy nowej serii „In Gremio”), budując prawdziwie przy-

jacielską wspólnotę badaczy, dziś aktywnych w wielu miejscach nie tylko Polski.

6. Dorobek naukowy, dydaktyczny, administracyjny i kulturotwórczy Profesora Jana Malickiego jest i bogaty, i różnorodny, i ponadprzeciętny w sensie takim, że jego zatrudnieniami i dokonaniem obdzielić by można kilka osób. Jest też ów dorobek w jakimś rozumieniu spełniony, acz przecież czekamy na moment, w którym Jubilat, wolny od trosk *vita activa* i administracji, będzie mógł cały swój czas poświęcać na *vita contemplativa* – na pracę naukową, na zrealizowanie marzeń, jakie formułował już przed trzydziestu laty, jak choćby napisanie nowoczesnej panoramy literatury śląskiej (kontynuując tym samym zamysł Wincentego Ogrodzińskiego), której konspekt dał już w tomie *Metodologiczne aspekty historycznoliterackich badań śląskoznawczych* (1989). Ufać trzeba, że w czasie wielkiego owocowania znów z wielką mocą zaszumią laury, togi i pastorały, a Lech i inni eponimowie powrócą po latach wraz z „Kadłubkowymi wymysłami”; że Jan z Czarnolasu i Waław z Potoka znajdą swe miejsce w najbardziej dojrzałym i twórczym etapie życia naukowego Profesora, który wszakże wciąż jeszcze przed nim.



Rozmowa z dr **ANDRZEJEM KRZYSTYNIAKIEM**, historykiem, publicystą, działaczem społecznym

Musimy być otwarci na zmiany...

– **Tadeusz Sierny:** Na jaki rodzaj działań, imprez powinien być w naszym województwie kładziony szczególny nacisk ze względu na zamiar realizacji przedsięwzięć związanych z realizacją Programu Wieloletniego *Niepodległa 2017-2021*, pamiętając, iż tutaj na Śląsku kontynuowany on będzie do końca roku 2022?

– **Andrzej Krzystyniak:** W moim mniemaniu główną ideą tego programu jest zaktywizowanie przede wszystkim samorządów lokalnych i regionalnych do organizowania uroczystych obchodów tej rocznicy, w celu integracji naszej społeczności, propagowania historii. Trudno powiedzieć jaki rodzaj imprez będzie tej idei najbardziej sprzyjać, mówiąc ogólnie my na Śląsku, mam tu na myśli województwo katowickie – przede wszystkim powinniśmy kultywować pamięć o Powstaniach Śląskich, krzewić kult bohaterów tych zrywów, upowszechnić zyciorysy powstańców, oraz wiedzy o pomyślnym dla Polski finale tego zrywu. Taki będzie program Wojewody Śląskiego, który wspólnie przygotowujemy. Pokażemy także historię Powstańców w okresie międzywojennym, tragiczne ich losy we wrześniu 1939 roku po wkroczeniu wojsk niemieckich na Śląsk, w okresie wojny oraz po wojnie do późnych lat 80. W tej prezentacji mieszczą się zarówno historia Śląska jak i historia Polski.

– **Jak pokazywać, jak demonstrować historię Śląska nie jako odrębnej od Polski dzielnicy, ale jako integralnego zjednoczonego z Polską regionu? Słowem jak prowadzić edukację regionalną, tak by zmierzać do utrwalenia tendencji integracyjnych, a nie dezintegracyjnych w samym województwie i wobec reszty Polski?**

– Śląsk nie jest jakąś wyalienowaną, samotną wyspą otoczoną wrogami, nigdy taką wyspą nie był. Wróćmy do Powstań Śląskich, upłynęło kilkadziesiąt lat, w czasie których Śląsk jest poza polskim organizmem państwowym, a mimo to w 1918 rozpoczęła się wrzenie w polskim środowisku Ślązaków, w 1919 Pierwsze Powstanie Śląskie, kolejne powstania, Ślązacy walczą. Oczywiście nie wszyscy mieszkańcy tej ziemi chcą przyłączenia jej do Polski, Niemcy tego postulatu nie zgłaszają i stanowczo, siłowo mu się sprzeciwiają.

W okresie międzywojennym ogrom pracy integracyjnej wniesionej przez Ślązaków, której efekty uzyskiwano z ogromnym trudem – nie tylko na Śląsku – we wszystkich częściach i regionach Polski scalanych

z ziem trzech przecież zaborów, częstokroć wyjątkowo zniszczonych przez wojnę i wojska wojujących stron. Wreszcie 1939 rok – wkroczenie wojsk niemieckich spotyka się ze zbrojnym oporem, regularna armia „Śląsk” wycofuje się, ale do 4-5 września trwa walka z najeźdźcą. Dowodem polskości tych ziem jest chociażby przygotowana przez niemiecki wywiad obszerna lista proskrypcyjna nazwisk osób zakwalifikowanych do natychmiastowej likwidacji.

Gdyby Ślązacy nie optowali za polskością stworzenie takiej listy nie byłoby w żaden sposób uzasadnione, ale przewidywano opór przeciw germanizacji i sporządzono taki spis. Obraz renegatów witających Niemców kwiatami, wiwatujących na cześć niemieckiej armii zła, jest nieprawdziwy, tak nie zachowywali się Ślązacy, to nie jest Śląsk.

– **Jak Pana zdaniem opisywać okres po 1945, nasza świadomość rozdarta jest między skrajnymi postulatami, wyłącznie jedynie czarnym, negatywnym i białym, wyłącznie pozytywnym obrazem Śląska. Jak opisywać historię tych lat, by zachować dobrą pamięć o wysiłkach i uczciwym dorobku zyciowym mijających pokoleń naszych dziadków, ojców?**

– No, nie może być ten okres po 1945 do 1989 oceniany wyłącznie negatywnie. Po 1945 roku wkracza Armia Sowiecka i instalowany jest reżim komunistyczny, podporządkowany Moskwie, wrogi Polsce.

Ja bym przedstawił historię powojennego Śląska przez pryzmat dramatycznych dziejów rodziny Girtlerów.

Ojciec dwóch synów, powstaniec śląski, uczestnik II i III Powstania Śląskiego, w 1939 po wkroczeniu Niemców aresztowany i w 1940 roku zamordowany w obozie koncentracyjnym Mauthausen; Joachim Girtler kleryk – który za działalność antyniemiecką zostaje zgilotynowany w więzieniu przy ulicy Mikołowskiej w Katowicach; Stefan Girtler żołnierz Armii Krajowej po 1945 roku, po 1945 żołnierz Konspiracyjnego Wojska Polskiego, w 1946 roku skazany na karę śmierci i w pokazowym procesie w kinie Żorza, w dawnym Domu Powstańców w Katowicach, zamordowany przez rozstrzelanie w grudniu 1946 roku – także w więzieniu na ul. Mikołowskiej w Katowicach, w tym samym więzieniu gdzie Niemcy mordowali polskich patriotów. To przykład dramatycznej historii rodziny śląskich patriotów.

Lata 1945-1989, buduje się wielki przemysł na Śląsku, kopalnie, huty dające pra-

cę Ślązakom i ludziom napływowym, powstawały nowe miasta np. Tychy, Jastrzębie i in. W tych ośrodkach nie znajdziemy argumentów dla uzasadnienia tzw. wielokulturowości Śląska, tam żyli i pracowali wyłącznie Ślązacy i Polacy z różnych innych stron Polski. Ludzie, którzy chcieli żyć w Polsce. To był ich niewątpliwy i bezdyskusyjny dorobek, uzyskany uczciwą, solidną pracą. Dziś mamy niestety na Śląsku obszary zdegradowane, zapomniane, które po latach eksploatacji wołają o pomoc i tej pomocy w sposób absolutnie uzasadniony potrzebują. Musimy mieć nadzieję, że Śląskowi zostanie przywrócony nowoczesny przemysł, że zdarzy się reindustrializacja.

– **Żyjemy w drugiej dekadzie XXI wieku, poza procesami demograficznymi – starzenia się naszej społeczności i wyludniania miast z powodów naturalnych, obserwowujemy emigrację szczególnie tych dobrze wykształconych, młodych ludzi ze Śląska do innych miast Polski, Krakowa, Warszawy i za granicę. Jak zahamować i odwrócić ten niebezpieczny dla naszego regionu proces?**

– Świat nie stoi w miejscu. Wszystko wokół nas ulega szybkim zmianom. Mam nadzieję, że ten zauważony przez Pana odływ ludzi młodych nie jest aż tak wielki, ale problem dostrzegam, sam mam znajomych, którzy przenieśli się np. do Rzeszowa, pięknego miasta.

Żyjemy na obszarze gdzie ciągle jeszcze funkcjonuje duży przemysł, który po unowocześnieniu może być w przyszłości atrakcyjny, znów absorbować wysoko wykwalifikowanych pracowników.

Czego potrzebujemy – nowoczesnej edukacji, dla kształcenia i doskonalenia nowych kadr, nowoczesnego przemysłu, nowego uprzemysłowienia, nowych sprzyjających wysokiej jakości życia oraz bezpiecznych miejsc pracy, ofert pracy atrakcyjnych tutaj na Śląsku, a nie w międzynarodowych korporacjach w Warszawie lub innych miastach.

Musimy być otwarci na nowe wyzwania technologiczne, gospodarcze, kulturalne i społeczne, nie możemy zamykać się w wąskim kręgu regionalnych perspektyw, musimy oferować młodym ludziom zarówno po studiach technicznych jak humanistycznych pozytywną, realną perspektywę atrakcyjnego rozwoju i w miarę dostatniego życia w Polsce, tu na Śląsku.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Śląskie tajemnice

cz. 2

Templariusze na zamku w Lipie

Kilkanaście kilometrów od Bolkowa we wsi Lipa, wśród gęstych drzew i zarosły znajdują się ruiny zamku. Jadąc przez Lipę ciężko je zobaczyć, pomimo że zamek ulokowany został na skalnym wzniesieniu. Zbudowany na przełomie XIII – XIV wieku przez jeden ze śląskich rodów rycerskich, miał pełnić rolę warowni, niektórzy jednak chcą, aby jego dzieje wiązać z działalnością zakonu templariuszy.

W czasie gdy w całej Europie o popularności zyskuje nie najwyższych niestety lotów serial „Knightfall”, opisujący owiane tajemnicami kulisy upadku zakonu templariuszy, warto wspomnieć o śląskich – i jak najbardziej realnych wątkach tej słyszanej z sekretów i nieprawdopodobnych legend organizacji. Według zachowanych dokumentów traktujących o nadaniach ziem i przywilejów, templariusze, czyli rycerze z Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona posiadali komandorie zakonu w pobliskich miejscowościach: Oleśnicy Małej, Bolkowie, Leśnicy, Chwarszczanach.

Czy i warownia w Lipie należała do templariuszy? Wiele na to wskazuje. Przypomnijmy jednak na wstępie historię tej pięknej strażnicy. Zamek wybudowany został jako budowla gotycka. Otoczony suchą fosą, na przestrzeni wieków zmieniał swój styl jak i właściciele. W XVII wieku przebudowany został po raz kolejny, tym razem na budowlę renesansową przez ro-

dzinę Zeditz. Po utracie znaczenia wojskowego posłużył jako magazyn i źródło kamienia budowlanego. W 1834 roku kupił go hrabia Rudolph von Stillfried-Rattonitz. W tym okresie swojego istnienia zamek swym wyglądem nawiązywał do budowli neogotyckich. Prawdopodobnie aż do zakończenia drugiej wojny światowej właścicielem warowni była pani von Hunerbein, z domu von Sprenger, wraz z córką – kapitanową von Drabich-Waechter.

W latach PRL zamek nie był użytkowany, pozostawiony własnemu losowi bez należytej opieki ówczesnych władz popadł w ruinę. W latach sześćdziesiątych minionego wieku służył jeszcze jako magazyn miejscowego PGR, posiadał dziurawy dach i niektóre okna. Niestety był to początek agonii tego obiektu. Warunki atmosferyczne i zwykłe dewastacje z roku na rok pogarszały stan dumnej niegdyś warowni. Agonia zamczyska trwa do dziś. Co prawda pojawiło się światło nadziei, gdy stał się własnością prywatną, jednak rozpoczęty remont nigdy nie został ukończony. Obecnie nie istnieje już wieża, która kształtem przypominać miała tę z bolkowskiego zamku, nie istnieje też już jaskółczy ogon.

Niezwykłości lipowskim ruinom dodają przesłanki, wiążące zamek z zakonem templariuszy. Niektórzy badacze wskazują, że w pewnym okresie swojego istnienia zamek mógł należeć do tajemniczego zakonu. Ile prawdy, a ile legend czy do-

mniemań jest w opowieściach o pobycie Rycerzy Świątyni Salomona na terenie Polski, Śląska i Sudetów, trudno dzisiaj określić. W przypadku zamku w Lipie można jednak znaleźć wiele wskazówek przemawiających za tą tezą. Na korzyść opinii o rządach rycerskiego zakonu w Lipie przemawiają choćby niektóre elementy architektury zamku, lochy, które częściowo zachowały się do dzisiaj, czy choćby piramida na zamku, która przez wiele lat nazywana była kuchnią. Ta struktura to jedna z największych zagadek warowni w Lipie. Związany jest z nią sekret, wręcz przypominający fabułę filmów o przygodach Indiany Jonesa. Tą bardzo interesującą sprawą jest fakt, że raz w roku, przez otwór w zwieńczeniu szczytowym piramidy, w dzień przesilenia letniego, promienie słońca wpadają do środka obiektu, tj. – do punktu skupienia, czyli ulokowanej w lewym narożniku „studni”.

Należy więc zadać pytania, dlaczego właśnie taki kształt, dlaczego piramida i skąd bierze się ta korelacja z przesileniem letnim. Co wskazuje słoneczny promień, wpadając do zrujnowanych, lecz wciąż potężnych gotyckich murów? Być może to kolejny przykład fascynacji orientem jednego z właścicieli zamku, który kazał komin zamkowej kuchni wybudować w kształcie piramidy, która powstała na planie rombu o powierzchni 70 metrów kwadratowych i wysokości 10 metrów. Rozważając teorię o bytności templariuszy na zamku w Lipie niewykluczone jest, że piramida służyła do obserwacji astronomicznych, a może templariusze kulturowali tu wiarę w jakieś niechrześcijańskie bóstwo, lub zajmowali się ezoteryczną wiedzą starożytnych, wszak w podziemiach byłej Świątyni Heroda w Jerozolimie, dokonali oni jakiegoś archeologicznego odkrycia, które to mocno zaważyło na ich historii. Czy w zagadkowej komnacie odbywały się dziwaczne obrzędy lub heretyckie rytuały, o które posądzali mnichów w zbrojach nieprzychylni im władcy? I wreszcie – czy na terenie zamku mogli oni ukryć cenne dla nich artefakty?

Zapewne już nigdy nie da się dociec prawdy, osobiście uważam, że takie niedopowiedziane historie mają swój urok, ponieważ uruchamiają wyobraźnię, co czyni takie ruiny jeszcze piękniejszymi. A aura tajemnicy dodaje im dodatkowych walorów. Aby się o tym przekonać, wystarczy odwiedzić ruiny w Lipie. Wśród murów wciąż unosi się atmosfera niesamowitości, a odwiedzając to miejsce wieczną porą wystarczy przymknąć oczy i puścić wodze wyobraźni, aby zobaczyć rycerzy w białych płaszczach z czerwonym krzyżem. Żał tylko, że takie miejsca bezpowrotnie znikają z naszego krajobrazu i w powolnym konaniu stają się miejscowymi wysypiskami śmieci.

Tekst i zdjęcia:
JULIA MONTEWSKA

Regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Tropiciel Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywcą”.

Śląski ślad templariuszy

Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, czyli templariuszy powstał w 1118 roku w Jerozolimie. Zadaniem rycerzy-zakonników była ochrona pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej. Zakon szybko zaczął otrzymywać różne nadania od świeckich władców w Europie. Rosła jego potęga finansowa i wpływy polityczne. Wobec upadku Królestwa Jerozolimskiego, u schyłku XIII wieku zakon przeniósł główną siedzibę na Cypr, a następnie do Francji. Templariusze stanowili potężną siłę militarną – bractwo stanowiło świetnie wyszkoloną i dobrze wyposażoną armię, mogącą zagrozić niejednemu królestwu. Wojskowy charakter zakonu przekładał się na liczne twierdze, którymi dysponowali rycerze zakonni spod znaku czerwonego krzyża. Na terenie obecnej Polski zakon miał zdaniem niektórych badaczy nawet 50 komandorii! Od XIII wieku posiadłości przekazywali templariuszom tacy władcy jak wielkopolski książę Przemysław II czy książę śląski Henryk Brodaty. To właśnie dzięki niemu pierwsi na tych terenach templariusze osiedlili się w 1226 roku w Oleśnicy Małej pod Oławą. Szybko przybywało zamków templariuszy na Dolnym Śląsku oraz Opolszczyźnie. Należały do nich zamki w Rogowie Opolskim, Krapkowicach i Otmęcie, kolejne siedziby rycerskiego zakonu znajdowały się w Obrowcu i Prudniku, a ślady templariuszy wiodą także na Górny Śląsk, m.in. do Gliwic, wedle niektórych teorii nawet na tereny Zagłębia Dąbrowskiego, to już jednak zupełnie inna historia – do której być może wrócimy.



Najbardziej innowacyjne podejście do zarządzania wyludniającymi się miastami polega na... wyburzaniu całych dzielnic. To nie żart. To jest poważna koncepcja i praktyka znana z tych cywilizacji, które pierwsze weszły w spiralę postindustrialnego regresu.

O życiu i umieraniu miast decyduje demografia. To wiadomo. W PRL mieliśmy do czynienia z niemal nieprzerwanym procesem rozrostu miast. Miało to wiele dobrych i złych konsekwencji, jednakże w mentalności społecznej wytworzyła się dość mocna wiara, że wzrost jest dobry, a każde zmniejszenie – złe. Nie zostaliśmy przygotowani do akceptacji jakichkolwiek ograniczeń w tkance miejskiej. Przeciwnie. Obserwujemy przejawy silnego przekonania, że trzeba „ratować to, co istnieje” i bardzo powoli dojrzewamy do myśli, że można tylko: „chronić to, co warto”. Tak postępuje chirurg: by uratować rękę, musi niekiedy odjąć zmiążdżony palec, od którego mogłaby się zacząć gangrena. Podobnie – spodziewając się powodzi – wyznaczamy granice obszaru bronionego „za wszelką cenę”, godząc się jednocześnie na zalanie terenów mniej wartościowych lub obiektywnie nie do uratowania.

Nieznane koszty zastoj

Demografia sprawia najmniej kłopotów, gdy liczba ludności jest stabilna lub nieco przyrasta. Gwałtowny wzrost powoduje znaczne napięcia i koszty, natomiast gwałtowny spadek powoduje koszty... nieznane. Po roku 1990 władze miast śląskich początkowo nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji, później różnymi drobnymi posunięciami próbowały jakoś wspomagać demografię, a teraz już zrozumiały, że są bezsilne wobec żywiołu. Nie sposób walczyć z megatrendami. Już wiemy, że przez całe dziesięciolecie miasta na Śląsku nie będą rosnąć, a tylko nadzwyczajne okoliczności mogą powstrzymać dalszy spadek liczby mieszkańców. Jeśli więc nie liczymy na cud, powinniśmy przystosować nasze miasta do tego, co nieuchronne.

W stosunku do końcówki lat osiemdziesiątych – większość miast Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii straciło już realnie od 20 do 30% obywateli. Generowało to pewne trudności i wyzwania dla lokalnych społeczności, np. konieczność zamknięcia placówek oświatowych czy korekty w systemach transportu publicznego. Dotychczas jednak konsekwencje depopulacji nie były oceniane jako szczególnie dramatyczne. U schyłku PRL ciągle jeszcze w zbyt małej liczbie lokali mieszkało zbyt dużo ludzi i pewne „rozgęszczenie” było bardzo pożądane. Dziś pojawiają się wyzwania zupełnie innej natury.

Z prognoz opublikowanych w listopadzie 2017 r. przez IGIPZ PAN wynika, że w ciągu najbliższych 30 lat liczba mieszkańców Zabrze, Bytomia i Świętochłowic będzie dalej spadać nawet do połowy obecnego stanu. W pozostałych miastach może być tylko nieco lepiej. Konsekwencje nie ograniczają się już do drobnych niedogodności.

Masowe wyburzenia

WOJCIECH JARCZEWSKI

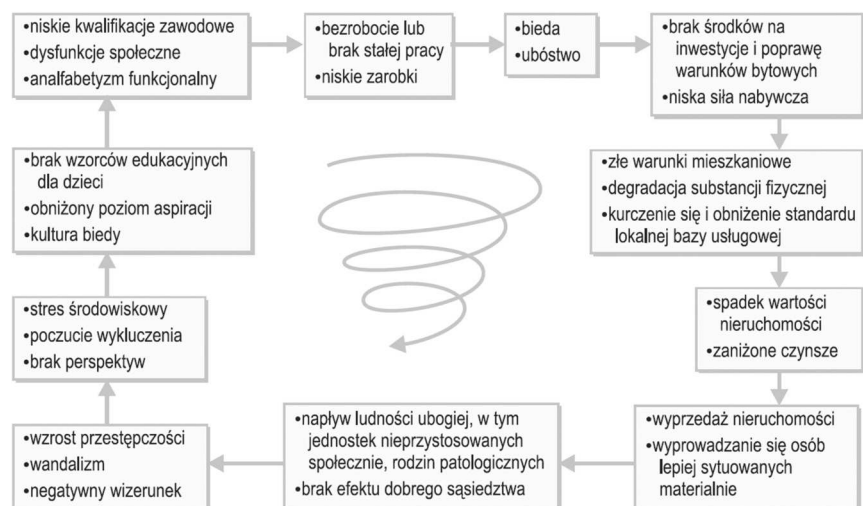
Zmiany będą dotyczyć właściwie każdej dziedziny życia społeczno-gospodarczego. Tym razem chciałbym skupić się tylko na zmianie struktur przestrzennych.

Pustostany – zabójcy miast

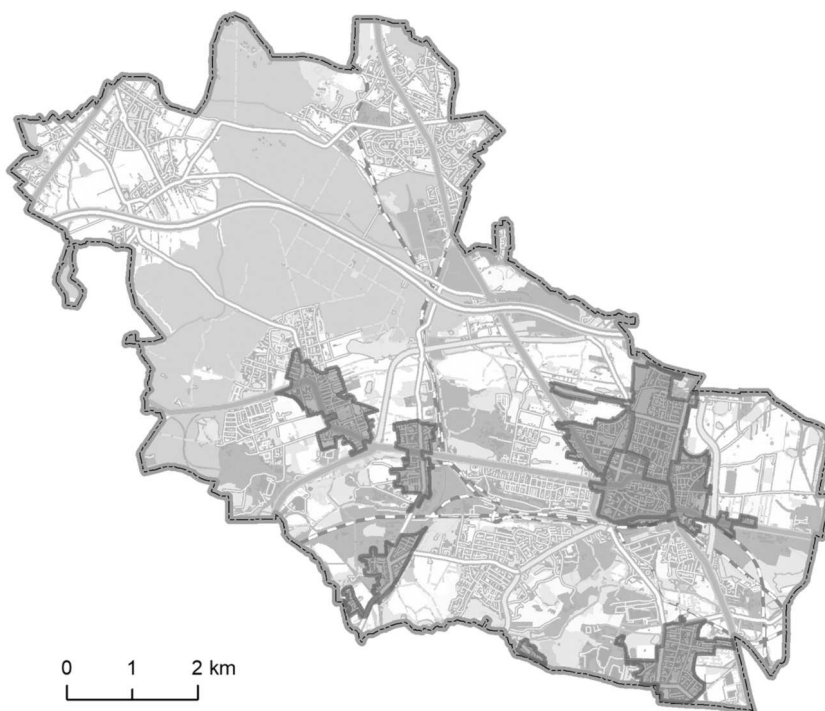
Co się stanie z naszą konurbacją, która stopniowo przestaje być ludziom potrzebna w takim układzie urbanistyczno-architektonicznym, w jakim ją dzisiaj znamy? Radykalne zmniejszanie liczby mieszkańców powoduje wzrost liczby niewykorzystywanych mieszkań, tzw. pustostanów o uregulowanej sytuacji własnościowej. To zjawisko, obecnie już zauważalne, będzie się nasilać. Gdyby opuszczane były stopniowo poszczególne kamienice i bloki położone w sąsiedztwie, proces wyludniania byłby relatywnie łatwy do zarządzania. Niestety tak się nie dzieje. W praktyce pustostany pojawiają się w każdej dzielnicy i kwartale, w wielu kamienicach równocześnie. Choć niektóre strefy są zazwyczaj nieco bardziej narażone na ten proces niż inne – wobec szybkiego i masowego wyludniania się miast, a z tym mamy już do czynienia w metropolii, proces ten dotknie wszystkie struktury miejskie. Niektóre pustostany w sposób mniej czy bardziej legalny zagospodarują migranci krajowi i zagraniczni, ale to nie rozwiązuje starych problemów i stwarza nowe.

Powolne wyludnianie oznacza, że w wielu kamienicach będzie zajętych tylko kilka mieszkań i to na tych ostatnich właścicieli, często samotnych emerytów (głównie emerytki) spadnie koszt utrzymania całej nieruchomości. W poszczególnych kwartałach jedne budynki zostaną zamknięte i wyłączone z eksploatacji, w sąsiednich ciągle ktoś będzie mieszkał. W wielu dzielnicach liczba mieszkańców spadnie nawet kilkakrotnie poniżej liczby, dla której były projektowane. Jednak koszty utrzymania infrastruktury technicznej i komunikacyjnej, zieleni, bezpieczeństwa i in. nie spadną proporcjonalnie do spadku liczby mieszkańców. Mogą wręcz rosnąć. A z uwagi na spadek liczby podatników – nie będzie miał kto zarabiać na utrzymanie substancji. Jedynym sposobem na redukcję kosztów będzie więc obniżenie jakości wszystkich usług publicznych: mniej kursów autobusów, rzadziej przycinane trawniki, większe dziury w drogach i chodnikach, mniej patroli straży miejskiej, niższe ciśnienie wody w rurach, rzadziej pojawiające się śmieciarki, dłuższe przerwy w dostawie prądu, ciepła itd.

Niestety scenariusz zarysowany powyżej to nie futurologia sfrustrowanego planisty. To sprawozdanie z najnowszej historii Detroit, Nowego Orleanu i wielu innych miast, które doświadczyły depopulacji w skali, której spodziewamy się w metropolii śląsko-zagłębiowskiej. W istocie



Mechanizm działania spirali negatywnie wzmacniających się zjawisk kryzysowych



Zamieszkałe obszary, wskazane jako zdegradowane (na potrzeby Gminnego Programu Rewitalizacji Bytomia)

w Detroit było jeszcze gorzej. Niedofinansowana miejska straż pożarna zdecydowała, że nie będzie gasiła pożarów w niektórych częściach miasta, a do innych przestały jeździć nawet miejskie karetki, bo policja całkowicie zrezygnowała z ich patrolowania. Z czasem przedsiębiorstwo wodociągów wyłączyło wodę dla części dzielnic itd.

Rewitalizacja – lekarstwo dobre, ale na inną chorobę

Problem postępującej degradacji miast został już ponad 10 lat temu zauważony na poziomie krajowym. Na „rozwiązanie” słusznie zdiagnozowanego problemu zostały więc skierowane środki pomocowe ze źródła szczególnie do tego celu właściwego, czyli funduszy europejskich w ramach kolejnych regionalnych programów operacyjnych. Instrumentem, który z założenia powinien rozwiązać problemy tzw. „miast tracących funkcje” miała być rewitalizacja. To działanie, wzorowane na najlepszych doświadczeniach brytyjskich, niemieckich i francuskich, w 2015 r. zyskało umocowanie ustawowe. Ówczesny rząd obiecał, że do roku 2020 na rewitalizację przeznaczona zostanie kwota 25 miliardów złotych. Zidentyfikowano także trzy miasta szczególnie szybko „tracące swoje funkcje”, wśród których znalazł się Bytom.

Już dzisiaj staje się oczywiste, że program „400 mln zł na rewitalizację Bytomia” właściwie nic znaczącego w mieście nie zmienia, a już na pewno nie wybije miasta ze spirальной ścieżki stale pogłębiającego się kryzysu, dobrze znanej z doświadczeń zapadających się miast angielskich czy francuskich. W istocie najprawdopodobniej w ogóle nie będziemy mogli

przekonać się, jak ten program zadziałał, ponieważ większość tych pieniędzy i tak do Bytomia prawdopodobnie nie trafi. Pieniądze z regionalnych programów operacyjnych mają tę właściwość, że ich wydatkowanie wymaga tzw. wkładu własnego. Logika środków nazywanych „pomocowymi” jest w tym zakresie bezwzględna i mówi: „dostaniesz nasze miliony, ale dołóż 15–25%” (w praktyce raczej dokładnie się więcej, bo w unijnych regulacjach mowa jest tylko o tzw. kosztach kwalifikowanych). A tak się nieszczęśliwie składa, że Bytom nie tylko nie ma żadnych swoich pieniędzy (w grudniu 2017 r. brakło środków na wynagrodzenia dla pracowników urzędu), ale nawet nie bardzo ma od kogo pożyczać.

Analizując ponaddziesięcioletnią historię rewitalizacji w Polsce, można już jednoznacznie powiedzieć, że nie jest to rozwiązanie skutecznie wspierające miasta, które tracą więcej niż 30% mieszkańców. Z założenia bowiem rewitalizacja ma na celu dokonanie pewnych przekształceń, renowacji, aktywizacji i przeorganizowania istniejącej struktury miejskiej w celu nadania jej nowych impulsów rozwojowych. Tylko że miasta zbudowane dla 200 tys. osób, w których będzie mieszkało zaledwie 100 tysięcy, nie są w stanie racjonalnie absorbować środków na standardową rewitalizację i odpowiadać pozytywnie na takie, w sumie powierzchowne, impulsy.

Przekształcenia poprzez wyburzenia – rozwiązanie (raczej) nieuchronne

Mamy więc taką oto sytuację: liczba mieszkańców miast metropolii śląskiej stale się zmniejsza i ten proces w przewidywalnej przyszłości nie wyhamuje. Miasta tracące trzecią część mieszkańców nie są

w stanie w dłuższej perspektywie (czyli do utraty zdolności kredytowej) zapewnić dotychczasowego poziomu usług dla całego dotychczasowego obszaru.

Doświadczenia amerykańskie czy niemieckie prowadzą do wniosku, że jedynym sensownym rozwiązaniem w takiej sytuacji są masowe wyburzenia całych kwartałów i dzielnic. To podejście zostało już przetestowane na terenie byłego NRD. Sztandarowym przykładem okazał się Lipsk, gdzie liczba ludności bardzo szybko – bo już w latach 1990. spadła z 750 do 530 tysięcy mieszkańców. W takiej sytuacji zrezygnowano z ciągle powszechnego jeszcze w Polsce podejścia – ratowania substancji całego miasta. Wybrane zostały zurbanizowane obszary strategiczne, takie nieprzekraczające linie oporu, które miały być wspierane aż do uzyskania pozytywnych impulsów rozwojowych.

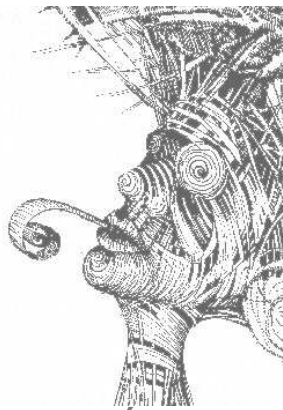
Wskazano także dzielnice do likwidacji. Z tych dzielnic wysiedlono wszystkich mieszkańców do obszarów strategicznego rozwoju, a następnie **w całości je wyburzono**, pozostawiając (bardzo oszczędnie) szczególnie wartościowe elementy dziedzictwa materialnego; raczej bez mieszkańców. Po ponad dekadzie realizacji takiego programu udało się uzyskać stabilizację. Obszary wskazane jako tereny strategicznego rozwoju zaczęły się rozwijać, a obecnie co roku liczba mieszkańców miasta zwiększa się nawet o 10 tys. osób. Panuje jednak dosyć zgodna opinia, że bez przeprowadzenia programu masowych wyburzeń – całe miasto stopniowo zamieniałoby się w pustoszejący slums, a spirala negatywnych zjawisk byłaby coraz trudniejsza do zatrzymania.

Scenariusz grozy czy konieczność?

Trzeba dziś rozpatrzyć takie właśnie chirurgiczne, precyzyjne rozwiązanie dla przynajmniej części miast województwa śląskiego. Będzie to wymagało po pierwsze: odrzucenia obowiązującego obecnie paradygmatu konserwowania i ochrony zastanych struktur urbanistycznych, a po drugie: zmian w prawie, umożliwiających przeprowadzenie masowych przesiedleń i wyburzeń. I nie obejdzie się bez dużych pieniędzy, które nie będą pochodziły z lokalnych budżetów. Bo miasta powoli zbliżają się do granic swoich zdolności kredytowych, a niektóre – jak Bytom – już je właściwie przekroczyły.

Można oczywiście próbować dalej „pudrować” rzeczywistość, rewitalizując tu czy tam poszczególne budynki i obiekty, można odnawiać skwerki i budować ścieżki rowerowe, prowadzące od wyludniających się dzielnic do zamkniętych fabryk. Ale skutki braku odważnych decyzji będą dla miast śląskiej metropolii bardzo poważne. Przedyskutujmy to dziś, zanim jutro przemówią... buldożery!

Dr WOJCIECH JARZEWSKI
jest dyrektorem Krajowego Instytutu
Polityki Przestrzennej i Mieszkalnictwa



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Smół to!

Pochodzący z Łubia koło Gliwic wrocławski pisarz i krytyk literacki Jerzy Pluta nasycił swoje teksty wtrętami gwarowymi. Jednemu ze zbiorów opowiadań z lat 60. na przykład dał tytuł „Ryma” (*ryma*, czyli katar), a w wydanym w roku 2016 „Przecinka”, w podrozdziale „Jo cie smola”, napisał: „Kiedy to słyszałem ostatni raz? Czy nie w zeszłym roku? Gdy byłem w Gliwicach. Chyba tak. Na pewno wtedy? Tylko kto to powiedział? Pamiętam: zdenerwowana kobieta, która mogłaby uchodzić za moją córkę. Do mnie? Chyba nie. Po prostu znowu usłyszałem po raz tysięczny. Po roku nieobecności. Od razu po wyjściu z autobusu Wrocław-Krosno. Jo cie smola. Czyli: mam cię gdzieś. Mam cię w nosie. Mam cię w d... Nie zwracaj mi głowy. Odczep się ode mnie. Nic mnie to nie obchodzi. Jo cie smola. A gdzie smola? W smole będę się w piekle smażył? Jo cie smola!”

W „Małym słowniku gwary Górnego Śląska” Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec” z roku 2000 na str. 228 czytamy: *smolić coś, kogoś* – „lekceważyć coś, kogoś, nie przejmować się czymś”; zwrot *smół//smol go* – „nie przejmuj się” (wyrażenie niechęci, braku zainteresowania, nawet pogardy): *Smół//Smol to, jutro dostaniesz lepszego ocyna. Smół//Smol to, co ona godo. Jo to smola!*; *smolić się* – 1. „przejmować się, patyczkować się”; *Niy smół sie z tym, ino pódź do dóm*, 2. „robić coś powoli, guzdrać się: *Co sie tak d (t) ugo smolisz z tóm robotóm*.”

Mam szczególny sentyment do tych form, bo gdybym miał wyznaczyć, które ze śląskich wyrazów zrobiły karierę w moim wrocławskim domu, to zaliczyłbym do nich – obok (*c*) *hasioka* „śmietnika”, *wyciepywania* „wyrzucania” i *elwra* „rzutu karnego z 11 metrów” – chyba właśnie owo *smolenie*. Gdy chcemy kogoś bliskiego pocieszyć i przekonać do nieprzejmowania się, powiemy wszyscy – nie tylko ja – w nieoficjalnych sy-

tuacjach komunikacyjnych: *Smół to!*, *smolić to!* Na ogół pomaga! – dopowiem żartobliwie.

Dla leksykalnego zaś porządku dodajmy, że w języku ogólnym *smolić* to „brudzić sadzą, smarem itp.”: *garnek smoli; smolić sobie ręce, ubranie smarem, sadzami, węglem; przysłowie przyganiał kociol garnkowi, a sam smoli* – „o kimś, kto zwraca uwagę innym, a sam popełnia podobne błędy”, *smolić się* – „brudzić, smolić samego siebie”: *smolić się sadzą, „być smolonym”*: *garnki się smolą na ogniu; smalić* – „przypiekać coś ogniem, opalać z wierzchu, powlekać sadzą”: *ogień smalił ściany domu*; frazeologizm *duby smalone* – „brednie, głupstwa, androny” (u Adama Mickiewicza: „Dziewczyna duby smalone bredzi, a gmin rozumowi bluźni”), przestarzałe *smalić cholewki* – „ubiegać się o względy kobiety, zalecać się, umizgać się”, „o słońcu, lampie kwarcowej: grzać, opalać, przypiekać”: *słońce smaliło twarz, smalić się* – „przypalać się, tlić się”, „powlekać się sadzą pod wpływem ognia”; *garnek smali się od ognia* („Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza z roku 2003).

W pewnym miejscu swego „Przecinka” Jerzy Pluta pisze tak: „Moja rodzinna miejscowość Łubie nie znajduje się już w powiecie gliwickim (kiedyś toszcecko-gliwickim), lecz w... tarnogórskim. Zostałem ziomkiem prof. Jana Miodka? Powiatowym”, a ja potwierdzenie tej administracyjnej zmiany widzę chociażby w kolorowanej wydanej w roku 2010 przez Starostwo Powiatowe w Tarnowskich Górach „Zamki i pałace powiatu tarnogórskiego” (opracowanie, rysunki Mirosław Ogiński, opracowanie herbów Arkadiusz Kuzio-Podrucki), którą wieńczy pałac Baildonów w Łubiu. Czytam o nim: „Posiadłość tę nabyła w XVIII w. rodzina pochodzącego ze Szkocji Johna Baildona – słynnego budowniczego huty w Gliwicach. Pałac w jego obecnym kształcie wznosił w roku 1860 jego syn

Artur von Baildon-Briestwelt. Stał się on główną siedzibą rodu. Kolejnym właścicielem Łubia po śmierci Artura w 1909 roku był Erwin Aleksander Bergwelt-Baildon, syn jego najstarszej córki Alicji Heleny. Po wojnie pałac jak i cały majątek jako dobra poniemieckie został znacjonalizowany. W późniejszych latach uległ znacznemu zniszczeniu. Odrestaurowano go na początku lat 90. Dziś mieści się w nim Dom Pomocy Społecznej”.

A co o Plutowym *Łubiu* może powiedzieć językoznawca onomasta, czyli badacz nazw (gr. *onoma* – „nazwa”) – Należy ono do rodziny nazw miejscowych znanych całemu światu słowiańskiemu, takich jak polskie *Łubiany*, *Łubianka*, *Łubnice*, *Łubnica* czy bułg. i maced. *Lubnica*. Mój i Jerzego Pluty wrocławski profesor Stanisław Rospond (1906-1982) ostrzegł w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984, by nie mieszać tych nazw z prasłowiańską podstawą *ljub*, *ljubiti* – „lubić, kochać”. Wszystkie one pochodzą od wyrazów *lub* – „kora drzewna, zwłaszcza lipy”, *lub* – „drzewo darte z lipiny, młodej dębiny”, są więc typowymi nazwami topograficznymi, nawiązującymi do realiów terenowych.

Oczywiście, morfologicznie spokrewniony jest z nimi *lubin*, a w „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 1927 Aleksandra Bruecknera znaleźć można ponadto informację, że *lub* „kora lipowa” to była kiedyś także „budka na wozie”, *paluba*, *lubie* i *załubce* natomiast oznaczały też „okrycie łuku”, cały zaś wywód dotyczący hasła *lub* kończy się wskazaniem jego aryjskiego pochodzenia i związku z łac. *liber* z *luber* „łyko, książka”, niem. *Laube* (stare *louft* „kora”, „łyko”, z tego *Lucht* „strych, poddasze”, a może i *Luft* „powietrze”), litew. *tuba* „deska”, może i *louba* (*s*) „kora”, *tuobties* „oblupywać się”, łotew. *luobu laiks* „okres na wiosnę, kiedy łyka drą”. I tak z Łubia doszliśmy do jakże odległych epok!

RAFAŁ KIERZYNKA

OTO ZADANIE PAMIĘCI, GDY BĘDZIESZ UMIERAŁ

*(Słowa wyryte na płycie grobowej z Hipponion,
poświęconej Dionizosowi, patronującemu podróży w zaświaty)*

Bijcie w bęben, bijcie w bęben dla Króla! Niech łoskot rozświetli polanę!
Niech spłoszy cienie zwierząt i wspomnienie ludzi!
Ich czas minął, nim nadszedł.

Dmijcie w piszczałki i flety, bijcie w bęben dla Króla!
Który nadchodzi, pijany i nagi, z obwisłym brzuchem
I oczami wilka. Wśród starych bab i dziewcząt o krwawiących skroniach,
Wśród oszalałych Tyjad, wyjących i głodnych.
Księżyc włada nimi, Księżyc je wyśmiewa.

Lejcie krew i wino, lejcie łyzy dla Króla!
Zrodzonego, zabitego i zmartwychwstałego.
Nic nie jest wybaczone i nic zapomniane.

Te są zadania pamięci, gdy będziesz umierał:
Krzycz, jestem dzieckiem Ziemi i bękartem Nieba!
Gasnę z pragnienia, konam!
A gdy przyjdę, wołaj, że śmierć jest złudzenie,
Że jest tylko życie, do końca lub bez końca,
Tak jak będziesz wołał.

Ale to kiedyś, jutro, może po kolacji.
Teraz bijcie w bęben, lejcie krew dla Króla.
Noc nieustająca wzrasta na polanie,
Milcząca i cicha, jasna, doskonała.
Rozpala oczy Króla, szalone i mądre,
Stare i okrutne.

SUMER

W dorzeczu Acherontu, Warty, Styksu i Pilicy,
Tam gdzie wszystko się dzieje,
Sens się godzi z bezsenssem, wiara z wiedzą,
A rozpacz z nadzieją.
Więc tam właśnie, w głębokiej dolinie
Między górą Ararat a Górą Zborów,
Być może na ich szczytach, tak postanowiono:
Niech człowiek, od dzisiaj i na zawsze
Żyje w czasie przeszłym. Poprzednim. Przed-poprzednim.
I niech coraz głębiej, niczym szczur w piwnicy,
Schodzi w swoje groty, Łokietka czy Lascaux,
Aby na ich dnię znaleźć kogoś, kogo tam wcale nie ma.

Nie bójmy się, nie krzyczymy, tak być musi po prostu.
Jesteśmy tylko echem, tylko echem jesteśmy.

W dorzeczu Przemszy, Skamandra, Eufratu, Tygrysu,
Na rogu ulic Dojazd i Champs-Élysées,
Sto tysięcy lat temu, a być może wczoraj,
Tak postanowiono:
Niech człowiek od dzisiaj i na zawsze
Żyje w czasie przeszłym i niech przeszłym będzie.
Tak samo bogowie, ci którzy wciąż żyją:
Ozyrys i Dionizos, Zaratustra, Zeus,
Karol Marks, Jahwe, zakapior z północy
Ze swym zapchlonym kundlem, Wielki Manitou.

Nie bójmy się, nie krzyczymy, tak być musi po prostu.
Jesteśmy tylko echem, tylko echem jesteśmy.
Na pustyniach Sumeru, na Pustyni Błędowskiej,
W dorzeczu Warty, Pilicy, Styksu, Acherontu.

OSTATNI WIERSZ DLA ŻONY

Przejdź przeze mnie bez grzechu, w bezdechu, powoli.
Otwórz się na mnie jak otchłań lub róża.
Tam, gdzie milczenie nieba dotyka się wzgórze
Jest nasz burzliwy spokój i spokojna burza.

Roztrzaskaj moje serce, to nic, że zaboli.
Żadnej taniej czułości, żadnych łatwych wspomnień.
Nielatwo jest mnie dostrzec, lecz trudniej zapomnieć.
Ucz się mnie, ucz mnie i nauczaj o mnie.

Jesteś noc i słońce, łagodność i ostrość,
Kapłanko Księżycy (oraz innych planet),
Wieżo z kości słoniowej, syjamska ma siostrę.
Patrz! Leżę pyskiem w błocie przed twymi szpilkami.

Przejdź przeze mnie. Ja czekam, w bezruchu, w bezdechu.
Rozkwitnij mnie, proszę, jak oset czy różę.
Zanim noc rozpali gwiazdy nad podwórkiem,
Zdobądź mnie, proszę, już jestem gotowy.
Jestem bólem w twym sercu,
Bólem twojej głowy.

AJGEUS MUSI UMRZEĆ

Ojciec musi umrzeć, wszystko się wydarzyło.
Czarne żagle na masztach i kamienne fale.
Bydlę zabite. Obosieczny topór rozrąbał mu szczękę.
Zdechł, ufny i głupi, ze zdziwieniem w ślepiach.
Nieważne.

Ariadna, najpiękniejsza. Wziąłem to, co miała:
Kłębek wełny, ciało, chyba także serce.
Pozostała sama, jak zwykle, oszukana, bezdomna.
Z tego, co słyszałem
Dołączyła do bandy pijanego bożka.
O jej języku i ustach krążą legendy.
Nieważne.

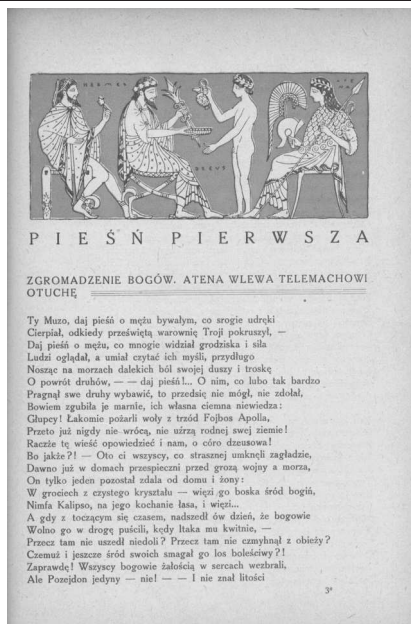
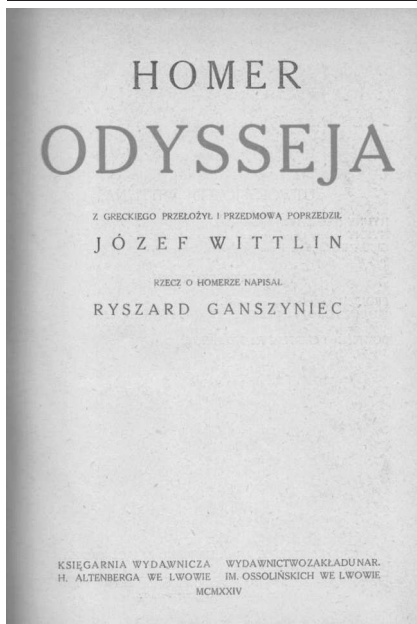
Król jest tylko jeden: pogromca bykołaka,
Rabuś labiryntu, kochanek i księżniczek.
Więc ojciec musi umrzeć.
Stanie na skale przy porcie, złączy się w okrzyku
Z czarną muzyką morza, które – przez łaskawość –
Nazwę później jego imieniem.
Nieważne.

Będę sam, jak zawsze, potężny i groźny,
Dzielny, miłosierny, Król, Król tylko jeden.
Wiatr na mojej twarzy
Przypomina, nie ufa,
Zadaje pytania.



Grafika: Anna Pawluszkievicz

BLASK ARCYDZIEŁ



Blask Odysei

JERZY PASZEK

Najpiękniej o Homerze wyraził się Owidiusz w swoich elegijnych *Amores* (*Milostkach* wedle Czesława Michalunia): „a quo seu fonte perenni – vatam Pieriis ora rigantur aquis”. Tadeusz Sinko, autor obszernego, dwutomowego *Zarysu historii literatury greckiej*, będącego i tak skrótem jego sześciu woluminów *Literatury greckiej*, tłumaczy te skrzydlate słowa następująco: „z niego niby ze stale płynącego źródła zwilżają się usta wieszczów wodą Muz pierijskich” (*Zarys historii literatury greckiej*, Warszawa 1959, t. 1, s. 124). Owa cytacja ma kształt fonetycznego chiazmu, w którym poszczególne składniki układają się we wzór ABBA: **a quo – perenni – Pieriis – aquis**. (O tej retorycznej figurze będzie jeszcze mowa w dalszych wywodach.) Autor *Sztuki kochania* świetnie potwierdza tu ogrom wiedzy mitologicznej, militarnej, obyczajowej czy geograficznej *Iliady* oraz *Odysei*, ale jednocześnie – przez formę swej wypowiedzi – sygnalizuje piękno i bogactwo leksykalne tych poematów, ich język odwołujący się do rozlicznych dialektów mowy starożytnych Greków.

Zygmunt Kubiak w eseju *Homer Józefa Wittlina*, dodanym do trzeciej wersji Wittlinowej *Odysei*, autorytatywnie i sugestywnie informuje: „Tekst Homera jest mozaiką gramatyczną i słowni-

kową. Przeważającą barwę nadają mu cechy dialektu jońskiego, ale bardzo często pojawiają się formy niezgodne z tym dialektem. Od czasów starożytnych nazywa się owe formy eolskimi. [...] Język Homera jest fonetycznie i artystycznie głęboko harmonijną, ale zupełnie niehomogeniczną syntezą różnych okresów rozwoju mowy greckiej. Jest językiem sztucznym, jak sanskryt, bliskim mowie sakralnej przez swą tradycyjność i hieratyczność. Jest oddzielnym od mowy potocznej językiem poetyckim” (Homer: *Odyseja*. Przekład z greckiego Józefa Wittlina. Posłowie napisał Zygmunt Kubiak. Warszawa 1982, s. 426; edycję tę cytuję jako JW3).

Co to wszystko oznacza dla czytelnika, który nie cieszy się poliglotyzmem i nie zna języka antycznych mieszkańców basenu Morza Śródziemnego (boć są wśród nas i tacy, którzy po całym świecie – internetowym – szukają partnerów do rozmówek w dialekcie jońskim i eolskim sprzed prawie trzech tysiącleci!)? Co to znaczy dla miłośnika *Ulisseja* Jamesa Joyce’a, który zadziwiony jest wielostylowością tej powieści, mającą oddawać wielojęzyczność wzorca, czyli poematu Homera? Co to w końcu znaczy dla tłumacza *Odysei*?

Mamy oczywiście parafrazę prozatorską utworu greckiego, czyli słynne tłu-

maczenie Jana Parandowskiego z roku 1953 (wielokrotnie wznawiane i wyszukiwane nawet przez studentów filologii klasycznej). Ale założmy, iż chcielibyśmy zbliżyć się do poezji, do Muz pierijskich, czyli „9 córek króla Pierosa w Pierii [Macedonia], którym nadał imiona dziewięciu muz” (Władysław Kopaliński: *Słownik mitów i tradycji kultury*, Warszawa 1991, s. 863), jednym słowem, iż pragniemy rozkoszować się nie tylko fabułą, ale i sztuką epicką poematu o Penelopie, Telemachu i Odyseuszu. Wtedy poleca się nam albo dzieło wspomnianego już Wittlina, albo przekład XIX-wiecznego poety, Lucjana Siemieńskiego (1807-1877). Wybór tu nie jest łatwy, bo sam Kubiak raz chwali tłumaczenie Wittlina („uważam tę *Odyseję* za najwybitniejszą, obok *Iliady* Franciszka Dmochowskiego, polski przekład Homera”, JW3, 423), a innym razem zachwyca się wcześniejszą translacją: „zawsze lubiłem *Odyseję* Siemieńskiego, lecz teraz, po długim i bliskim z nią obcowaniu w pracy nad tą edycją [*Dzieła* Homera w serii „Bibliotheca Mundi”], nie tylko jeszcze bardziej ją lubię, ale też wysoko cenię” (Homer: *Iliada*. Przełożył Franciszek Ksawery Dmochowski. Z oryginałem skolonjonował, opracował, komentarzem opatrzył i aneks zestawił Zygmunt Kubiak, Warszawa 1990, s. 71).

Tak się szczęśliwie składa, że mam na biurku okazały tom, zawierający pierwszą próbę poetyckiej wersji *Odysei*, przygotowywaną przez siedem lat (w trakcie I wojny światowej i tuż po niej) przez liryka z kręgu skamandryckiego. Strona tytułowa zawiera następującą informację: Homer: *Odyseja*. Z greckiego przełożył i przedmowę poprzedził Józef Wittlin. Rzecz o Homerze napisał Ryszard Ganszyniec. Księgarnia Wydawnicza H. Altenberga we Lwowie. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. MCMXXIV; cytując tę książkę, używam skrótu JW1). Autor przekładu we wstępie (*Słowo tłumacza do czytelnika*) zamieszcza wymowne wyrazy wdzięczności: dziękuje „byłemu kapitanowi wojsk austriackich, docentowi filologii klasycznej na uniwersytecie czeskim w Pradze, doktorowi Franciszkowi Nowotnemu, za umożliwienie [mu] pracy podczas ciężkiej służby wojskowej w r. 1917.” (coż za rewelacja o przewadze Muz nad armatami!), profesorowi Stanisławowi Witkowskiemu za „wskaźówki naukowe”, a także „wielkiemu epikowi *Popiołów* i *Wiatru od morza*, Stefanowi Zeromskiemu, którego szczerze i wielkodusznie zainteresowanie się [tym] przekładem, w Zakopanem, w r. 1921.”, dodało mu wiele zapału (JW1, 26).

Dzieło, powstające pod takimi znakomitymi auspicjami i przy wydatnej pomocy wydawców (z ich ramienia rzecz redagował Parandowski), przez ponad 30 lat bardzo się zmieniało, ale dwa

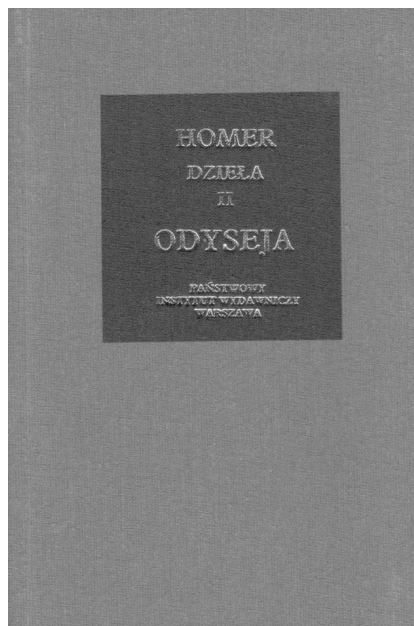
inicjalne heksametry pozostały bez zmiany: „Ty, Muzo, daj pieśń o mężu bywałym, co srogie udręki / Cierpiał, od kiedy przeświątą warownię Troi pokruszył” (JW1, 35; JW3, 33). Już od początku widać jednak, iż te 16-sylabowe wersy, napełnione archaizmami i słownictwem gwarowym, grzeszą – moim zdaniem – tzw. wata poetycką, służącą do zapelniania luk w długich liniijkach: „W grociech z czystego kryształu – więzi go boska śród bogiń, / Nimfa Kalipso, na jego kochanie łąsa, i więzi...” (JW1, 35); „Przec tam nie uszedł niedoli? Przec tam nie czmychnął z obierzy?” (ibid.). Chyba i Wittlin zauważył w końcu niestosowność cytowanych urywków, bo w ostatniej redakcji brzmią one tak: „W grocie sklepionej go więzi czcigodna nimfa Kalipso, / Boska śród bogiń, i pragnie małżonkiem swym go uczynić” (JW3, 33); „Czemuż to nawet we własnym domu wśród ludzi kochanych, / Zły los go smagać nie przestał?” (ibid.).

Uważam, że 16-sylabowe wersety u Wittlina nie tworzą wyrazistych całości, nie bywają trafnym i szczęśliwym odzwierciedleniem 6-stopowych heksametrów Homera. Siemiński, wydawszy już w latach 1844-1845 pieśń *Odyszeusza Feaków*, i kończąc swą pracę na edycji krakowskiej (1873) i warszawskiej (1876), odwoływał się do 13-zgłoskowego rytmu wersów *Pana Tadeusza*. I to mu się znakomicie powiodło! W tych liniijkach nawet archaizmy, wyrazy gwarowe czy słowiańskie (rusycyzmy, rutenizmy) odczytujemy ze zrozumieniem i bez zaglądnia do Lindego czy innych dykcyjonarzy (myślę, że Wittlin nie zauważył, iż w tzw. słowniku warszawskim z pierwszej ćwierci XX wieku obok słów staropolskich występuje w dużej ilości leksyka gwarowa). Aby przybliżyć opisywane techniki przekładowe, przytoczę trzy fragmenty z księgi VII, zawierające opis sadu króla Feaków. Najpierw tłumaczenie Siemińskiego (korzystam z edycji: Homer: *Odyszeja*. Przełożył Lucjan Siemiński. Z oryginałem skolacjonował, opracował, komentarzem opatrzył i aneks zestawil Zygmunt Kubiak, Warszawa 1990; wydanie to cytuję, używając skrótu LS):

„Za dziedzińcem sad duży ciągnął się od brony, / Czteromorgowy, wkoło płotem ogrodzony, / Kędy drzewa wysokie i kwieciami okryte / Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite [...] Jeden owoc się kluje, drugi już dojrzewa; / Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha, / Figa figę, i owoc zawsze się uśmiecha.” (LS 102).

Wittlin najpierw spolszczył ten sam wyimek *Odyssei* następująco:

„Przy zamku, tuż za podwórcem, za broną – sad był ogromny, / Czteromorgowy, opłocn z obu stron: wewnątrz atoli / Rosły tam drzewa wielgaśne, a obarczone owocem: / A oto granat, a gruszka, a jabłko z różem na licu [...] owoc / Gdzie jeden – kielki wypuszcza, gdzie inny – sobie już żrze-



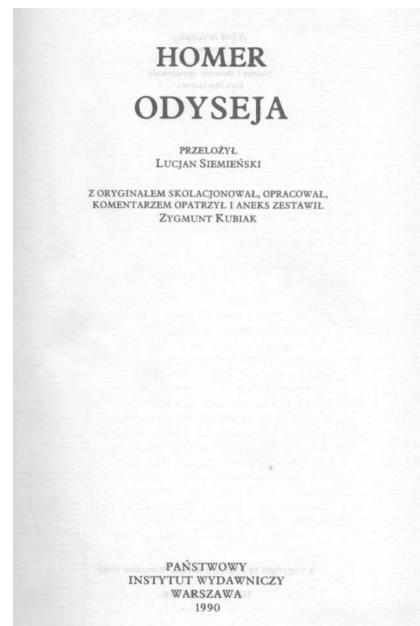
je, / Gruszka gruszkę wypycha, jabłuszko – jabłko wygania, / Figa figę – a winne grono też idzie po gronie.” (JW1, 122).

Ostatecznie wersety heksametrowe brzmią u Wittlina nieco inaczej, mniej dziwnie, choć nie za bardzo odchodzą od wersji z roku 1924:

„Przed domem podle podwórca, za bramą, sad był ogromny, / Czteromorgowy, grodzony z wszech stron, a w sadzie tym rosły / Drzewa olbrzymie, brzemienne bujnie zrodzonym owocem: / A oto gruszka, a granat, a jabłko z rumieńcem na licu, [...] owoc / Gdzie jeden kielki wypuszcza, gdzie inny sobie dojrzewa, / Gruszka gruszczkę wypycha, jabłuszko jabłko wygania, / Figa figę, a winne grono też idzie po gronie.” (JW3, 132).

Otóż wydaje mi się, że czytelnik Siemińskiego nic nie traci z wiadomości o sadzie Feaków z powodu krótszych o trzy sylaby wersów w tym przekładzie! Zauważmy, iż nawiązania do Mikołaja Reja w postaci powtórzeń spójnika „a” (zachowane w obu wersjach tłumaczenia Wittlina) i zdrobnień (najpierw tylko „jabłuszko”, potem też i „gruszcza”) mieszczą się na pograniczu wspomnianej przeze mnie waty poetyckiej (nb. wers z gruszką i jabłkiem początkowo ma 15, a ostatecznie 16 sylab). Zwar te wersy Siemińskiego („Jeden owoc się kluje, drugi już dojrzewa, / Jabłko idzie po jabłku, gruszkę gruszka spycha”) chyba nawet lepiej i łatwiej się recytuje niż spolszczone heksametry – inkantacje Wittlina!

Dowodem przemyślanej (jak przemyślny był Odys, w wiele fortelów bogaty!) sztuki poetyckiej Siemińskiego mogą być chiazmy fonetyczne, o których już wspominałem. Oto wymowne przykłady kilku z nich: „**Nędzna poręka**, która **ręczy** za **nędznikiem**” (LS 120), „**I słucha dźwięku** gęśli, a **kręcą się słu-gi**” (LS 128), „**Srodze zawył**, aż **wyciem** odtętniła **srogiem**” (LS 139), „ogarnię-



to / **W chleny**, w **chitony**. A tak zeszlismy **ich** w **chwili**” (LS 158), „**Pędzim** k’wyspie **Eei**, gdzie **Eos się rodzi**” (LS 181). Nie wspomnę już o bogactwie aliteracji, której exemplum może być wers: „Będę w Sparcie, a pierwej w piaszczystym Pylonie” (LS 27) czy oparty na głoskach nosowych wyimek: „Lecz ja z myślami mymi mam niemałą mękę” (LS 307). Jakże wiele razy czytelnik napotka tu soczyste, 3-sylabowe rymy typu: „do żony – w skale wydrążonej” (LS 7), „samolówek – ostrówek; na pożarcie – otwarcie” (LS 41). Rza-dziej pojawiają się 4-sylabowe zgodności brzmieniowe: „postać jego cudna – do swojego sudna” (LS 43) lub znakomite „niedołęga – nie dosięga” (LS 327). A rymy homonimowe typu „pastuch strzeże – służy szczerze” (LS 240)? Dowcipne jest nazwanie córki Opsa Opsówną: „Eurykleja Opsówna; Ops po Pejzenorze” (LS 31), gdy u Wittlina widnieje „cna Eurykleja, / Córa Opsowa, a wnuka Pejzenorowa: szafarka” (JW3, 55).

Dzięki filologicznym badaniom i ad-iustacyjnym wysiłkom Zygmunta Kubiaka nad *Dziełami* Homera w serii „Bibliotheca Mundi” wiemy, jakie heksametry oryginału pominął Siemiński (czy Dmochowski), jakie dodatki wprowadzili tłumacze, jak w oryginale nazywano starożytne realia, które nasi poeci spolszczyli (Dmochowski keryksów, heroldów, zamienia na woźnych; u Siemińskiego pojawia się krajczy zamiast daitrosa, czyli służebnika rozdzielającego mięso przy uczcie; „zwykła ucztą” zastępuje „eranos” [nb. słowo znane skrablistom!], czyli ucztę składkową), jakie polskie idiomy wprowadzili (np. greckie określenie „do swojego domu” Siemiński przemienia na: „do ojczystych śmieci”) lub jak radzili sobie z epitetem Jutrzenki „rododaktylos”, czyli „rózno-palca”. Błask *Odyssei* staje się o wiele silniejszy, gdy wspomagamy się herkulesowymi pracami Kubiaka!



Muzyka żydowska w NOSPR

Czy istnieje muzyka żydowska? Pytanie nie nowe; w miarę poszerzania się naszej wiedzy o kulturze muzycznej XIX i XX wieku nabieramy pewności, iż nie chodzi tu o muzykę tworzoną przez Żydów (tu kolejne pytanie, też nieraz już zadawane: kto jest Żydem?), lecz o żydowskość deklarowaną. Tzw. „renesans żydowski” – prąd umysłowy i kulturalny, który ogarnął zasymilowaną mniejszość żydowską Europy Zachodniej w II połowie XIX wieku, zakładał m.in. tworzenie tradycji żydowskiej. Brzmi to dość kontrowersyjnie (tradycja tworzona?), lecz w praktyce jest łatwe do ogarnięcia: ograniczając się do spraw muzycznych powiemy, że chodziło o wykreowanie narodowej szkoły żydowskiej w muzyce, analogicznej do szkoły rosyjskiej, polskiej, czeskiej itd. Najstarsze żydowskie towarzystwa muzyczne, powołane do życia w celu tworzenia i propagowania muzyki żydowskiej, powstały jeszcze w XIX wieku w Rosji. Tam też zainicjowano akcję zbierania żydowskich melodii ludowych. Drugim co do ważności ośrodkiem rozwoju muzyki żydowskiej był Berlin, gdzie na początku XX wieku ukazywało się ekskluzywne pismo „Ost und West” prowadzące dział publikacji nutowych i organizujące koncerty. Nie można zapomnieć także o Wiedniu jako tradycyjnym ośrodku muzyki synagogalnej, zreformowanej w połowie XIX wieku przez tamtejszego „króla kantorów” Salomona Sulzera, i o USA, gdzie sulzerowski repertuar dotarł w latach 60. XIX w. aż na Dziki Zachód. Muzykę żydowską uprawiano na ogół w znanej i naszej szkole narodowej w postaci stylizacji melodii ludowych (chasydzkich lub palestyńskich). Po pierwszej wojnie światowej pojawili się kompozytorzy związani z modernizmem, dla których melos żydowski stanowił jedynie inspirację. Wśród nich fenomenalną sławę zdobył urodzony w Szwajcarii, a później związany ze Stanami Zjednoczonymi Ernest Bloch. Jego drobne utwory inspirowane duchem muzyki żydowskiej (jak sam mówił – inspiracja ta działała w warstwie podświadomości) zostały w latach 20. XX wieku wydane przez wiedeńską Universal Edition (tę samą oficynę, która publikowała utwory Karola Szymanowskiego), co zapewniło im popularność wśród wirtuozów; z kolei chóralskie psalmy oraz dzieła kame-



Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

ralne były prezentowane na festiwalach Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej – najważniejszym przedwojennym forum promocji muzyki nowej. Szczyt popularności muzyki Blocha to lata 30., kiedy jego oratorium inspirowane muzyką synagogalnego nabożeństwa *Avodath Hakodesh* zostało wykonane w Paryżu, a potem obiegało całą zachodnią Europę, aż po Pragę.

W Polsce międzywojennej utwory Blocha pojawiały się na estradach koncertowych bardzo rzadko i były to jedynie jego wczesne utwory instrumentalne, wśród nich rapsodia *Shelomo* (1916) na wiolonczelę i orkiestrę, którą usłyszeliśmy w NOSPR na koncercie abonamentowym 19 stycznia, w wykonaniu Tanji Tetzlaff, pod dyrekcją Leonarda Slatkina. Utwór zabrzmiał bardzo świeżo i ciekawie. Pierwiastek egzotyczny jest w nim ujęty w sposób dość oczywisty, niemniej nie ostentacyjny; cały urok kompozycji tkwi w barwnej, nastrojowej instrumentacji, traktującej orkiestrę jako spoistą „magmę” – w sposób zbliżony nieco do fresków orkiestrowych Debussy’ego. Na omawianym koncercie usłyszeliśmy jeszcze *VI Symfonię* Czajkowskiego oraz kompozycję własną Slatkina – *Kinah*, poświęconą pamięci rodziców autora.

Nowa książka o Szymanowskim

Wszacowanej niemieckiej oficynie wydawniczej Harrassimowitz Verlag ukazała się z końcem ubiegłego roku książka o Karolu Szymanowskim. Napisała ją znana doskonale wszystkim polskim melomanom Danuta Gwizdalanka. Książka, nosząca tytuł *Verführer (Uwodziciel)* to

owoc kilkuletniego, żmudnego ślęczenia nad wydanymi przez Teresę Chylińską listami kompozytora oraz rozmaitymi dokumentami wspomnieniowymi, krytycznomuzycznymi itd. Źródła te znamy doskonale, a jednak na podstawie książki Gwizdalanki uświadamiamy sobie, jak bardzo jednostronna była nasza dotychczasowa ich lektura. W miejsce tradycyjnego Szymanowskiego: samotnego, niezrozumiałego przez otoczenie, wrogo traktowanego przez polskich krytyków i co najwyżej obojętnie przez władze II RP, otrzymujemy nowy portret kompozytora, wydobywający na światło dzienne tuszowane przez dotychczasowych badaczy cechy jego osobowości. Z opowieści Gwizdalanki – napisanej barwnym, ciętym, miejscami nawet ciut złośliwym językiem, wyłania się najpierw rozpieszczone dziecko, następnie „złoty młodzieniec” wydający pieniądze otrzymane od mecenasów na szalone eskapady i gejowskie orgie, trudny kolega zrywający przyjaźnię wskutek najmniejszych nieporozumień, wielki egoista, wymagający dla siebie specjalnego traktowania, wpatrzony w siebie Narcyz, trudny pacjent itd. Autorka przeanalizowała relacje emocjonalne Szymanowskiego, wydając z jednej strony jego silny związek z matką, siostrami i ich dziećmi, z drugiej – brak zaangażowania w stałe związki uczuciowe z partnerami oraz instrumentalne traktowanie darczyńców. Zostały podliczone przychody i wydatki artysty (sumy faktycznie astronomiczne!), prześledzone kulisy jego kariery w Polsce i za granicą (bez unikania drażliwych kwestii takich jak relacje z artystami niemieckimi w okresie III Rzeszy), rozpoznane rzeczywiste okoliczności ważniejszych wykonań utworów. Autorka starała się spenetrować wszelkie dostępne za pomocą lektury źródła warstwy umysłowości i osobowości artysty, łącznie z ciekawie ujętym wątkiem jego religijności. Swoją relację kończy Gwizdalanka przypomnieniem sentencji Heinego, iż „twórczość artysty jest zawsze większa niż on sam”. Traktuję to nie tylko jako kurtuazyjne usprawiedliwienie się z przeprowadzonej brutalnej wivisekcji, ale jako propozycję dla wszystkich, którzy zajmują się życiorysami sławnych kompozytorów. Chodzą słuchy, że *Uwodziciel* ukaże się wkrótce w języku polskim, i to w rozszerzonej wersji. Oby to nastąpiło jak najprędzej. ■

Rok olimpijski

Zgryzoty rekordów

 RYSZARD JASNORZEWSKI

Pindar w *Odzie nemejskiej trzeciej* uczcił po wsze czasy zwycięstwo Arystoklejdesa – reprezentującego wyspę czy bardziej wysepkę Ajginę – w pankratonie. Była to konkurencja zbliżona do współczesnej brutalnej walki dwóch zawodników w klatce lub poza nią. Oprócz chwytów zapaśniczych i bokserskich, dopuszczano nie tylko łamanie nosów i gryzienie, ale także wykłuwanie oczu przeciwnika. Unieśmiertelniony w odzie olimpijczyk musiał być zatem niezłym zabijaką i w myśl ustaleń Pindara „męczące zniósł ciosy”, odpłacając ciosami, które jego anonimowego rywala umęczyły skuteczniej (a może prawie na amen). Więcej o Arystoklejdesie nie wiemy, a właściwie nic nie wiemy, lecz nie sportowy bohater Ajginy, znanej bardziej jako Egina, jest najważniejszy. Pindar wznosił się ponad duszenie, masakrowanie i wykłuwanie, zauważając: „Każda rzecz czegoś innego pragnie. / Zwycięstwo w agonach najbardziej ceni sobie pieśń. / Najgodniejszą towarzyszkę wieńców i sprawności”.

Czesław Slezák, poeta związany przez wiele lat z Katowicami i słusznie przypomniany niedawno w „Słasku” przez Tadeusza Siernego, cenil sobie – i docenił – mitologię sportu. Tomik *Pieśni olimpijskie* ogłosił w 1972 roku, niewątpliwie przy okazji igrzysk w Monachium i być może z intencją jakiegoś współzawodnictwa literackiego, do którego w latach olimpijskich nie brakowało zachęt.

Wielkie i oczywiste „my” w przeżywanu najważniejszych wydarzeń w teatrze sportu, liryka redukuje do intymnego i emocjonalnego (ale też intelektualnego) „ja”. Może także konfrontować swe możliwości ze sportową ekosferą, a więc dosłownie sferą wokół gwiazdy, gwiazd, przestrzeni do nazwania i zobrazowania językiem wokół widowiska. Wówczas, oczywiście, gest poetycki nie tyle odwołuje do sprawozdania, relacji sportowej (bo pozostawia ją wypowiedziom właściwym – informacyjnym i publicystycznym), ile staje się formą odwołania – bądź odwrócenia – sprawozdania. Dlatego też znicz olimpijski w wierszu Slezáka jest osobowy – i bardzo ludzki – „Oto daję znak / przebiegając przez kraje / abyście porównali / swoje czyny / i umiejętności”.

Szczególne to umiejętności i wyjątkowe sprawności, gdyż – w odróżnieniu od innych, z których zdaje się egzamin w szkole życia – nagradzane są medalami i chwilowym odpoczynkiem na podium.

Na igrzyskach w Monachium – w roku edycji *Pieśni olimpijskich* – po raz pierwszy mierzono czas na mecie z dokładnością do setnej części sekundy. W pływackim wyścigu na 400 metrów stylem zmiennym nawet ta dokładność zawiodła. Pierwszeństwo uzyskał Gunnar Larsson ze Szwecji. Uhonorowany srebrem (lub na srebrno przegrany) Amerykanin Tim McKee okazał się gorszy o dwie tysięczne sekundy. Za współwłaścicielkę złotego lauru można więc uznać

kosmetyczkę. Paznokcie Szweda były dłuższe o milimetr lub dwa, a więc jako pierwszy dotknął ściany basenu. Później zrezygnowano z podobnych absurdów i równowaga czasu w setnych klasyfikuje pływaków bądź lekkoatletów na równorzędnych miejscach. Zaniechano również pomysłu, aby medale wieszać na szyjach koni, sznurowadłach pantofli biegaczy, wiosłach wiosłarzy – oraz wręczać dyplomy okularom, które noszą strzelcy i łucznicy.

Poetycki sport roku 1972 chce być wolny od tego rodzaju gier. Kula – bohaterka liryczna wiersza Slezáka – wyznaje: „Ciężka jestem / podobnie jak kształt świata”. Dysk, najbardziej artystyczny ze sprzętów, którymi posługują się lekkoatleci, recytuje dumnie: „Jeszcze jestem / trwam na brzegach powietrza / wędruję w głębinach wiatrów. – „Na pomoście sztangistów, ale i wszędzie tam, gdzie stawia się pomosty, by ludzie przdrucali i rwali własny los, słyszymy retoryczne pytanie: „Co cięższe – / życie / czy bunt żelaza?”.

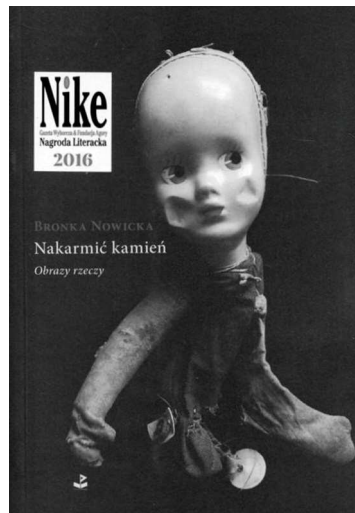
Elementem mitologii olimpijskiej – i w ogóle zabobonów sportowych – jest równość szans uczestników widowiska. Mniej utalentowanych i gorzej wykarmionych odżywkami nie eliminują z zabawy wyłącznie różne minima, konieczność osiągnięcia określonych metrów, centymetrów lub kilogramów, gdyż nawet już na arenie doskonale można odróżnić aktorów pierwszoplanowych od statystów. Wynik starcia piłkarzy wodnych z Węgier z ich odpowiednikami z Malediwów można odgadnąć bez konieczności obserwacji uczestniczącej, a sprinterka z Afganistanu lub tyczkarz reprezentujący Bhutan będą egzotyczną ciekawostką. W wierszach Slezáka dramat rywalizacji nie sprowadza się jednak do dramatu podmiotów walki o medale. To człowiek, ssak w basenie, na bieżni, rzutni, w ringu albo na zapaśniczej macie, jest przegranym w swym boju z materią i żywiołami. Zawodnik może nucić melodię zwycięstwa albo tej melodii tęsknie wyczekiwać, lecz metal – bohater *Pieśni metalu* – wie swoje: „Zanim

mnie rzucisz / wygładziwszy w kulę / w dysk / w młot dotykem swoich rąk brutalnych /.../ pomyśl o mnie / który nie chce / pokonać przestrzeni / i wykorzystuje prawa grawitacji / przeciwko tobie”. Wiatr, tytułowy bohater innego wiersza, skarci próżnych: „Mogę nagle / wszystko unicestwić / podmuchać przeciwnieństw / w obcą twarz”. Przeszkody do pokonania w biegu na trzy kilometry – „Żyją martwe / ślepe / okrutne / pełne oczekiwania / naszej klęski”.

W egzystencji sportowej, w tej – jak pisze Slezák – „zgryzocie rekordu”, zwycięstwa i porażki znaczą to samo, są złudzeniami żywych organizmów wrzuconych do piekła walki, niekiedy wydłubujących sobie oczy – wzajemnie i za wysoką gaź. W świecie mało poetyckim notatka liryczna jest mimo wszystko pewną formą nadziei. W otwarciu poematu *Ziemia jest najdalej autor Pieśni olimpijskich* przypomina (i trochę napomina): „Kiedy Ziemia / powraca do człowieka / – śmieje się. / Tylko my na odległość niemożliwą / do zrozumienia / dokańczamy modlitwą / życie zmarłych”. Patetycznie napisane, ale jakoś do zniesienia, bo to otwarcie „oratorium” dla Janusza Kusocińskiego. W patosie, czy chcemy tego, czy nie, zawsze jest banalnie zwyczajna i najprościej wyrażona gorycz.

Emil Zátopek, któremu Slezák wiersza nie poświęcił, podobno zapewnił rywali, z którymi stanął na linii startu olimpijskiego maratonu: „Panowie, będziemy trochę umierać”. W życiu sportowym jest konieczna, możliwa do przełknięcia przez człowieka, dawka umierania. Od bardzo dawna cenił sobie szczególnie dwie linijki z *Pieśni olimpijskich*: „Maraton jest o wiele dalej / niż odległość dla biegaczy”.

Znicz, bohater wiersza napisanego przez Slezáka w roku igrzysk olimpijskich w Monachium, nie mógł wiedzieć, że gdy zaplonie sportowcom wszystkich narodów naprawdę, powita go salwa armatnia. Z powodów oczywistych, armaty ustawiono poza stadionem. I niech tak pozostanie.



Trauma i przedmioty codzienności

KSIAŻKI

MARTYNA DYMON

Nakarmić kamień Bronki Nowickiej to zbiór krótkich opowiadań, fragmentów historii z życia, których świadkiem jest dziewczynka. Traktuje ona świat jako przestrzeń pełną osobliwości. Bohaterka poszukuje przede wszystkim prawdy w świecie, w którym funkcjonuje. Interesujące jest odkrywanie życia przez dziewczynkę. Dokonuje się ono głównie przez kontakt z ciałem, skórą – posiada znamiona somatycznej relacji ze światem. Owo doświadczenie nie jest jednak czymś nowym, wpisuje się w nurt poezji polskiej, który – jak pisał Marian Stala – ewokuje doświadczenie świata przez pryzmat cielesności. To także doznanie, które przywołuje metaforę Prousta – mianowicie dotkliwą i nieprzekazywalną do końca w słowie pamięć ciała.

Podmiot przechowuje wszelakie rzeczy, które wcześniej należały do bliskich (m.in. grzebień, poduszkę do igieł, łyżeczkę, nafalinę, fotografię, buty), ponieważ noszą w sobie pamięć o nieistniejących miejscach oraz odeszłych osobach. Owo swoistego rodzaju zbieractwo dziewczynki bywa utrudnione przez same rzeczy, które pragną być odkryte, zauważone, nie tylko posiadane: „Jak zobaczyć wszystko, jeśli wokół widać tylko rzeczy i każda chce być poznana?” (s. 13). Rzeczy w poezji Nowickiej domagają się uwagi, bo proszą o nią jednocześnie przeszłość, zamkniętą w codziennych przedmiotach. Okazuje się jednak, co boleśnie podkreśla Nowicka, że zrozumienie i odkrycie wszystkiego jest niemożliwe. Dziecko (dziewczynka) także „wie, skądś wie” (s. 13), że całościowe poznanie jest poza jej zasięgiem. Wspomina o tym upersonifikowana postać Smutku, który przypomina o owym ograniczeniu poznania i tym samym zaczyna stawiać pytania oraz problemy natury ontologicznej.

Charakterystyczny w *Nakarmić kamień* jest status przedmiotów przechowywanych,

które u Nowickiej nie ożywają w wyobraźni podmiotu jako echa przeszłych wydarzeń, lecz stają się dla dziecka miniaturą wersją świata dorosłych. W wierszu *Puch* mowa o torcie z plasteliny, małym nożu, domu z firanką, meblami i zastawą. Zabawki oraz zabawa stają się dla dziewczynki nieświadomą inicjacją w świat dorosłych. Przedmioty Bronki Nowickiej przyjmują status książki, które noszą w sobie nie tylko pamięć o teraźniejszości, ale także o przeszłości, jak w wierszu *Widlec*, w którym mowa o sąsiadce pijącej kawę i wyrzucającej z siebie stare czasy, które „zalegają w niej jak fusy na dnie szklanki” (s. 19). Owe fusy – wspomnienia – „są coraz cieńsze, ale ciągle dają się zaparzyć” (s. 19). Podmiot „lubi słuchać [tych historii] – uczy się o życiu” (s. 19). Co więcej z rzeczy posiadających w sobie pamięć, można dokonać fizycznego odczytania przeszłości, gdyż niektóre z przedmiotów zostały niejako zdekonstruowane: „wojna jest wtedy, gdy przedmioty tracą rozum. Boi się jeść widelcem. Trzyma go z daleka od włosów” (s. 19).

Niezwykle istotna dla tej poezji jest relacja ze światem, która realizuje się przez dotyk oraz zmysły. Rzeczy umożliwiają poznanie, a najważniejszym z nich okazuje się kamień. Dla podmiotu przekształca się on w katalizator świata, filtr, dzięki któremu rzeczywistość przynajmniej w części ma szansę zostać odkryta. U Nowickiej dziecko pyta kamień o różne kwestie, trzyma go pod językiem, co ważniejsze jednak, dziewczynka oddaje mu pierwszeństwo odkrycia poszczególnych elementów świata. Kamień to figura stateczna, wieczna, ale także silnie opanowująca osobowość dziecka: „Kamień jadł ten widok razem z dzieckiem, które już wiedziało: wyżywi kamień czymkolwiek, co przejdzie przez zmysły” (s. 27). Kamień ma znaczenie symboliczne: oznacza ból, śmierć, ale także apoteozę istnie-

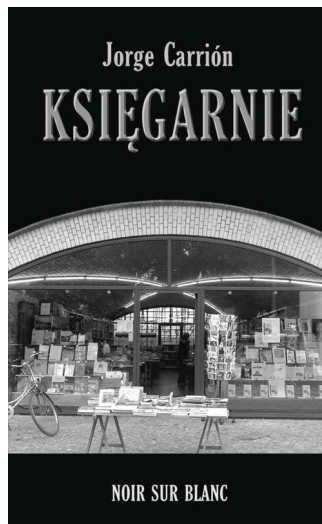
nia, pamięci. Autorka podkreślała w wywiadach, że w kamieniu szuka tego, co zabrakło, bądź się wyczerpało w życiu, w świecie żywych. Należy nakarmić kamień, ponieważ nie jest przedmiotem doskonałym i samowystarczalnym jak u Herberta. Potrzebuje czerpać ze świata. Utrata kamienia jest utratą możliwości nakarmienia go rzeczywistością, by nie umarł (a wraz z nim dziewczynka).

Bronka Nowicka wykorzystuje schemat symbolicznego wyrzucenia kamienia, by w ten sposób przedstawić charakter przejścia w dorosłość. To dojrzewanie dokonane nagle oraz przedwcześnie. Co prawda podmiot zyskuje samoświadomość, ale jednocześnie traci umiejętność niewinnej i niczym nieuwarunkowanej percepcji. Stąd też dziewczynka próbuje zastąpić kamień kasztanem: „Kasztan jest podobny do kamienia” (s. 57). Podmiot dzięki tej zamianie usiłuje powrócić do wcześniejszej relacji, jaką miał z kamieniem. Autorka podejmuje również temat traumy, szczególnie zaznaczonej w wierszach: *Próg*, oraz *Kieszenie*, nieumiejętności pogodzenia się z bolesną przeszłością oraz z problemami związanymi z wyrażeniem osobistej tragedii. Kwestia słów jest dla tej poezji niezwykle istotna. Słowa dosłownie grzęzną w ustach, niejednokrotnie usiłuje się je wydobyć na zewnątrz, przekazać światu. Są stłumione, stają się wyrazem sumienia. Ponadto nie potrafią w pełni opisać rzeczywistości, okazują się niewystarczające. Stąd też czytanie, odkrywanie może się odbyć jedynie przez ciało. Co więcej, każdą myśl niewyartykułowaną oblepia pozornie nieruchomy, wspomniany Smutek, który „przychodzi i jest”. Inym razem „leży obok. Nie tonieje. Nawet się nie poci” (s. 13). Dopiero dotyk „inspektora wskazującego i inspektora kciuka” (s. 35) zmusza dziewczynkę do oddania słów, pokazania się światu. Nieskutecznie, ponieważ rewizja kończy się brutalnym uderzeniem dziecka butem.

Ciało dla Nowickiej to plastyczna forma odkrywająca każdy aspekt rzeczywistości. Autorka w niezwykle interesujący sposób przedstawia dychoforniczość doświadczenia przez dotyk. Początkowo w formie odkrywania pełnego zaciekawienia, z czasem jednak podkreśla dramatyczną relację dziewczynki ze światem, którą traumatyczne przeżycia cielesne zmuszają do wycofania się i oddania pierwszeństwa w poznaniu kamieniowi.

Nakarmić kamień to debiut intrygujący sposobem podjęcia tematu traumy, której bezpośrednimi świadkami okazują się przedmioty codzienności. Jest on również hołdem złożonym przeszłości zamkniętej nie tylko w materii, ale przede wszystkim w imagacji. Książka Nowickiej niezwykle głęboko zanurza się w kulturze mikrohistorii, które pełne są odwołań do filozofii, mitologii, ale również psychoanalizy. Pobrzmiewa w niej echo freudowskiej koncepcji powrotu do łona matki, jak i frommowskiej myśli o idolach. To wreszcie poetycka wizja dojrzewania, którego nagle nadejście wywołuje chęć wyrzeczenia się indywidualności na rzecz poczucia bezpieczeństwa.

Bronka Nowicka: *Nakarmić kamień* *Obrazy rzeczy*. Wyd. 2. Biuro Literackie, Środa Śląska 2017, s. 64.



Smak lektury

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Księgarnie Jorge Carrióna to książka, która udowadnia czytelnikowi, iż miejsca mogą mieć swój specyficzny smak. Hiszpański pisarz, podróżnik i wykładowca akademicki łączy w niej wszystkie swoje pasje. Opisując księgarnie zarówno europejskie, jak i australijskie, zagłębiając się w afrykańskie, południowoamerykańskie sklepy z książkami, przemierzając Stany Zjednoczone w poszukiwaniu zarówno wielkich magazynów, jak i małych sklepików, Carrión za każdym razem pokazuje czytelnikowi ich niezwykłość i ulotność. Księgarnie – twierdzi pisarz – mają zawsze coś do zaoferowania, każda z nich jest specyficzną heterotopią, oferującą odwiedzającemu nieskończoną ilość opowieści, dróg i ścieżek, którymi można podążyć. Tworzą one nietypową mapę, której lektura za każdym razem okazuje się być inną przygodą. Żywot księgarni nie jest pewny. Szybko znikają, zmienia się ich charakter. Choć Carrión opisuje realnie istniejące księgarnie, to czytelnik wie, że jest to opowieść pisana z perspektywy czasu już minionego. Melancholijny ton nie dominuje jednak w książce, zawsze równoważy go radość, wynikająca ze spotkania z kolejnym księgarzem, z odkrycia kolejnej książki w najbardziej niespodziewanym miejscu, słowem – radość wynikająca z przygody. Umiejętne dozowanie przez autora nostalgicznego i radosnego tonu sprawia, że książkę czyta się z wielką przyjemnością.

Dla autora *Księgarni* lektura jego książki przez kolejnych czytelników ma wymiar wręcz mistyczny. We wstępie Carrión pisze, że jest to studium „o świecie jako księgarni i księgarni jako świecie, o ironii i powadze, o dziejach wszystkich książek i każdej z osobna”. Moment, w którym trafia ona do rąk czytelnika, podkreśla autor, „znaczy [...] że właśnie opuściła ona jedną heterotopię, aby wnikać w inną, wraz z nieuniknionymi modyfikacjami sensu, zmianami znaczenia. Tak działa ta książka: [...] składają się [na nią – EB] obecności i zapomnie-

nia, analogie i synekdochy, zbiór złotoustych fragmentów i odpadki pewnej historii lub przyszłej encyklopedii, niemożliwej do napisania”.

Czytelnik jest w tym ujęciu eksploratorem, podróżnikiem po świecie znaczeń, przemierzającym i pozwalającym uczestniczyć *Księgarniom* w przygodzie, jaką staje się jednostkowa lektura, zabranie książki do domu. Filozofia lektury, jaką proponuje czytelnikowi Carrión, jest uwodicielska. Jej rodowodu można szukać zarówno w odniesieniach do *Pasaży* Waltera Benjamina od którego autor zapożycza w dużej mierze melancholijny ton, lecz przede wszystkim widać w niej inspirację płynącą z lektury *Don Kichota* z *La Manchy* Miguela de Cervantesa. Czytelnik, podobnie jak Don Kichot, podejmując lekturę – wyrusza na niepowtarzalną przygodę z tekstem, uczestniczy w procesie konstruowania świata. Świata, który można czytać wielowątkowo.

Księgarnie są także opowieścią o fascynacjach lekturowych ich autora. Walter Benjamin, Susan Sontag, Octavio Paz, Ray Bradbury, Stefan Zweig, Luigi Pirandello to tylko kilka nazwisk z cytowanych w książce autorów. Zaskakuje trafność i piękno przywoływanych przez Carrióna fragmentów, kusi odbiorcę i zachęca do sięgnięcia po przywoływane w *Księgarniach* książki. W podobny sposób oddziałują na czytelnika wplecione w opowieści o kolejnych księgarniach historie skupiające się na znanych pisarzach, dla których te skarbnice książek stawały się nieraz areną do prowadzenia dysput na tematy polityczne i społeczne. Wśród przywołanych autorów znaleźli się m.in. Joyce, Borges, Cortázar, Goethe. Pisarz odwołuje się do nich nie bez przyczyny. W jednej z końcowych części książki stwierdza, że „propaguje wartościową fikcję”, przedstawiając księgarnie jako „centra kultury, mity, przestrzenie dialogu i debaty, i przyjaźni, czasami miłości”. Propedeutyka, jaką uruchamia w swojej książce Carrión, nie jest bezcelowa. Autor pokazuje jakie są konsekwencje za-

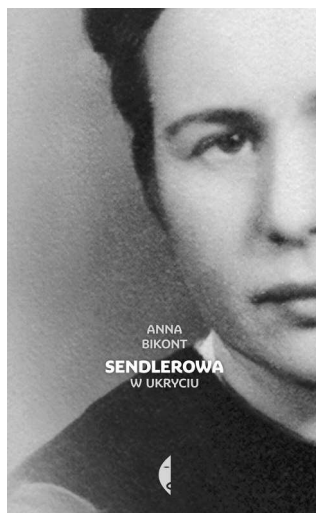
wierzenia „wartościowej fikcji”, opowieści o roli księgarni w kulturze. „James Boswell pozna Samuela Johnsona w księżnicy Toma Daviesa przy Russell Street, Joyce znajdzie wydawcę dla *Ulyssesa* [...] Joseph Pla jako dziecko odwiedzi księgarnię Canet w Figueras i podpisze pakt z literaturą” – pisze hiszpański autor, pokazując jak ważną rolę w życiu pisarza mogą odegrać księgarnie.

Jednak opowieść Carrióna nie jest tylko piękną baśnią o roli księgarni w kształtowaniu się kultury literackiej. Ważną część rozważań pisarza stanowią kwestie polityczne. Autor podążając za myślą Michela Foucaulta pokazuje, iż ten kto ma wiedzę, ten ma władzę. „Księgarnia trzyma rękę na pulsie teraźniejszości, współprzeżywa ją, lecz także ekscytuje się, gdy podlega ona zmianom” – pisze autor, podkreślając różnicę pomiędzy biblioteką a księgarnią. Obie te przestrzenie są miejscami podatnymi na działanie władzy. Tyle tylko, że pierwsza jest areną szybkiego reagowania, miejscem, w którym dokonują się rewolucje.

Pisarza interesują także skandale, aresztowania książek uznanych w danym czasie historycznym przez władze za nieodpowiednie dla społeczeństwa. „W Turcji dominuje literatura nacjonalistyczna, jak w Egipcie antysemicka, a w Izraelu islamofobiczna” – pisze Carrión, uświadamiając czytelnikom, jak wielki wpływ na kształt społeczeństwa i jego ideologię może mieć tak, zdawałoby się, trywialna przestrzeń, jaką jest sklep z książkami. W ciekawy sposób opisuje największych zbrodniarzy świata: Stalina, Hitlera z perspektywy ich pasji kolekcjonerskiej, która – z jednej strony – czyniła z nich koneserów sztuki, a z drugiej – ta sama wiedza wywiedziona z książek, kazała wprowadzać co rusz bardziej restrykcyjne metody cenzury, łącznie z paleniem książek. Czytając *Księgarnie* odbiorca może poznać niezwykłą historię cenzury, represji, eksterminacji książek. Uzmysłowić sobie, jak ważną rolę odegrały książki w kształtowaniu się demokratycznych społeczeństw, a także jaką odgrywały w projektowaniu totalitarnych ustrojów.

„Kaźda księgarnia jest streszczeniem świata. To nie trasa lotnicza, ale wędrówka pośród regałów łącząca twój kraj i jego mowę z odległymi krainami, gdzie mówi się innym językiem. Nie jest granicą państwową, lecz przejściem – po prostu przejściem – ku innej topografii i tym samym toponimii, i tym samym epoce [...]” – pisze Carrión i konsekwentnie w czternastu różnych opowieściach przenosi czytelnika w czasie i przestrzeni. Zaprasza do sięgnięcia w głąb historii, aby przyjrzał się ateńskim księgarniom. Zachęca do zbadania roli, jaką odegrały najstarsze książki świata, do prześledzenia skandali i przyjrzenia się książkom orientalnym. Nie lekceważy przy tym przemian, jakie następują wraz z wszechogarniającym wszystkie dziedziny życia rozwojem Internetu. To wszystko, przełożone na język polski przez Adama Elbanowskiego, z zachowaniem lekkości stylu Carrióna, sprawia, że *Księgarnie* to pozycja godna polecenia zarówno molom książkowym, jak również tym, którzy dopiero rozkochują się w książkach.

Jorge Carrión: *Księgarnie*. Przeł. Adam Elbanowski. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2017, s. 333.



Cena (prze)życia po drugiej stronie muru

KSIAŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Anna Bikont jako wprowadzenie do badań nad losami dzieci ratowanych przez pracownice Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego zlokalizowanego przy ulicy Wolskiej 4 (m.in. Jadwigę Piotrowską, Jadwigę Sałek-Denekę, Irenę Schultz oraz Irenę de domo Krzyżanowską, primo voto Sandler) wykorzystuje rekonstrukcję rodzinnej sytuacji Diany Blumenfeld, Jonasa Turkowa i ich córki – Margarity. Małżeństwo aktorów po ucieczce z warsztatu przedmiotów drewnianych, w którym trwała oblawa, będąca częścią wielkiej akcji likwidacyjnej trwającej od 22 lipca do 23 września 1942 roku, zdecydowało się na powierzenie córki (z powodu braku możliwości ulokowania jej w klasztorze) Stanisławie Borcińskiej. To właśnie w tymczasowym schronieniu, którego inicjatorami były Wanda Wyrobkowa i Zofia Wiśniewska, dziewczyna doznawała przemocy fizycznej i seksualnej ze strony Bogdana – syna gospodarza. Jednak zasadniczym problemem było niewystarczające komorne, o czym Turkow został poinformowany listownie; nie mógł wiedzieć, że po był w mieszkaniu przy Wspólnej 73 został już oplacony przez Sandlerową.

Historia nakreślona przez Bikont w pierwszym rozdziale stanowi odpowiednią introdukcję, spełniającą zadanie nakreślenia relacji polsko-żydowskich w sposób egzemplifikacyjny; Borcińska reprezentuje typ kobiety interesownej („chciała zarobić”, s. 25), Borciński zaś nie mógł się sprzeciwić decyzjom żony, która go biła. Z relacji Turkowa parafrazowanej przez Bikont wyłania się portret konformisty: „Był poruszony współczuciem, z jakim ten mówił o losie Żydów, i pewnie nie chciał wiedzieć o interesach żony” (s. 31). Mąż w wyniku rewizji ginie w Auschwitzu za działalność konspiracyjną, a apodyktyczna żona po upadku powstania warszawskiego trafia do obozu w Pruszkowie, a następnie na wieś

pod Warszawą. W epilogu czytelnik dowiadyje się o emigracji Margarity i jej rodziców do Stanów Zjednoczonych i nieprzepracowanej traumie córki z powodu rozłąki, która według ocalałej nie była konieczna, lecz świadczyła o braku miłości rodzicielskiej. Turkow stał się orędownikiem w sprawie nadania Sandlerowej medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Odnaczona darzyła go atencją do tego stopnia, że w sprawie o kolaborację Wiery Gran z nazistami poparła Turkowa, który domagał się ukarania śpiewaczki. Temperatura emocjonalna tej relacji była niezwykle wysoka, podobnie jak innych, zawartych przez Sandlerową z podopiecznymi lub współpracownikami.

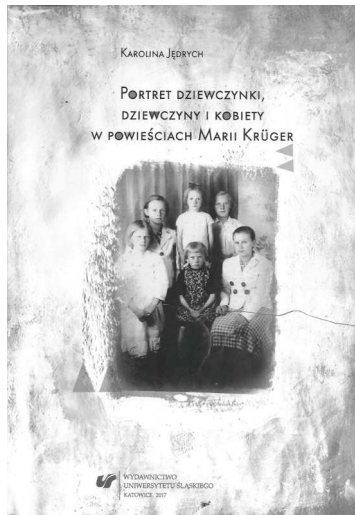
W książce *Sendlarowa. W ukryciu* Bikont prowadzi trójwątkową narrację: rewiduje intencje ratujących, śledzi następstwa psychofizyczne związane z sytuacją uwięzienia i tropienia ocalałych przez szmalcowników i stara się ustalić główne fakty z życia Sandlerowej, której biografia za sprawą rozpowszechnienia sprawy mordu w Jedwabnem przybrała formę hagiografii. Dzięki archiwalnej kwerendzie oraz rozmowom z ocalałymi (Michałem Głowińskim, Margaritą Turkow), ich dziećmi (Mikim i Ronnym Körnerami), dziećmi ratujących (Hanną Rechowicz) oraz specjalistami (Barbarą Engelking i Aliną Molisak) możliwe staje się ujawnienie sekretów, których depozytariuszami byli wyłącznie uratowani, rzucających światło na relację między ratującymi a ratowanymi oraz stopień destrukcji, której źródłem była świadomość utraty rodziny w ramach akcji eksterminacyjnych (*casus* Bogdana Wojdowskiego, który popełnił samobójstwo 21 kwietnia 1994 roku). Bikont stara się w płynny sposób połączyć mikrohistorię życia Sandlerowej, wspominającej czas okupacji z odległej perspektywy oraz historię zorganizowanych działań pomocowych na terenie getta warszawskie-

go, których częścią był szmugiel jedzenia oraz nielegalna aprowizacja. Getto posiadało swoją wewnętrzną dynamikę warunkowaną przez chronologię zdarzeń odbiegającą od powszechnych wyobrażeń. Bikont wspomina również o przypadkach powrotów do getta wiążących się z brakiem kontaktów po aryjskiej stronie, złym wyglądem. Decydującym czynnikiem sprzyjającym powodzeniu akcji ratunkowej okazywały się rezerwy pieniężne oraz łut szczęścia. Autorka precyzuje również kto w okupowanej stolicy okazywał się dla Żydów realnym zagrożeniem: byli to Polacy, którzy należeli do „szarej strefy”; to właśnie oni denuncjowali Żydów, stąd stwierdzenie „poza gettem los żydowski jest w dużej mierze w polskich rękach” (s. 209). Wspomina o tym również Anna Synoradzka-Demadre, powołując się na słowa Marii Iwaszkiewicz-Wojdowskiej, śledząca losy majątku rodziny Wertheimów odwiedzanego przez Jerzego Andrzejewskiego na potrzeby publikacji *Je-rzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej*.

Ważnym ogniwem narracji biografki okazują się starania mające na celu wskazanie rozbudowanej siatki konspiracyjnej czuwającej nad powodzeniem akcji ratunkowych (logistyką i procederem wyprowadzania dzieci z getta). Dopiero obalenie wielu mitów i nieporozumień pozwala na zdanie sobie sprawy z rozmachu, jakim cechowały się przedsięwzięcia „Żegoty” i jej współpracowników, których paradoksy wyraziła Sandlerowa w jednym z konferencyjnych przemówień (jego stenogramów nie udało się jednak Bikont odnaleźć): „w okupowanej Warszawie dużo łatwiej było znaleźć miejsce w salonie, gdzie by pod dywanem został ukryty duży czółg, niżby się znalazło miejsce dla jednego małego dziecka żydowskiego” (s. 339).

Próba weryfikacji biografii Sandlerowej jest mistrzowskim studium mikrologicznym za sprawą konfrontowania spornych faktów z jej życia i ujawnienia genezy listy 2500 uratowanych żydowskich dzieci (na liczbę tę składają się wszystkie przypadki interwencji Żegoty, nawet te dotyczące dorosłych potrzebujących fałszywych metryk). Bikont pisze więc przede wszystkim o kruchości ludzkiej pamięci i potrzebie wiary w misyjną moc autoritetu jakim stała się po wojnie Sandlerowa (bez względu na jej partyjną działalność i życiorysowe nieścisłości i konfabulacje). Śledztwo Bikont ujawnia z reporterskim zacięciem niesamowite zwroty charakterologiczne (*casus* Jana Dobraczyńskiego, antysemita, który pod wpływem Jadwigi Piotrowskiej aktywnie włączył się w akcję pomocową), skomplikowane motywacje ratujących (*casus* przywołanego małżeństwa Borcińskich) oraz dezintegrację rodzin żydowskich. Powojenne losy Sandlerowej ujawniają cenę jaką zapłaciła za swe działania (problemy rodzinne i dwa nieudane małżeństwa oraz wiara w koncyliacyjny potencjał jej życiorysu, która doprowadziła do cenzurowania przeszłości i uwierzytelniania zawyżonej liczby uratowanych). W opowieści Bikont staje się ona zakładniczką własnych wspomnień i oczekiwań Polaków.

Anna Bikont: *Sendlarowa. W ukryciu*, Czarne, Wołowiec 2017, s. 480.



Być dziewczynką, nastolatką, kobietą

KSIĄŻKI

MONIKA SZCZYRBA

Maria Krüger to ceniona autorka literatury dziecięcej oraz dziewczęcej. Bohaterkami jej książek są nastolatki, niejednokrotnie dziewczynki, które zostają przedstawione jako osoby poszukujące swojego miejsca na ziemi. Są zagubione, niepokorne, z czasem pod wpływem pewnych wydarzeń widzimy zmiany w ich modelującej się dopiero osobowości. Dziewczęta pokornieją, dojrzewają, zmieniają dotychczasowe poglądy. Karolina Jędrzych w swojej monografii przytacza definicję powieści dla dziewcząt, kreśli jej ewolucję, jak i zmiany samych funkcji książek dla nastolatek (od wychowawczej po typowo rozrywkową). Niestety nie rozwija interesującego wątku umieszczania takich historii na liście ksiąg zakazanych. Przydałoby się kilka zdań na ten temat zamiast zwykłego odnośnika do tekstu poświęconego temu zagadnieniu.

Autorka dzieli książkę na dwie części. Pierwsza z nich nosi tytuł *Tło portretu*. Analizie zostaje poddane tzw. bezpieczne miejsce w życiu młodych bohaterek powieści Krüger. Jędrzych ukazuje te miejsca, w których protagonistki chcą żyć, czują się odważne, akceptowane i bezpieczne. Na podstawie obrazów z dziecięcych pocztówek, snów, przeczytanych książek, reklam, wyobrażają sobie swoją bezpieczną przystań, którą jest jednak nierealna. Nierzadko wizje domów z marzeń, będące odzwierciedleniem przeczytanych opisów życia dziewcząt żyjących na przestrzeni różnych dekad, nie znajdują racji bytu w życiu rozczarowanych bohaterek, którym przyszło dojrzywać w czasach międzywojennych. Krüger bezpieczne miejsce przedstawia ubóstwu i wojnie, pokazując jak dziewczęta próbują radzić sobie z otaczającą je rzeczywistością. Każda z nich „chowa się” w nieco innej przystani, jednak to, co je łączy, to balans na granicy fantazmatu i realnego świata. Autorka

tworzy książki w konwencji realistycznej, wprowadza dokładne daty, wydarzenia historyczne, miejsca, które istnieją w rzeczywistości, co wielokrotnie podkreśla Jędrzych. Fakt wybrania powieści realistycznej przez Krüger jest dla badaczki istotny, uważa go za jedną z ważniejszych cech prozy analizowanej pisarki. Poświęca mu stosunkowo dużo miejsca zastanawiając się także nad funkcją rekwizytów w książkach analizowanej pisarki. Również sposób przedstawienia ubioru, higieny, kwestie związane z żywieniem, mają kluczowe znaczenia podczas badań. Proza realistyczna jest specyficzna, dlatego też Jędrzych z uwagą bada różne wskazówki umieszczane w poszczególnych powieściach. To z kolei składa się na obraz międzywojnia i zwykłych, codziennych trosk bohaterek.

Analiza powieści *Gorzkie wino*, której akcja umieszczona została w *belle epoque*, jest jedną z najciekawszych. Życie w niej przypomina najpiękniejszy moment balu, w którym dziewczyna oczekuje momentu pojawienia się na nim, szykuje się, wyobraża sobie jak ślicznie będzie wyglądała i ile miłych słów usłyszy. Należy jednak pamiętać, że w momencie, gdy owe fantazje kobiety, które snuje przed balem nie spełnią się, czeka ją jedynie gorzyc i rozczarowanie. Problem ten podkreśla w swoich wywodach Jędrzych, kładąc nacisk na świadomość, że posiłkowanie się wyłącznie iluzją musi się prędzej czy później skończyć zderzeniem z rzeczywistością.

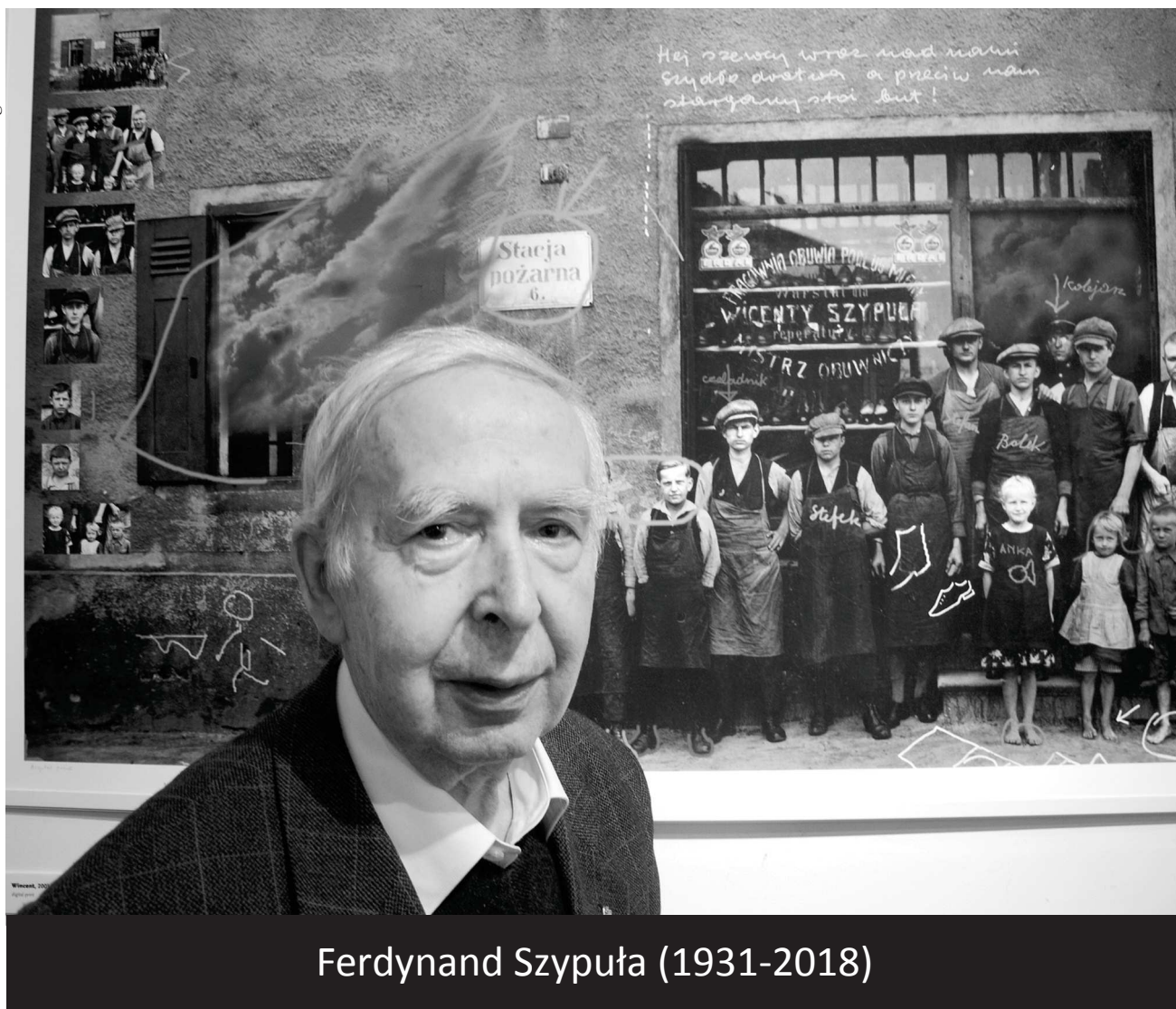
Druga część książki, zatytułowana *Portrety*, to studium mody międzywojnia. Jędrzych, słusznie wychodzi od myśli Grażyny Bokszańskiej, która uważała, iż „kostium stwarza możliwość przybrania dowolnej tożsamości”. Ubrania były ważną kwestią dla Marii Krüger, ponieważ niemal w każdej powieści poświęca im mnóstwo uwagi. Jędrzych, od-

wołując się do badań tematycznych, jakie przeprowadziła w szkole, pisze, iż jej uczniowie, którzy czytali choćby *Godzinę pąsowej róży*, nazwali ją „książką o ciuchach”. Wnikliwe badania pokazują jednak drugie dno takiego „przerostu” ubioru. Dla bohaterek pisarki założenie ubrania to niemal święto, jedno z najważniejszych wydarzeń dnia. W jednej z odsłon może okazać się przebraniem, może wyzwalać jak i zniewalać, może być również symbolem statusu materialnego lub narzędziem władzy, nie zapominając o podstawowej funkcji ubrania dla kobiety, czyli źródło przyjemności. I na tę właśnie przyjemność zwraca uwagę autorka, doszukując się w ubraniach funkcji stanowiącej rekompensatę. Za co jest to rekompensata? Czy naprawdę poprzez ubiór można pokazać innego siebie? Może ma on coś ukryć? Jędrzych pochyla się nad tymi problemami, czyniąc to w sposób ciekawy, wciągający czytelnika, nawet tego, który nie przepada za modą.

Ubrania w *Godzinie pąsowej róży* są wszędzie. Sama powieść zaczyna się w chwili, gdy jedna z bohaterek, Anda ogląda suknie na sklepowej witrynie. Rozmyśla nad tym, że nawet gdyby weszła w posiadanie tej sukni, jako czternastolatka nie miałaby gdzie w niej iść. Jej marzenie spełnia się w momencie, gdy przenośi się w czasie. Jednakże stroje z *belle epoque* okazują się być nie tylko krępujące swobodne oddychanie, lecz stanowią również nakaz określający normy społeczne. Gorszet już w pierwszych scenach powieści jawi się bohaterce jako narzędzie tortur. Dziewczyna czuje się skrupowana zarówno fizycznie jak i psychicznie. Autorka, na podstawie strojów Andy (wygodne spodnie zmieniają się w falbaniastą bieliznę) stwierdza, że nie dokonała się tu przemiana Kopciuszka. Korzystając z możliwości jakie daje krytyka feministyczna Jędrzych interpretuje gorszet w kategorii podporządkowania się mężczyznom. Kobieta, będąca dodatkiem do mężczyzny, musi też prezentować się w sposób nienaganny, powabny, nawet za cenę własnej wygody. Założenie gorszetu to także wejście w dorosłość, w ten sposób dziewczyna przeistacza się w kobietę, czyli właśnie kogoś podporządkowanego mężczyźnie. Anda marzy o zmianie stroju, bo „tylko wygodne ubranie, uwolnione z gorszetu ciało, będzie poddawać się woli osoby je posiadającej, nie zaś woli społeczeństwa” (s. 91). Niestety to marzenie jest niemożliwe do spełnienia dla kobiety żyjącej w *belle epoque*. Oznaki buntu, jak choćby w przypadku Petry i Klementyny, które zrzucają suknie i obcinają włosy, nie zdarzają się często, stanowiąc jedynie chlubne wyjątki.

Książka poświęcona twórczości Marii Krüger jest bardzo ważna, nie tylko ze względu na tematykę. Jędrzych usystematyzowała „kobiece” wątki wybranych powieści, a także wykorzystując takie pojęcia, jak feminizm, fantazmat czy *gender*, zaproponowała nowy sposób badania twórczości pisarki. Tego typu spojrzenie znacząco odświeżyło nieco niewspółczesne, jednakże doceniane pozycje dorobku pisarskiego Marii Krüger.

Karolina Jędrzych: Portret dziewczynki, dziewczyny i kobiety w powieściach Marii Krüger. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2017, s. 196.



Ferdynand Szypuła (1931-2018)

Odszedł Mistrz – zostało dzieło

WIESŁAWA KONOPELSKA

19 stycznia obchodziłby 87. urodziny. Nie dane mu było doczekać. Moje ostatnie z nim spotkanie miało miejsce we wrześniu 2017 roku, kiedy to pojawił się na wernisżu otwierającym wystawę fotografii Zbyszka Sawicza w Muzeum Historii Katowic przy ulicy Kopernika w Katowicach. Choć kruchutki, jakby coraz mniejszy, z wielkim trudem pokonujący schody, po których trze-

ba wspiąć się, by dojść do galerii. Ale nie mógł nie przyjść, wszak uczestniczył we wszystkich ważnych wydarzeniach, a tym razem on sam był bohaterem jednego z eksponowanych zdjęć, na którym widniał na tle swojej nagrodzonej kilkanaście lat temu grafiki. Zresztą mimo ograniczeń zdrowotnych i fizycznych starał się bywać, nie zaniedbywać przyjaciół i znajomych artystów. Zawsze wita-

ny z radością, podziwem, że dał radę, zawsze spodziewany i oczekiwany. On miał dla każdego swój uśmiech, serdeczność, otwartość i dowcip, z którego przecież sływał.

Kiedy otrzymywał ode mnie życzenia z okazji świąt, zawsze dzwonił, szczerze wzruszony pamięcią o nim. W ostatnie Święta Bożego Narodzenia nie oddzwonił. Zrodził się niepokój i myśl, że muszę się z nim skon-



taktować. Na tym zamiarze zleciało kilkanaście dni... i 16 stycznia dotarła mailowa wiadomość od Henryka Bzdoka, o tym że odszedł...

Kilkakrotnie odwiedzałam Mistrza Ferdynanda w jego domu przy Mikołowskiej, wielokrotnie schodziliśmy do jego pracowni znajdującej się w tym samym bloku. Kiedyś zakłopotany zapytał, co dzieje się ze „Śląskiem”, bo co miesiąc kupował nowy numer w zaprzyjaźnionym na parterze bloku sklepie. Zresztą egzemplarze z różnych lat, nie tylko te, w których znajdowały się teksty jemu poświęcone, zalegały w różnych kątach mieszkania. Bardzo go cieszyły wszystkie teksty, które – mogę tak powiedzieć – miałam zaszczyt napisać o jego twórczości.

Teraz, kiedy spoglądam na grafikę, którą kiedyś mnie obdarował nasuwa się jedna myśl – niemożliwe, że miał 87 lat. Zresztą, reakcja innych osób na ten obraz była podobna – niesamowite, bo przecież ta grafika jest tak młoda duchem, tak niebywale nowoczesna, wręcz przedstawiająca jakieś kosmiczne przestrzenie, raczej wskazywałaby na to, że autor jest kimś znacznie młodszym. Ale kiedy przyjrzeć się temu dziełu, jak i dziełkom innych prac tego wielkiego artysty, widać absolutnie rękę mistrza, precyzyjnego do granic niemożliwych, skrupulatnego, a przy tym z niebywałą wyobraźnią i otwartym umysłem. Fakt, że w swoich grafikach stworzył idealną symbiozę tego co malarskie, graficzne, rysunkowe z tym co przynależy matematyce i inżynierii, także tego co abstrakcyjne z tym co namacalne, codzienne, w końcu tego co poważne z groteską, dowcipem, przymrużeniem oka, zaskoczeniem. Był niedoścignionym mistrzem urody, fascynowało go doprowadzenie do perfekcji obrazowania elementów, które raczej powinny wyjść z tygla hutniczego czy wprost z obrabiarki tokarza – błyszczące metalowe detale, jakby dołożone do obrazu, wycięte w postaci kolażu z innej materii. A to tylko genialna ręka mistrza potrafiła tak wysublimować każdy ułamek milimetra obrazu.

Ogromny dorobek twórczy Ferdynanda Szypuły pokazuje jak długą drogę przeszedł – od linorytów i gipsorytów po wielowarstwowe obrazy powstające przy użyciu programów komputerowych. – To tylko narzędzie, jak każde inne – mawiał, trzeba nauczyć się dobrze je używać, nic więcej. Żaden program nie zastąpi

twórczego myślenia, nie uprości rzeczy, samo się nic nie dzieje. Doskonał się w tych digitalowych grafikach, tworzył nowe i „ulepszał” stare, dokładał i odejmował. Imponował mu wielki format, bo każdy detal mógł być lepiej widoczny, prace – na przykład słynne „Konie” zyskiwały jeszcze większą dynamikę, kiedy „galopowały” na wielkiej ścianie.

Niestrudzony aranżer przestrzeni, scenograf, wynalazca efektów wizualnych dla telewizji, potrafiący z niczego stworzyć iluzję przestrzeni, wiru, ruchu. Kiedy w Rondzie Sztuki, w 2011 roku przygotowywana była wielka retrospektywna wystawa jego dzieł, oczywiście było, że osobiście zaplanuje każdy centymetr przestrzeni, dogłębnie każdego szczegółu, a wszystko powstanie najpierw w mikrop przestrzeni, na stole w pokoju, na makiecie i z tym gotowym projektem wejdzie do właściwego wnętrza, by dokładnie zrealizować wizję tego artysty totalnego – chociaż to określenie jakby najmniej pasuje do tej postaci: subtelnej, delikatnej, ze swoim charakterystycznym błyskiem w oku i tajemniczym uśmiechem w kącikach ust. Imponowali mu twórcy japońscy z tą swoją powściągliwością, finezją, dokładnością i nieuchwytnym pięknem.

Był absolutnie artystą wyjątkowym, choć niebywale skromnym, sprawiającym wrażenie nieśmiałego, ale o otwartym sercu, z wielką wrażliwością i elegancją. Był z gatunku tych ludzi sztuki, kiedy widząc prace i ich twórcę trudno dać wiarę, że stworzył je ten człowiek. Dopiero kiedy zaczynał swoje opowieści, kiedy poznawało się jego filozofię twórczości, zainteresowania – tak różne i niespodziewane, kiedy nieraz odwiedziło się jego specyficznie, nieco przyciasną, ale stonkowo wysoką, wypełnioną po brzegi papierami pracownię, w której poruszał się bezszelestnie wśród prezentowanych odbitek grafik, makiet, ciągle funkcjonujących mechanizmów, które przed laty wykorzystywał w swojej pracy, stawał się prawdziwym sobą.

Niezłomność i wytrwałość cechowały go od chwili, kiedy powziął decyzję o swoich losach, o tym, że będzie studentem Akademii Sztuk Pięknych, że w osiągnięciu celu nie przeszkodzi mu nawet fakt, że często z rodzinnego Rybnika do Katowic dojeżdżał... na rowerze. Ale to tu spotkał swoich mistrzów, profe-

sorów Aleksandra Raka i Bogusława Góreckiego. Swoim bliskim oddał po latach swoisty hołd tworząc słynną grafikę na bazie rodzinnego, archiwalnego zdjęcia wykonanego przed Pracownią Obuwia Podług Miary, której właścicielem był Wincenty Szypuła – wuj Ferdynanda. Grafika ta została swego rodzaju znakiem rozpoznawczym Mistrza – połączyła to co dawne, Kochane, zapamiętane z doświadczeniem artysty, który stworzył dzieło pozwalające zachować nie tylko wspomnienie rodzinnego domu ale wpisać je w kontekst współczesności, w dzień codzienny Ferdynanda Szypuły. Bo on żył i tym co zostawił w Rybniku, i nowinkami technicznymi, ciekawością świata, dokonaniem innych artystów. Zawsze był w centrum tego, co ważne dla sztuki, dawał z siebie co miał najlepsze, co dziś stało się wielką, artystyczną spuścizną. Dziełem jego rąk i niezwykłego artystycznego temperamentu były nie tylko grafiki, ale i prezentacje wielkich wystaw grafiki, jak chociażby Biennale Plakatu Polskiego w katowickiej galerii BWA. Wystarczyło znaleźć się we wnętrzu, by poczuć styl i sposób aranżacji Ferdynanda Szypuły.

*

Jego gigantyczny dorobek prezentujący najwyższy artystyczny poziom zapewne będzie tematem niejednej rozprawy i niejednej wystawy. Szkoda, że nie zostanie już uzupełniony o kolejne dokonania.

Bezsprzeczne jest jednak to, że dzieło Ferdynanda Szypuły to prawdziwie wielki skarb, który powinien być ciągle obecny w przestrzeni Śląska, a jego dzieła powinny wreszcie zacząć funkcjonować w obszarze architektury miejskiej i stać się znakiem rozpoznawczym Katowic – miasta, w którym spędził całe swoje twórcze życie, współtworząc znaną i cenioną w świecie Śląską Szkołę Grafiki. Nie zamykajmy dzieł Mistrza we wnętrzach, bo jego galopujące konie potrzebują powietrza, ścian licznie powstających szklanych domów, a kosmiczne przestrzenie stworzone przez Mistrza Ferdynanda mogłyby z powodzeniem towarzyszyć centrom nauki, nowemu Planetarium czy innym naukowym, bądź uniwersyteckim obiektom. Nie trzeba daleko szukać – dzieła Mistrza nadają się do tych celów jak żadne inne.

„Księżniczka czardasza” à rebours

WIESŁAWA KONOPELSKA

Zapewne sporym zaskoczeniem dla przybyłych w przeddzień sylwestrowej nocy, 29 grudnia ubiegłego roku do Opery Śląskiej na premierę było przedstawienie „Księżniczki czardasza”, w kształcie scenicznym zaproponowanym przez zespół realizatorów najnowszego przedstawienia operetki Kalmana.

Już od pierwszych chwil widać było, że jedynym elementem łączącym ten spektakl z premierą *Księżniczki czardasza* z 1989 r. autorstwa Stefana Szlachtyczy (reżyseria, inscenizacja, projekt dekoracji, dialogi) na deskach bytomskiej sceny, był – nawiązujący do secesyjnych obrazów Gustava Klimta – plakat.

Zaciekawienie wzbudził zespół na czele z młodą reżyserką Pią Partum, mającą za sobą doświadczenie w pracy z Jerzym Jarockim, a zwłaszcza z Mariuszem Trelińskim w Teatrze Wielkim w Warszawie. W jakim stopniu specyficzny klimat spektakli teatralnych i operowych Trelińskiego zostanie przeniesiony do bytomskiej *Księżniczki czardasza* – było nie było do gatunku sztuki scenicznej, wobec którego dość konserwatywna grupa odbiorców ma sprzecyżowane oczekiwania. Jeśli czardasz to ognisty, popisowy, z werwą wykonany przez tancerzy baletu, jeśli kochanie to na zabój, jeśli intryga to zabawna, jeśli kostiumy to strojne, szeleszczące fałbanami, a jeśli sala balowa to zyrandole, aksamity, kanapy. Leje się szampan, intryga goni intrygę, chociaż czasem łaza kręci się w oku, a i tak wszystko dobrze się kończy.

Tymczasem spektakl Pii Partum nie przyniósł żadnego z tych elementów. Na oświetlonej ledowym, niebieskim światłem scenie rozstawiono sporo rzędów plastikowych przezroczystych krzeseł (fakt, światło zostawiało na tworzywie ładne odbicia i refleksy), pomiędzy którymi rozgrywały się poszczególne sceny widowiska. Skoro jednak zapowiedziane zostały projekcje – ten zabieg wydawał się jak najbardziej sensowny, bo wypełnione kadrami filmowymi tło miało być dominującym elementem niektórych scen. Narastało więc oczekiwanie na chwilę, w której pojawi się projekcja i jaką będzie pełniła rolę w spektaklu.

By przekazać wrażenia, należy podkreślić rolę choreografa – Henryka Konwińskiego, w którego nocie zawartej w programie podkreślono fakt, że realizował z reżyserem Januszem Nyczakiem premierę światową *Operetki Gombrowicza*. Oczywiście doświadczenie tego artysty w produkcji współczesnych dzieł operowych i baletowych m.in. Prokofiewa, Berlioz, Kilara, Pendereckiego i Miliana) jest imponujące, z tym większą uwagą śledzono to, co działo się tego wieczoru w Operze Śląskiej. I tu zaskoczenie: najciekawsze okazały się sceny zawarte w zrealizowanym przez Wojciecha Pusia filmie vi-

deo, który wypełniał – często dominował, ale przyciągał uwagę widzów. Na scenicznych deskach bowiem oglądaliśmy czardasza w wykonaniu... chórzystów. Ale jaki to był czardasz! Żeby odnieść się do tego wyczynu, należy koniecznie zaznaczyć, że bytomska *Księżniczka czardasza* był wytworem iście z Gombrowiczowskiej *Ferdydurke*, pastiszem, burleską, trochę karykaturą tego wszystkiego, co miłośnicy tej podkasanej muzy najchętniej oglądają.

Chciałoby się powiedzieć, jakie czasy, taka księżniczka, taki czardasz – nieudolnych tancerzy, potykających się o własne nogi, nie rozumiejących w ogóle tego, co przyszło im tańczyć. A szampan nie tylko łał się strugami, ale rozlewał wprost pod nogi tancerzy z wypadających tac z kieliszkami z rąk kelnerów. W końcu wszyscy tancerze – uczestnicy balu – polegli pokotem na podłodze. Taki taniec świętego Wita, jak chocholi taniec w *Weselu*. Nie ta epoka, nie ci uczestnicy balu, nie ta arystokracja, a jedynie co pozostało to sytuacyjne *qui pro quo*, obłuda i wielka miłość – choć „bez miłości świat nic nie wart”. Skoro wszystko takie poplątane i nie na miejscu, z przerysowanymi do granic absurdu postaciami księżnej Anhildy i księcia Leopolda Marii von Lippert-Weylersheim (szkoda tylko, że w głównie dialogowych, a nie śpiewanych partiach obsadzeni zostali Joanna Kściuczyk-Jędrusik i Bogdan Kurowski, którzy poza karykaturalnym wyglądem i śladowymi dialogami i drobnym motywem muzycznym nie mogli zaprezentować się publiczności, ale z drugiej strony – tak zostały napisane te role przez Kalmana, trudno...), to propozycja Partum, Pusia i Konwińskiego stała się pastiszem naszych międzywojennych czasów Ordonki, do której wyraźnie nawiązano, siermiężnych teatryków i kabaretów. Ale sceny filmowe zrealizowane przez Wojciecha Pusia zachwycały swą ambiwalencją – z jednej strony przerysowaniem, bo nadnaturalnej wielkości postaci dominowały nad tymi znajdującymi się właśnie na scenie, ale te filmowe trzymały – przynajmniej początkowo – pozory pochodzenia z wyższych sfer, ale niestety z efektem końcowym podobnym jak na scenie.

W premierowym przedstawieniu wystąpili Aleksandra Orłowska (Sylvia Varescu), Łukasz Gaj (Edwin), Maciej Komandera (Boni Kancsianu), Adam Zaremba (Feri von Kerekes, Stasi (Leokadia Duży). W zaskakującym swoim ciepłem i oryginalnością epizodzie z dziewczyną ze skrzypcami wystąpiła Agata Maśnica. Zestawiając dość ciekawą (właściwą operetkom) treść, popisując arie z tym co działo się na scenie – całą sferą wizualną i ruchową, realizatorzy wytworzyli sporą przepaść między tymi elementami przedstawienia. Ponadto wygłaszane z głębi sceny dialogi nie docierały do uszu widzów, co było irytujące w odbiorze spektaklu.

W sumie, akceptując przewrotną koncepcję anty-operetki, zabrakło spektaklowi dynamiki i nerwu, który porwałby publiczność. Nie stworzono też dobrych wa-

runków artystom, którzy musieli przeciskać się między gęsto poustawianymi krzesłami, spełniającymi bliżej nie określoną rolę, poza tym, że służyły potykaniu się kolejnych wykonawców. Dysponująca ostrą barwą soprano Orłowska w partii Sylvii Varescu nie wzbudzała ani sympatii ani współczucia, natomiast Łukasz Gaj nie zawsze potrafił sprostać głosowo wymagającym ariom.

Operetkowy eksperyment okazał się interesujący, ale z pewnością lepiej wypadł by ten zamysł, gdyby ta sama grupa realizatorów pokazała któreś z dzieł operowych, a nie szlagierową operetkę. Operetka bowiem to specyficzny gatunek, mający grono gorących wielbicieli kochających znane melodie, blichtr, przesadę, a nawet dość sztucznie wygłaszane przez śpiewaków dialogi. W operze dialogów w zasadzie nie ma, więc żeby i śpiewać i prowadzić konwersację potrzebne są specyficzne umiejętności, a tych u artystów bytomskiej sceny nie było.

Zauważyć jednak trzeba, że tego wieczoru orkiestrę Opery Śląskiej znakomicie poprowadził Rafał Kłoczek, który sprawował kierownictwo muzyczne nad spektaklem. I była to jasna, wielobarwna strona tego monochromatycznego (poza projekcją video) widowiska przepojonego czernią, granatem oraz papuzim strojem Księżnej i Księcia (uzupełnionym plastikowymi, wprost z pchłego targu przeciwsłonecznymi okularami, które pewnie miały jeszcze dobitniej podkreślić absurd sytuacji, której wszyscy byliśmy świadkami).

Tak skonstruowana *Księżniczka czardasza* chyba nie specjalnie spodobała się licznie przybyłej publiczności, bo po raz pierwszy od niepamiętnych premierowych przedstawień, nie było aplauzu zwieńczonego tradycyjnym standing ovation. Chyba nie takiej *Księżniczki*... się spodziewano. Ale może trzeba się przyczytać to tego, że nie tylko spektakl teatralny czy operowy mogą podlegać takim interpretacjom, bo w końcu operetka też dziełem scenicznym jest. A jak zostanie przyjęta, to tylko kwestia poszukania może jeszcze ciekawszych, bardziej przekonujących rozwiązań. Dla Pii Partum – reżyserki już utytułowanej – *Księżniczka czardasza* była debiutem operetkowym. I pokazała, że nie jest to gatunek, który polubiła. Zabrakło pomysłu na to, by zgodnie z założeniem powstała anty-operetka, ale do tego musiałoby być coś więcej. W przedstawieniu najlepsze okazały się barwne filmy video Wojciecha Pusia, które wnosiły świeże spojrzenie na tradycyjną operetkę, szkoda że nie były kontrapunktem dla akcji scenicznej lub komentarzem, ale tylko wzmocnieniem zamysłu. Na szczęście znakomicie zrealizowanego. Piękne zbliżenia i detale odrywały na chwilę od scenicznej szarości i bełładu. A księżniczka i tak spadła z konia...

Imre Kálmán: *Księżniczka czardasza*. Operetka w 3 aktach. Opera Śląska w Bytomiu, premiera odbyła się 29 grudnia 2017 r.



Elżbieta Firuzek (z domu Kozioł), przez wszystkich zwana Gosią, poznała osobiście wraz ze swoimi kolegami i koleżankami ze szkoły nr 1 w Skoczowie, Gustawa Morcinka. Był on chrzestnym ojcem jej najmłodszej siostry Barbary.

Wspomina pisarza, jako człowieka zawsze uśmiechniętego i dowcipnego. Lubił żartować, a dzieci biegające po lesie czasami „straszył” utopcami. Przestrzegał najmłodszych, by uważali, bo utopce mogą ich porwać. Moja rozmówczyni nie pamięta, czy autor *Łyska z pokładu Idy* kiedykolwiek opowiadał im swoje baśnie.

W pamięci Gosi Kozioł pisarz pozostał tym, który podwoził dzieci ze szkoły swoim żółtym samochodem osobowym marki wartburg. Jeździł bardzo ostrożnie i powoli, w kierunku Nierodzimia i Harbutowic. Towarzyszył mu zawsze pies, Karuś. Warto odnotować, że ówczesnie samochód osobowy posiadali w Skoczowie tylko: weterynarz, lekarz, dwóch taksówkarzy i autor *Listów spod morwy*. Największą frajdę Morcinek sprawiał najmłodszym, gdy zabierał ich po zajęciach w szkole do „Słonecznego Domu”, w którym zawsze na najmłodszych czekała jego siostra Tereska, w rękę trzymając miskę z przepyszными ciastkami. Należy dodać, że słodczyce były dwóch rodzajów: wafle przekładane masą, pokrojone w małe kosteczki oraz ciastka aniszowe, słodkie i okrągłe. Bez najmniejszego wahania można je nazwać najlepszymi słodczykami dzieciństwa. To swoisty smak najmłodszych lat. Gosia Kozioł podkreśliła, że w rodzinnym domu, w którym wychowywała się z pięciorgiem rodzeństwa, raczej się nie przelewało i na ciastka pieniędzy już nie starczało. Morcinek nie miał zastrzeżeń, by dzieci odwiedzały dom i zjadały się ciastkami. Dobrotliwie uśmiechał się. Liczył się ze zdaniem siostry, którą dopytywał o różne kwestie.

Do „Słonecznej Willi” przy ul. Leśnej, którą zarządzała Teresa Morcinek, wchodziło się przez werandę, duże okna były skierowane w kierunku północnym. W pokoju, w którym dzieci pałaszowały ciastka znajdował się bujany fotel i stół. To właśnie na tym stole siostra Morcinka ustawiała miskę z pysznymi ciastkami.

Krążąca opinia, że Gustaw Morcinek był sknerą i człowiekiem skąpym, oburzyła moją rozmówczynię. Z determinacją powtarzała podczas naszej rozmowy, że to nie mogła być prawda. Sama doświadczyła szczodrości pisarza, jego otwartości i chęci pomocy innym ludziom. Na dowód Gosia Kozioł przytacza dwie interesujące historie. Otóż, dzięki staraniom księdza Augustyna Pola, Jana Zabystrzana i pisarza zelektryfikowano całą dzisiejszą ul. Leśną, prąd doprowadzono do końca ulicy, czyli na odcinku ok. 2 km. Było to na dawnym osiedlu „Górny Bór”, na którym pod numerem 286 mieszkała moja rozmówczyni.

Inicjatywa zrodziła się na jednym z sobotnich spotkań, jakie co tydzień lub dwa tygodnie (niestety rozmówczyni nie pamięta dokładnie) urządzali sobie w pokoju na piętrze domu, w którym mieszka-

Wspomnienia Pani Elżbiety Gosi Firuzek o Gustawie Morcinku

Mówiło się: idziemy za las...

LUCYNA SADZIKOWSKA

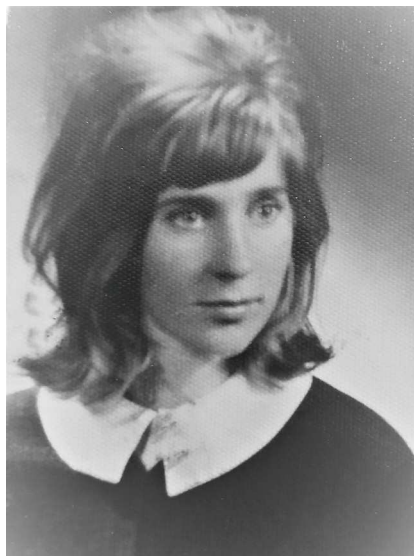
ła Firuzek jako dziecko, trzej wspomiani wyżej panowie. O czym dokładnie dyskutowali tego się już nie dowiemy. Efekt, jednego z takich spotkań, musiał być pomysł, by podjąć kroki w celu doprowadzenia prądu do ostatniego domu przy ul. Leśnej w kierunku Nierodzimia i Harbutowic (w domach na początku ulicy, czyli m.in. w „Słonecznej Willi” korzystano już z elektryczności). Interlokutor Morcinka – Jan Zabystrzan – znał kilka języków, wiele podróżował. Można wnioskować, że spotkania miały charakter intelektualnej podróży.

Bezinteresowną pomocą wykazał się Morcinek, kiedy malutki brat Gosi Kozioł, zachorował na koklusz. W skutek ataków kaszlu u sześciolatniego Andrzeja (zwanego do dziś Wieśkiem) nastąpił wylew. Spowodował on paraliż i przez pewien czas lekarze podejrzewali chorobę Heinego-Medina. Po dokładniejszych badaniach okazało się, że – aby chłopczyk mógł przeżyć – potrzebne są leki, które przyspieszą wchłonięcie się krwiaka. Stan był poważny, ponieważ wylew był tak wielki, że „wysadził” oko dziecka. Leków poszukiwano przez ogłoszenia w ra-

dio. Chłopczyka hospitalizowano w Chorzowie, zaś rodzice szóstkę pociech nie mogli pozwolić sobie na zakup bardzo drogich leków. Za potrzebne zastrzyki, by dziecko mogło wrócić do zdrowia, zapłacił Gustaw Morcinek. Wiesiek żyje do dziś. Jest ojcem i dziadkiem.

Wydaje się, że przytoczone fakty z życia Gosi Firuzek (z domu Kozioł), jej rodziny i pisarza nie wymagają komentarza. Podsumowując rozmowę, do której doszło w połowie stycznia 2018 roku, warto wspomnieć, że moja rozmówczyni o sprawie Stalinogrodu dowiedziała się bardzo późno, gdyż kwestia ta nie była nigdy przedmiotem ożywionej dyskusji. Nie mówiło się w jej domu o Stalinogrodzie i roli pisarza w zmianie nazwy Katowic.

W ocenie Gosi Kozioł pomnik (wykonany przez Gliwickie Przedsiębiorstwo Urządzeń Technicznych wg projektu prof. Jana Kucza z ASP w Warszawie) obok skoczowskiego kina przedstawiającego Gustawa Morcinka siedzącego w fotelu z książką trzymaną w rękach bardzo dokładnie odzwierciedla postać pisarza. Właśnie takiego zapamiętała Go moja rozmówczyni. ■



Elżbieta Firuzek, 1963 r.



Gustaw Morcinek, 1934 r.

Arcymodlitwa. Śląskie dzieje stu przekładów

JAN MALICKI

Najbardziej pociągające są takie dzieła, które przez swoją wielowymiarowość sprawiają kłopot wszystkim. Niby są niezwykłym fragmentem rzeczywistości, ale przy bliższym oglądzie zaskakują swoją niezwykłością estetyczną, uczuciową, uniwersalną. Swoją migotliwością i zmiennością. Z pewnością do takich tekstów należy *Oratio Dominica*, Modlitwa Pańska, którą niezwykle trudno sklasyfikować, jednoznacznie skodyfikować. Świadczą o tym niedawne spory, dyskusje, interpretacje i nadinterpretacje jednej z siedmiu jej fraz – czy wreszcie próba zaszkladkowania jej do jednej z wielu dziedzin człowieczego przeżywania.

Dla bardzo wielu ludzi jest ona codzienną, zwyczajną, niezrędko żarliwą rozmową człowieka z „Wieczną Myślą, która jest dalej niż od wieka”. Dla wielu jest tekstem na wskroś literackim, o niezwykle kunsztownej kompozycji, zasadzającej się na magicznej siódemce (siedem dni stworzenia świata, siedem grzechów głównych, siedem psalmów pokutnych), o niewyszukanym słownictwie, za to przebogatym sensie religijnym. Ale też jest inspiracją dla twórców, którzy od wieków, wydobywając poszczególne frazy, budowali własne, oryginalne, głębokie, a nierzadko dramatyczne sensory, jak w XVII stuleciu Wacław Potocki w poemacie *Siedm pieśni na siedm artykułów Modlitwy Pańskiej do Chrystusa Pana*:

Dobry Boże, ojcowskim nazywać tytułem?
Tyś ciało, tyś dał duszę, tyś do Nieba drogę
Pokazał; ja inszego Ojcem zwać nie mogę
(Niechaj kto chce na świecie ojców liczy wielu,
Tylko ciebie, o Boże, o mój Stwórcyeliu).
Nie chcę w Niebie, nie chcę się na ziemi kim inem
Cieszyć. Tylko mi też swym dopomóż być synem
Mocnym do polepszenia życia przedsięwzięciem,
Dopomóż, dobry Boże, stać ci się dziecięciem.
Jeśli cie Ojcem zową, przestawiając z Czartem,
Daremny pacierz. Kiedym u ciebie bękartem.
Niechże Krew Chrystusowa serce me przerobi
Niechaj ci mnie dziecięciem, Ojcze, przysposobi.

[W. Potocki: *Pieśń I do Boga Ojca. Ojciec nasz, któryś jest w Niebie*]¹

W owej parafrazie Modlitwy Pańskiej zaskakuje nie tylko forma rozmowy z Bogiem. To wiemy od lat; ale ciekawsze jest usytuowanie człowieka w przestrzeni między dobrem a złem, między Bogiem a Szatanem, wspomaganym przez innych wrogów, a więc przez Śmierć, kroczącą za nim i samo własne Ciało Pielgrzyma. To zresztą figury, które doskonale znamy z Listu św. Pawła do Efezjan, dzieł wielkiego Erazma z Rotterdamu i Albrechta Dürera. Wacław Potocki wczytywał się więc w Modlitwę Pańską w sposób niezwykle

głęboki, akcentując kondycję człowieka na ziemi, bez względu na to, czy jest on Pielgrzymem wędrującym po drogach i bezdrożach życia, czy Rycerzem chrześcijańskim w drodze *ad caelestem patriam*. Tworzył wielką parabolę o życiu, śmierci i zbawieniu człowieka. I nie był w tym jedyny.

Dla historyka *Oratio Dominica* jest nade wszystko dokumentem epoki wrastania chrześcijaństwa w świat słowiańskiej codzienności. Zapewne od czasów świętych Cyryla i Metodego, może wraz ze wspomnieniem o „księciu Wiślan silnym wielce”, z pewnością zaś od momentu chrztu, kojarzonego albo z datą 965 – jak zapisano w *Roczniku świętokrzyskim dawnym* – lub 966, gdy przypominamy niedawne obchody rocznicowe. Częściej jednak przywołujemy w kontekście rozważań o Modlitwie Pańskiej postać arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnki, pochodzącego zapewne z Dolnego Śląska, któremu zawdzięczamy nie tylko jej obecność w rytuale mszalnym, ale też konsekwentną przebudowę rodzimego *patrimonium* na kształt właśnie porządkowanego europejskiego uniwersum, zapoczątkowanego soborem powszechnym z 1215 roku. Ale to nade wszystkim nobilitacja języka rodzimego, *in vulgari*; z drugiej zaś – ostre sprzeciwy wobec zamiaru powrotu franciszkanów śląskich do innej prowincji, wyrażony w liście zaczynającym się od słów: „Aby Polska była Polską, nie Saksonią”. Wreszcie idea monarchiczna, dodajmy: skuteczna, skoro doprowadzona do koronacji Przemysła II i Wacława Czeskiego, a podbudowana historycznymi faktami, wzmacnianymi podaniami etnogenetycznymi, z czasem przekształconymi w narodową mitologię sarmacką.

Wreszcie historyk literatury przypomni najstarsze zapisy z 1375 roku czy pierwszy druk, jaki ukaże się dokładnie sto lat później we Wrocławiu. Zresztą śląskich śladów recepcji Modlitwy Pańskiej jest oczywiście znacznie więcej. Dla mnie jednym z ciekawszych jest anonimowy *Pacierz Ślązaków, który się nauczyli podczas oblężenia wojska pruskiego 1757* zakończony słowami:

Broń, Panie, takiej zwierzchności nad nami,
Jednostajnymi wołamy głosami nie wódz nas
na pokuszenie

Zgrom poganina, niechaj marnie zginie;
Niech go śmierć nagła, mój Boże, nie minie ale nas zbaw.
Gdy siły nasze słabe nie wystarczą,
Bądź nam ratunkiem, bądź nam
Panie, tarczą od złego.
A o to jeszcze prosimy, Ślązacy,
Niech idą z Śląska do piekła Prusacy.
Amen.

(Anonim, *Pacierz...*)²

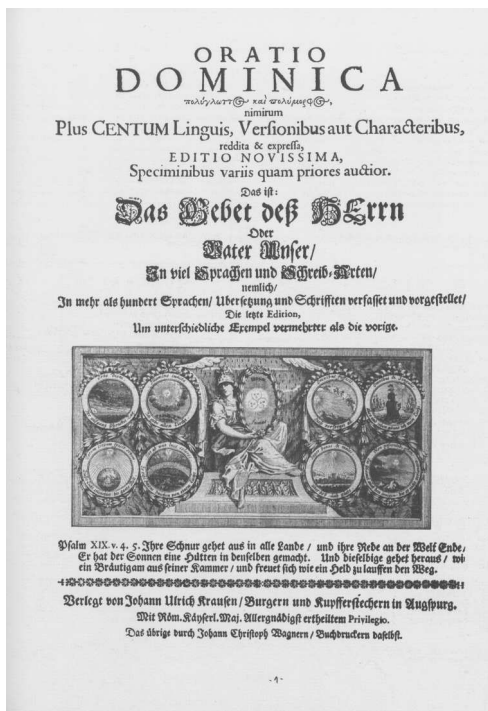
Trudno też pominąć wielu, bardzo wielu twórców nawiązujących do fraz Modlitwy Pańskiej; a wywodzących się ze Śląska, poczynając od znakomitego poety humanistycznego Jerzego Logusa z XVI stulecia, poprzez Wilhelma Raschke, o. Hugolina Langkammera, Jana Drozda, po..., no właśnie. Nie jestem w stanie jednak wymienić nazwisk wszystkich, dla których bezpośrednią inspiracją była Arcymodlitwa. Z tym większym szacunkiem należy odnieść się do monumentalnego przedsięwzięcia edytorskiego Jana A. Choroszego *Ojciec nasz – nasz* – zbierającego, dokumentującego i wyjaśniającego wciąż jeszcze nierozwiązane zagadki recepcji tej modlitwy.

Jednak w przepastnych zasobach bibliotecznych można odnaleźć też dzieła, które w inny jeszcze sposób dokumentują dzieje Modlitwy Pańskiej. Często stanowią swoiste cimetium wśród niegdyś popularnych, dziś już zapomnianych zbiorów. Jednym z nich jest niezwykle ciekawa edycja *Oratio Dominica*, opublikowana w 1705 roku w Augsburgu przez Johanna Ulricha Krausena i Johanna Christoph Wagnera. Złoży się na nią sto rozmaitych wersji językowych Arcymodlitwy. Sam pomysł nie jest oczywiście nowy, czyniono tak już od lat; by jedynie przypomnieć wydania z lat 1593,

1603, 1621, 1662. Zachowany w zbiorach Biblioteki Śląskiej przekaz był wzorowany jednak na innym wydaniu londyńskim z 1700 roku, zawierającym przekłady ze wszystkich narodów europejskich, wielu azjatyckich i afrykańskich, zaś w najmniejszej liczbie amerykańskich. O ile nie zaskakują przekłady na języki europejskie, o tyle zadziwiający jest zbiór azjatycki, obejmujący nie tylko Syrię, Persję, Turcję, Mongolię, ale też Chiny i Japonię. Wyraźnie więc został wyznaczony kierunek oddziaływań kultury chrześcijańskiej, szczególnie działań misyjnych. Bo też był on – przynajmniej dla czasów nowożytnych, zwłaszcza gdy ukazywał się setnik – bardzo ważny. Wciąż bowiem silne były tradycje oddziaływań wczesnego chrześcijaństwa w Armenii, w cesarstwie bizantyjskim czasów średniowiecza czy wielokrotnie powtarzane opowieści – mity o królestwie księżdz Jana. W nowszych czasach to kierunek wyznaczony przez misjonarzy wędrujących na Wschód do Chin, Indii, Japonii. Z ciekawszych śladów owych misyjnych peregrynacji przypomnieć warto zachowany w zbiorach Silesianki unikatowy druk *Exercitia spiritualia* (Ćwiczenia duchowne) Ignacego Loyoli, wydany w Japonii w 1596 roku. Prawdziwy biały kruk w skali całego świata (sic!)³.

Jednak przełom XVII i XVIII stulecia w dziejach poczynań misyjnych odegrał szczególną rolę, zwłaszcza w Kościele katolickim. Głównie zaś w Chinach, gdzie w 1693 roku cesarz chiński zezwolił swoim dostojnikom na konwersję. Jednakże zdawał sobie sprawę z niezręczności owej sytuacji – w ich bowiem rodzinach niezwykle silne były więzy i zwyczaje pogańskie, powszechnie bowiem akceptowano obchody ku czci Konfucjusza (479 rok przed Chrystusem). Spór o ryty w Kościele – a więc granice dopuszczalnych zwyczajów pogańskich w życiu religijnym chrześcijan – przybrał niezwykle ostrą formę, szczególnie na przełomie wieków, wręcz konfliktu między wyznawcami nowej religii na Wschodzie a misjonarzami, uznającymi takie postępowanie za zaboron. Spór ten zakończył się ogłoszeniem przez następcę Klemensa (przywołanego w *Ad Lectorem*) – papieża Benedykta XIV – bulli *Ex quo singulari* z 11 lipca 1742 roku, potępiającej łączenie obyczajów pogańskich i chrześcijańskich w krajach misyjnych.

Jednakże o wiele ważniejsze było kształtowanie postaw przyszłych misjonarzy i młodych ludzi z Chin oraz krajów bałkańskich. Taki był m.in. rodowód Istituto Universitario Orientale przy Piazza S. Domenico Maggiore w Neapolu, założony w kulminacyjnej fazie sporu o ryty w Kościele, a więc w 1732 roku przez Matteo Ripę, misjonarza i wielkiego erudyty, jako Collegio dei Cinesi. I tylko przypadek sprawił, iż współczesny kontynuator dawnych tradycji Uniwersytecki Instytut Orientalistyczny doskonale jest znany katowickim filologom nie tylko dzięki temu wybitnym badaczom dawnej kultury: prof. Jolancie Żurawskiej-Ci-



tarelli, prof. Aleksandrowi Wilkonowi, lecz nade wszystko dzięki prof. Nullo Minissiemu, doktorowi honoris causa naszego Uniwersytetu⁴.

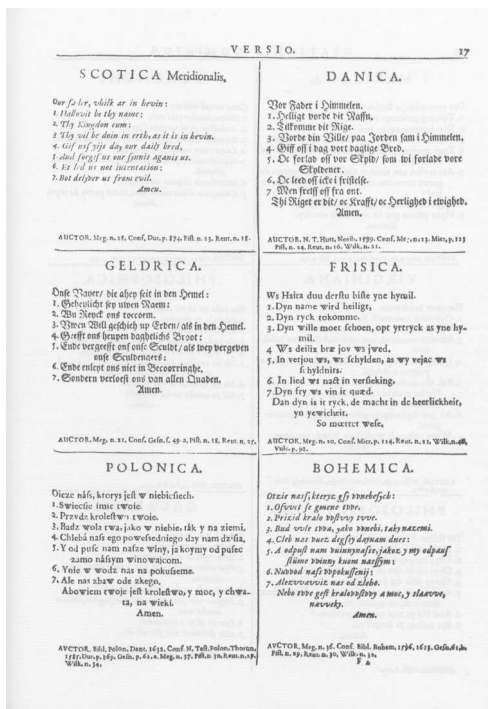
Jednak niezwykłość zachowanego w zbiorach Silesianki egzemplarza zasadza się jeszcze na czymś innym. Nie tylko bowiem konteksty historyczno-kulturowe decydują o ogromnej atrakcyjności dzieła. Zdecydowanie bardziej intrygujące są losy tego jednego, jedynego, za to naszego, egzemplarza. Ten, który znajduje się w zbiorach Biblioteki Śląskiej, pod tym względem jest wyjątkowy. Jego losy prześledziła i opisała dr Weronika Pawłowicz w bibliofilskiej edycji *Oratio Dominica*⁵.

Jak już wspomnieliśmy, książka ta ukazała się w Augsburgu w 1705 roku; wzorowana na edycji londyńskiej o pięć lat wcześniejszej. Nasz egzemplarz posiada też dwie noty wpisane zapewne ręką właścicieli; pierwsza, pochodząca z XVIII stulecia, być może.

Druga nota proveniencyjna wskazuje na konkretnego właściciela. Był nim prof. August Kahlert (1807–1864), który wpisu dokonał w roku swojej śmierci. Przypadek? Niezwykły to człowiek; przyjaciel Roberta Schumana i – zapewne – Feliksa Mendelssohna. Sam zreszta publikował w śląskiej prasie studia muzykologiczne, choćby o Fryderyku Chopinie (bodaj jako pierwszy), a także o wrocławskiej operze. Specjalizował się – a jakże – w literaturze śląskiej; szczególnie w twórczości Angelusa Silesiusa, Daniela Czepki⁶, ale też zapewne w dokonaniach literackich wielu innych twórców.

A kiedy książka ta trafiła do Biblioteki Śląskiej? To trudne pytanie; zapewne wcześniej wraz z księgozbiorem towarzystwa, do którego należał prof. Kahlert. Stamtąd do Oberschlesische Landesbibliothek w Raciborzu, potem do Bytomia, do Oberschlesische Landesbücherei, zaś w 1939 roku, kiedy połączono ksiąźnice katowicką z bytomską, trafiła do nas.

Do jednej, nobliwej, bo już 96-letniej, ksiąźnicy, bogatej w cenne unikaty, a przez to ważnej, bo zaliczanej do narodowego zasobu bibliotecznego, elitarnego klubu ośmiu najważniejszych bibliotek w Polsce.



¹ *Ojciec nasz – nasz. Przekłady, parafrazy i inne literackie opracowania Modlitwy Pańskiej*, zebrał i oprac. J. A. Choroszcy, Wrocław 2008, t. 1, s. 355.

² Op. cit., t. 2, s. 95.

³ W. Pawłowicz: *Biały kruk w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Exercitia spiritualia Ignacego Loyoli*, „Książnica Śląska” 2016, t. 29, s. 11–27.

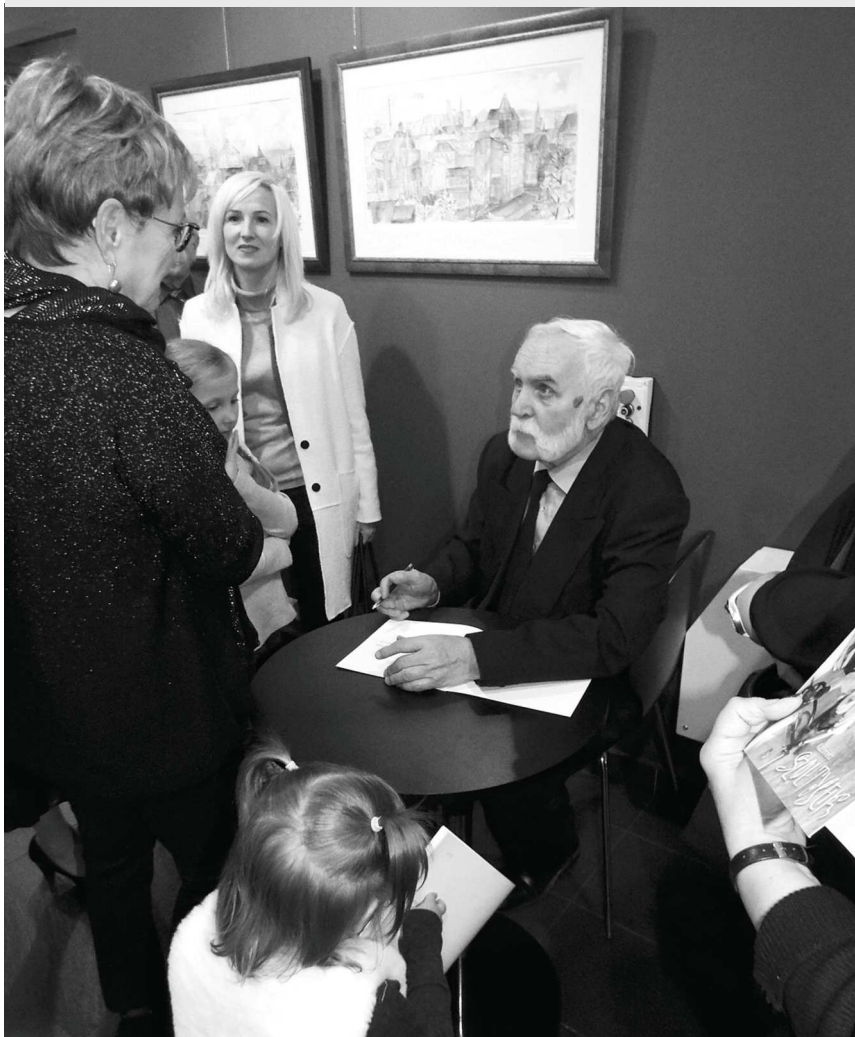
⁴ J. Malicki: *Jeszcze nowsze podróże Guliwera. Asocjacje kulturowe*, Katowice 2016, s. 179. Por. też J. Malicki: *Neapolitańska polonistyka*, „Gazeta Uniwersytecka US”, nr 8 (8), maj 1993; H. Wach-Malicka: *Polska oczami... językoznawcy*, „Dziennik Zachodni”, nr 122 (z dn. 26.06.1991), s. 5.

⁵ *Oratio Dominica. Wielojęzyczna edycja Modlitwy Pańskiej ze zbiorów Biblioteki Śląskiej*, red. J. Malicki, W. Pawłowicz, Katowice 2016.

⁶ W. Pawłowicz: *Wprowadzenie* [w:] *Oratio Dominica...*, s. 8.



Benefis Kazimierza Szołtyśka



Kazimierz Szołtysek daje swój autograf na otwarciu wystawy

50 lat na straży pamięci

TOMASZ BIENEK

W ostatnich miesiącach w Galerii Muzeum Miejskiego w Zabrzu miała miejsce wystawa prac Kazimierza Szołtyśka. Ekspozycja dzieł artysty odbyła się pod tytułem „Strażnik pamięci. Kazimierz Szołtysek 50-lecie pracy twórczej”. Podczas wernisażu wystawy, artyście towarzyszyli liczni przedstawiciele instytucji kultury i władz samorządowych, a od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, za zasługi dla polskiej kultury Kazimierz Szołtysek otrzymał medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, najwyższe odznaczenie państwowe przyznawane twórcom.

Kazimierz Szołtysek to malarz, grafik, twórca exlibrisów. Inspiracją dla prac artysty jest miasto Zabrze i Górną Śląsk, który jak sam mówi, jest jego małą ojczyzną.

– Charakterystyczne dla tego artysty jest to, że ślad artystyczny, który pozostawia po sobie Kazimierz Szołtysek jest trwały – ocenia Janusz Jankowski, prezes Związku Polskich Artystów Plastyków. – Myślę, że artysta ten należy do grona twórców, którzy mogą mieć nadzieję i liczyć na to, że będą wzruszali nie tylko teraz, ale i za wiele lat.

Kazimierz Szołtysek urodził się w 1939 roku w Zabrzu-Kończycach. Pracował jako spawacz, jednak fascynował go świat sztuki, i jak sam przyznaje pod wpływem starszego brata zaczął rozwijać w sobie talent plastyczny. Potem zdał egzaminy i ukończył studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na wydziale malarstwa i grafiki w Katowicach. Przez pewien

czas zasiadał na stanowisku miejskiego plastyka w Zabrzu. Właśnie to miasto i jego architektura jest przewodnim tematem prac śląskiego artysty. Krytycy twórczości Kazimierza Szołtyśka zwracają uwagę, iż był on jednym z pierwszych plastyków, ukazującym specyficzne piękno zabrzańskie architektury. Tematyką prac artysty są industrialne pejzaże, budynki zakładów przemysłowych, tereny kopalń czy obiekty infrastruktury kolejowej. Na pojedynczych obrazach uwiecznia on zabrzańskie wieże ciśnień, charakterystyczne kamienice czy budynki publiczne lub wieże kopalnianych szybów. Jednocześnie artysta stał się przez lata wielkim popularyzatorem piękna zabrzańskie architektury jak i samego miasta, a jego prace eksponowane są w Niemczech, Izraelu czy Stanach Zjednoczonych.

– Kazimierz Szołtysek to nie tylko artysta o wybitnej osobowości – mówi Małgorzata Mańka-Szulik, prezydent Zabrze. – To także uważny i wnikliwy obserwator, to sól tej ziemi, znawca i prawdziwy miłośnik historii Śląska, człowiek, który na trwałe wpisał się w pejzaż kultury nie tylko miasta, ale i regionu. To wzór Ślązaka – człowiek pracowity, rzetelny i wierny; wierny swojej śp. żonie, której tę jubileuszową wystawę poświęcił, wierny rodzinie, naszemu miastu i regionowi. Nie waham się go nazwać depozytariuszem śląskich wartości.

Samorządowcy oraz krytycy podkreślają, iż Zabrze zawdzięcza mu wiele, m. in. wizerunek miasta utrwalony w grafikach rozsianych po całym świecie, atmosferę sprzyjającą twórczej aktywności i ogromny wpływ na postawę młodych artystów kształcących się w zabrzańskim plastyku. Sam artysta akcentuje wielką rolę swojej żony, która była dla niego ogromnym wsparciem, inspirując i motywując w pracy twórczej.

Prace Kazimierza Szołtyśka powstają w klasycznych technikach metalowych (miedzioryt, mezzotinta, suchoryt, akwaforta), przy czym twórca często łączy te techniki lub je wzbogaca. Artysta jest laureatem wielu prestiżowych nagród krajowych i zagranicznych, uczestnikiem kilkudziesięciu wielkich wystaw. Plastyk jest też promotorem śląskiej tradycji, autorem serii grafik Górnoślązacy, w której połączył znane postaci regionu z odpowiadającymi im pejzażami.

– Obcowanie z grafiką Kazimierza Szołtyśka to jakby wyprawa w czas dawny, odnajdywanie smaku i urody zapomnianych sztuk sztucharskich – recenzuje Jadwiga Pawlas-Kos, kurator wystawy. – Artysta nie włączył się nigdy w nurt awangardowych poszukiwań współczesnej grafiki; pozostając na ich uboczu preferuje rzetelne wartości tradycyjnego warsztatu. Twórczość artysty uwikłana jest w pamięć, w przeszłość i czas, nasycona ładunkiem pierwiastka osobistego, autobiograficznego. Jest to sztuka o świecie sobie najbliższym, o mieście, które jest jego miejscem na ziemi, a zarazem o tym, co tworzy odrębność śląskości w sferze wartości.

Szołtysek w swoich dziełach pokazuje Zabrze w rozmaitych ujęciach. Są to widoki ogólne, w charakterystycznych pano-



ramach, większe zespoły architektoniczne, perspektywy uliczne czy pojedyncze obiekty. Wybór motywów nie jest przypadkowy, artysta najchętniej portretuje miejsca i budynki znaczące i charakterystyczne dla Zabrze, te, które tworzą jego atmosferę i stanowią pewnego rodzaju znaki rozpoznawcze miasta. Są wśród nich obiekty okazałej i reprezentacyjnej architektury miejskiego centrum, jak Hotel „Admiralspalast”, dawne kasyno huty „Donnersmarck” (obecnie siedziba Teatru) czy neobarokowy gmach szpitala miejskiego. W twórczości artysty odnaleźć można też obiekty zabrzańskiej architektury modernistycznej: budynki municypalne, szkoły, kompleksy mieszkalne, oraz budowle sakralne. Artystę fascynują zabrzańskie wieże, które często pojawiają się w jego kompozycjach lub na oddzielnych obrazach.

Tematem obrazów Szoltyska są też obiekty związane z przestrzenią produkcyjną miasta, wizerunki znaczących przemysłowych zespołów; kopalnie, huty, koksownie.

– Potężne bryły przemysłowych koksownic – budynków, rur, kratownic – w interpretacji wrażliwego grafika zamieniają się czasem w misterne, ażurowe, wypiętrzone konstrukcje; pajęczka kreska rysunku odbiera im całą materialność i integralność w rzeczywistości – dodaje Jadwiga Pawlas-Kos.

Obchodzący 50-lecie pracy twórczej artysta jest też autorem wielu exlibrisów. Jeden z nich wykonał dla papieża Jana Pawła II, inny dla pianisty Krystiana Zimmermana. Gdy urodzony w 1931 roku pisarz Janosch (czyli Horst Eckert), także podkreślający swoje związki z Górnym Śląskiem zarówno w twórczości jak i życiu prywatnym, otrzymał honorowe obywatelstwo Zabrze (w roku 2011), a w mieście obchodzony był Rok Janoscha, Kazimierz Szoltyszek uhonorował autora m.in. książki „Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny”, podarunkiem w formie exlibrisu. Uwiecznił pisarza na tle zabudowań przy ul. Piekarskiej w dzielnicy Zabrze; Zaborzu. W stojącym przy niej familoku urodził się Janosch. Budynek ten obecnie już nie istnieje.

– Pomimo tego, że Kazimierz Szoltyszek zasłynął przede wszystkim jako autor grafik i exlibrisów, jest on także twórcą akwael – mówi Dorota Kuder, kierownik Działu Dokumentacji, Oświaty i Promocji Muzeum Miejskiego w Zabrze. – Fakt ten zaskakuje wiele osób, które pobieżnie znają twórczość artysty. Wystawa popularyzuje więc ten mniej znany obszar działalności twórczej pana Kazimierza.

W akwaelach autor także demonstruje uroki zabrzańskiej architektury, często za pomocą efektownych, stylizowanych panoram. Skupia przy tym najciekawsze zabytkowe obiekty, horyzontalnie uszeregowane, co nadaje kompozycji równowagę i spokój.

Istotny jest kreatywny wkład Kazimierza Szoltyska w wizerunek zabrzańskich firm i instytucji w postaci znaków graficznych. Jest on m.in. autorem logo Filharmonii Zabrzeńskiej.



Podczas otwarcia wystawy „Strażnik pamięci. Kazimierz Szoltyszek 50-lecie pracy twórczej” artysta złożył życzenia i gratulacje m.in. Jan Pawluch, zastępca prezydenta Zabrze (z prawej).



Często pojawiającym się w twórczości Szoltyska motywem są zabytkowe wieże z terenu Zabrze.



Dorota Kuder, kierownik Działu Dokumentacji, Oświaty i Promocji Muzeum Miejskiego w Zabrze przy jednej z akwael artysty.

B

Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA BIBLIOTEK

Fot. Wojciech Surawiecki



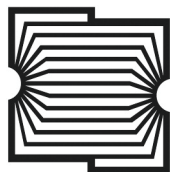
Jubileusz 90-lecia MBP w Sosnowcu

Jubileusz Biblioteki w Sosnowcu

90 lat na poziomie

Wieczór galowy

W mglisty, listopadowy wieczór 2017 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu obchodziła swoje 90. urodziny. Jak przystało na nestorkę sosnowieckiej kultury, świętowała w gronie swoich wiernych czytelników, przyjaciół i partnerów. Gospodyni wieczoru – Elwira Kabat-Georgijewa, dyrektor Biblioteki – z wielką przyjemnością wręczyła statuetki „partnera na poziomie”. Wyróżnienia otrzymali



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

wieloletni współpracownicy Biblioteki, reprezentujący środowiska nauki, kultury, biznesu i władz samorządowych miasta. Dyplomem i tradycyjną książką uhonorowano najaktywniejszych czytelników. Bohaterami wieczoru byli jednak wyróżniający się bibliotekarze,

którym przyznano odznaczenia państwowe, odznaki honorowe oraz dyplomy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ponadto prof. Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej, wręczył prestiżową Nagrodę Śląskiego Środowiska Bibliotekarskiego im. Józefa Lompy. Otrzymała ją Sylwia Szarwark, na co dzień pracująca w Filii nr 15 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu. Całości wieczoru dopełnił koncert orkiestry Zespołu Szkół Muzycznych im. Jana Kiepury w Sosnowcu pod batutą Macieja Piątka-Czarneckiego. A na finał – kieliszek szampana i degustacja urodzinowego tortu! Wszyscy goście otrzymali pamiątkowy kalendarz, powstały dzięki pomysłowości i zaangażowaniu zespołu bibliotekarzy, których wizerunki, wystylizowane na znane książkowe postacie, zdobią kolejne miesiące kalendarza.

Spojrzenie w przeszłość

Początki Biblioteki sięgają historii Sosnowca z przełomu wieków, już w 1899 r. funkcjonowała na terenie miasta Wypożyczalnia Książek „Wie-

cza” – pierwsza sosnowiecka księgownia o charakterze powszechnym. Rozwijające się dynamicznie miasto nie dysponowało jednak po odzyskaniu przez kraj niepodległości biblioteką, która pod względem zasobności i poziomu księgozbioru mogłaby zaspokoić zarówno zapotrzebowanie czytelników, jak i sprostać rozbudzoną aspiracją intelektualnym sosnowiczom. Rada Miejska, na wniosek prezydenta Aleksandra Bienia, podjęła 25 listopada 1927 r. uchwałę o powołaniu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Danilowskiego. Księgownia z chwilą wybuchu II wojny światowej posiadała księgozbiór liczący 10 tys. woluminów. W latach okupacji hitlerowskiej zbiory uległy prawie całkowitemu zniszczeniu i rozproszaniu. 3 maja 1946 r. Biblioteka wznowiła swą działalność z księgozbiorem liczącym zaledwie 750 woluminów, książek ocalałych dzięki ofiarności czytelników. Ponad 70 lat powojennej historii obfitowało w ważne dla jej funkcjonowania wydarzenia, zwłaszcza dotyczące powstania Biblioteki Głównej oraz sieci oddziałów i placówek filialnych w poszczególnych dzielnicach miasta. Obecny kształt Biblioteki, jej sukcesy i udane przedsięwzięcia to zasługa kolejnych dyrektorów: Hanny Kram, Elżbiety Solipiwo, Mieczysławy Szulc i Elwiry Kabat-Georgijewej, których pasja i zaangażowanie doprowadziły do stworzenia niezwykle cenionej instytucji upowszechniania kultury.

Książki nigdy nie bywają w złym humorze

Dzisiejsza Biblioteka to 21 nowoczesnych, przytulnych placówek, usytuowanych nawet w najodleglejszych zakątkach miasta; bogaty, różnorodny i aktualny księgozbiór, liczący ponad 800 tys. książek, 217 tytułów prasy oraz przeszło 12 tys. zbiorów specjalnych. To ponad 35 tys. wymagających, życzliwych czytelników, którzy są nie tylko odbiorcami, wartymi naszej uwagi, ale i partnerami naszych działań. W 2016 r. Bibliotekę odwiedziło niemal 500 tys. gości, którzy wypożyczyli 700 tys. książek, czasopism i zbiorów specjalnych oraz uczestniczyli w 5 tys. imprez. Księgownia adresuje swą ofertę do wszystkich grup wiekowych, począwszy od najmłodszych, poprzez młodzież, na dorosłych i seniorach skończywszy. Szczególną troską otacza czytelników niewidomych, niedowidzących, proponując obszerny zbiór kaset z nagraniami literatury pięknej i popularnonaukowej, płyty analogowe i kompaktowe. Czytelnicy mają do dyspozycji szeroką gamę literatury pięknej i obcojęzycznej, lektury szkolne, książki naukowe i popularnonaukowe. W 2013 r. zakończono komputeryzację procesów bibliotecznych, umożliwiając dostęp do e-katalogu i elektroniczne zamawianie zbiorów, co w znaczący spo-



Kalendarz jubileuszowy – kwiecień

sób przyczyniło się do poprawy jakości świadczonych usług. Wszystkie placówki wyposażone są w nowoczesne komputery, rzutniki i tablice multimedialne, umożliwiające bezpłatne korzystanie z Internetu. Biblioteka pełni ważną funkcję kulturotwórczą, będąc organizatorem różnorodnych przedsięwzięć o charakterze kulturalnym i edukacyjnym. Najważniejsze projekty to: Sosnowieckie Dni Literatury, Narodowe Czytanie, Sosnowiecka Jesień Teatralna, Kino w Bibliotece, Dyskusyjny Klub Książki oraz Lato z Biblioteką. Coraz częściej Biblioteka wychodzi poza swoje mury, promując literaturę w plenerze podczas festynów, happeningów czy też Poetyckich Hyde Parków w centrum miasta.

Żaden człowiek nie jest samotną wyspą

Sosnowieccy bibliotekarze to profesjonaliści, starannie wykształceni, którzy nieprzypadkowo trafiają do zawo-

du. 45% załogi to pracownicy z ponad 20-letnim stażem pracy, którzy nie spoczywają jednak na laurach, wciąż podnoszą swoje kwalifikacje, uczestnicząc w szkoleniach i seminariach. Chętnie dzielą się swoim doświadczeniem i wiedzą ze współpracownikami, ale i z ciekawością wdrażają nowe techno-

logie. Otaczają się młodymi, którzy wnoszą kreatywny zamęt i świeże spojrzenie na zadania stojące przed współczesną biblioteką. Doskonale przygotowani, z powodzeniem pozyskują granty na nowe projekty, umożliwiające poszerzenie oferty kulturalnej. To ludzie z poczuciem humoru, pasjonaci, artystyczne dusze o szerokich horyzontach. Na co dzień oddani pracy, a w czasie wolnym dzielni zdobywcy Korony Gór Polskich, blogerzy kulinarni, artyści ekspozujący swoje prace, literaci wydający książki, fotograficy amatorzy i wolontariusze działający na rzecz chorych i najmłodszych.

Jeśli potrafisz o czymś marzyć, to potrafisz także tego dokonać

Już w połowie 2018 r. czeka nas wielkie wydarzenie – otwarcie nowoczesnej Zagłębiowskiej Mediateki. Wielofunkcyjna biblioteka z pięknymi, przestronnymi wnętrzami: wypożyczalnią (tradycyjna, multimedialna, obcojęzyczna), czytelnią naukową i regionalną, interdyscyplinarną aulą (kino,



koncerty, wykłady), oranżerią kulturalną, strefą młodego czytelnika i kawiarnią. Niespodzianką będą nowe usługi proponowane przez Bibliotekę: drugi w Polsce książkomat, wrzutnia na oddawane zbiory i zupełnie wyjątkowa wirtualna książka, czyli zewnętrzne ekrany ledowe, na których będą prezentowane ogólnodostępne wydarzenia, relacje i komunikaty. Jesteśmy pewni, że będzie to wyjątkowe miejsce, prawdziwe serce zagłębiowskiej kultury.

ANETA WCISŁO
Kierownik Działu
Instruktażu i Promocji
Miejska Biblioteka Publiczna
w Sosnowcu



Wizualizacja Zagłębiowskiej Mediateki

Cywilizacja cyfrowa XXI wieku.

*Krytyka rozumu cyfrowego, Batożyca,
Myślący obłok, Zero harmoniczne?*

TADEUSZ SIERNY

Poza wąskim kręgiem przyjaciół – rzadko jest akceptowany. Apodyktyczny i zasadniczy w sprawach naukowych, erudyta czytany w starożytnej i nowożytnej literaturze filozoficznej oraz pracach współczesnych filozofów zachodnioeuropejskich, nad wyraz pracowity i płodny w swej twórczości, wytrawny polemista i trudny do akceptacji adwersarz, oryginalny metodologicznie, potrafi także być – co nieco zaskakujące, u tego klasycznego profesora uniwersyteckiego – duszą towarzystwa, bawiąc siebie i innych dykteryjkami lub anegdotami, szarmancki wobec pań, uprzejmy i taktowny.

Nie chce być nazywanym filozofem, woli mówić o sobie jako o myślicielu, dodając często – katowickim, śląskim, polskim. W 1975 roku prof. Janusz Sztumski i prof. Czesław Głombik namówili ówczesnego doc. dr hab. Józefa Mariana Bańkę – bo o nim tu mowa, wówczas jeszcze pracownika dydaktycznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – do przeniesienia się do pracy na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Poza ks. prof. Konstantym Michalskim urodzonym w Dąbrowce Małej profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, Śląsk nie ma bogatej tradycji filozoficznej. Dopiero w latach 70. XX wieku na Uniwersytecie Śląskim pojawiła się grupa naukowców reprezentowana m.in. przez takie postacie, jak: prof. Czesław Głombik – znakomity historyk filozofii, prof. Kazimierz Ślęczka – filozof społeczny – trwałe zajmująca się naukową refleksją filozoficzną. Wśród nich jest także **prof. zw. dr hab. Józef Bańka**, ob-

darzony w 2015 roku przez Senat tytułem profesora honorowego Uniwersyte-
tu Śląskiego.

Pochodzi z północnych krańców Małopolski, urodził się przed ponad 84 laty w gminie Mieszków (dziś: sołectwo w gminie Słaboszów, w powiecie miechowskim). Pomimo traumy wojennych przeżyć wywędrował z małej rodzinnej wsi do Lublina, gdzie w 1962 roku ukończył studia filozoficzne w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej, będąc wówczas słuchaczem wykładów księży profesorów m.in.: M. Krąpca, S. Swieżawskiego, K. Kamińskiego, K. Wojtyły. W trzy lata po ukończeniu studiów broni doktorat, a po następnych czterech finalizuje procedurę habilitacyjną. Ma wówczas zaledwie 35 lat.

Po 14 latach praktykowania dydaktyki w poznańskim Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza ten naukowiec wykształcony przez najbardziej idealistyczne i religijne środowisko akademickie KUL-u przenosi się do materialistycznego, realistycznego i politologicznego uniwersytetu w Katowicach. Tu zostaje dyrektorem zbudowanego przez siebie Instytutu Filozofii na WNS UŚ. Mimo dominującej wówczas metodologii marksistowskiej znajduje dogodną dla siebie, odmienną formułę metodologiczną i teoretyczną zajmując się – także jeszcze w Poznaniu – humanistyczną ergonomią (dyscypliną naukową badającą dostosowanie pracy do możliwości psychofizycznych człowieka) i filozofią techniki. Budując pojęcie eutyfoniki (czyli nauki o ochronie podstawowych wartości ludzkich przed skutkami rozwoju cywilizacji

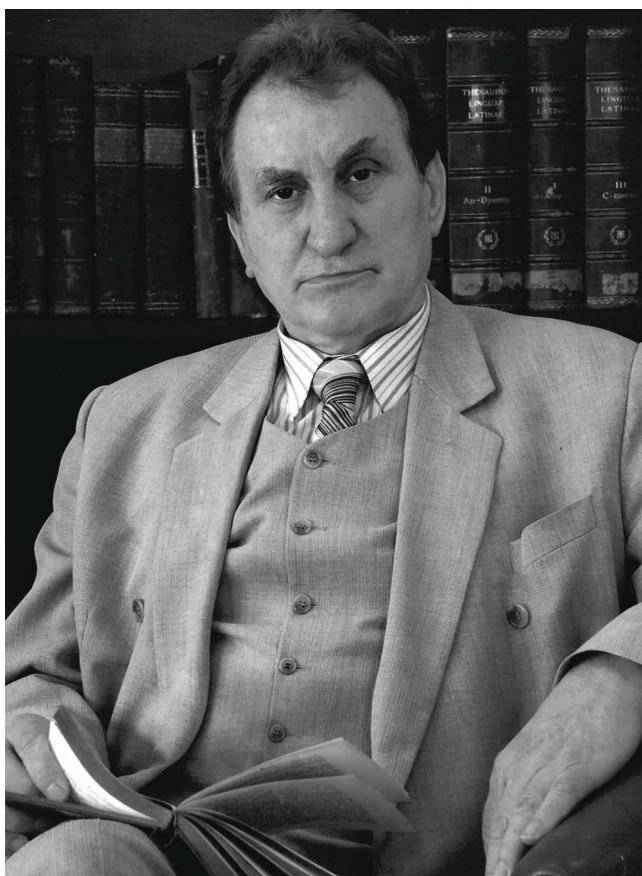
technicznej) jako syntezy (*eu*) serca, czynnika uczuciowo wolicjonalnego (*thymos*) i rozumu, wiedzy (*phronesis*) – nazywanej *etyką prostomyślności*. Jest to postawa na wskroś humanistyczna, filozof nie odwraca się od dominujących wówczas trendów badań cywilizacyjnych, polemizuje z modną katastrofalną wizją końca ludzkiej cywilizacji. Filozofia techniki staje się wiodącą tematyką wielu jego prac, ukoronowaniem tego etapu badań jest publikacja w 1980 roku monografii pt.: *Filozofia techniki. Człowiek wobec odkrycia naukowego i technicznego* (Wydawnictwo Śląsk 1980).

Od 1983 roku, po opublikowaniu fundamentalnego dzieła pt. *Ja teraz. U źródeł filozofii człowieka współczesnego* (Wydawnictwo Śląsk 1983) rozpoczyna żmudną i długotrwałą pracę nad stworzeniem jedyne go jak dotychczas w Polsce, kompletnego, nowożytnego, dwudziestowiecznego, systemu filozoficznego – zawierającego w sobie wszystkie podstawowe działy filozofii: ontologię, epistemologię, etykę i estetykę – zwanego recentytywizmem (*recens*: teraz). Kategoria *recentytywizm* oznacza w największym uproszczeniu pogląd, że wszystko to, co poddaje się odpowiedzialnej za słowo analizie – dzieje się oraz jest wyłącznie tu i teraz (*hic et nunc*) i tylko takiemu opisowi zdarzenia, faktu przysługuje atrybut, cecha prawdy. Wszystko bowiem co pojawia się w naszym życiu – uczucie, doświadczenie, jakiegokolwiek zdarzenie – zawsze pojawia się po raz pierwszy. Nie istnieje prosta powtarzalność zdarzeń, każda bowiem chwila jest „po raz pierwszy” i zawsze jest inna. Oczywiście można dokonywać opisu otaczającego nas świata w czasie przeszłym (fabuły opisujące wspólne minione, doświadczenia relacjonowane przez wielu ludzi są równorzędne, ale żadna z nich nie posiada atrybutu prawdziwości) lub w czasie przyszłym (nie można jednak cokolwiek prawdziwie orzec o przyszłości), prawdziwe są więc wyłącznie te twierdzenia dotyczące teraźniejszości, te które orzekamy o aktualnym bycie (zdarzeniu, fakcie, stanie itd.). Swe recentytywistyczne idee autor rozwija do 2013 roku m.in. w takich znakomitych dziełach jak: *Ojciec nasz, któryś jest teraz* (2001) lub w pracy pt.: *Hodiegetyka: o codzienności, która jest sztuką ograniczania świata przez nadanie mu ludzkiej miary* (Wydawnictwo Naukowe Śląsk 2013). (łac.: *hodie*: dziś).

Zagadnieniom ontologicznym, epistemologicznym, etycznym i estetycznym zawsze towarzyszy szeroko erudycyjnie udokumentowana refleksja antropologiczna. Autora interesuje ontologiczny, horyzontalny opis człowieczej cywilizacji, postrzeganej w jej różnorodnych formach i historycznych przejawach. W obszernych trzech to-

mach poświęconych *Filozofii cywilizacji* opublikowanych w latach 1986 do 1991, będąc wiernym wypracowanej przez siebie metodologii opisuje: *Cywilizację diatymiczną, czyli świat jako strach i lęk* (T. I.: Wyd. Śląsk 1986), *Cywilizację diafroniczną czyli świat jako praca i zysk* (T. II.: Wyd. Śląsk 1987) i *Cywilizację eutyfroniczną, czyli świat jako rozum i godność* (T. III.: Wyd. Śląsk 1991).

Te prace, szczególnie przywołany wyżej trzeci tom naukowej trylogii są zapowiedzią nowej fundamentalnej dla przyszłych pokoleń refleksji filozoficznej katowickiego myśliciela zawartej w opublikowanej w 2014 roku (Wydawnictwo Naukowe Śląsk) kolejnej monumentalnej monografii zatytułowanej: *Krytyka rozumu cyfrowego. Recentywizm i wielka metamorfoza XXI wieku*. Rdzeń systemu filozoficznego Józefa Bańki określają: *recentywizm, eutyfronika i etyka prostomyślności*, która postuluje potrzebę dowartościowania rozumu cyfrowego (sfera *phronesis*) o dołączenie do niego czynnika emocjonalnego (sfery *thymos*). Józef Bańka jest bowiem humanistą, myślicielem pochłoniętym wizją idei humanistycznej filozofii cywilizacji technicznej, a dziś humanistycznej cywilizacji cyfrowej, wirtualnej. Model przyszłej humanistyki nieuchronnie cyfrowej, w koncepcji etyki prostomyślności i eutyfroniki postuluje wzbogacenie powszechnej dziś świadomości technicznej i rzeczywistości wirtualnej o sferę intuicyjną, umożliwiającą dokonywanie wyborów wykraczających poza warstwę cyfrowych informacji, konstytuującą podstawy humanistycznej tożsamości człowieka. Inaczej mówiąc budując model „*pianthropus digitalis*” – „człowieka o cyfrowych dłoniach” obdarzonego tylko zdolnością odbierania informacji i to wyłącznie w postaci cyfrowej, wyposażonego w „rozum cyfrowy pozytywny”, a więc taki, który odnosi się do zdarzeń i wypowiedzi zaistniałych w czasie teraźniejszym, „rozum cyfrowy negatywny” – odnoszący się do zdarzeń zaistniałych w czasie przeszłym lub przyszłym i „rozum cyfrowy wirtualny” dla wypowiedzi zaistniałych bez użycia okolicznika czasu: teraz, przedtem, potem – autor *Krytyki rozumu cyfrowego* formułuje głęboko humanistyczną przestrożę dla człowieka wielopojawieniowego (ludzkości) przed nieuchronnie postępującymi przemianami jakie dokonują się we współczesnym świecie, w psychice człowieka



Prof. zw. dr hab. Józef Bańka

pod wpływem owej totalnej cyfryzacji jego życia.

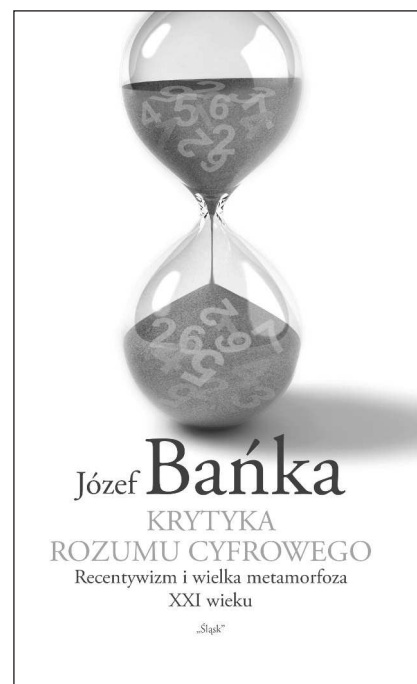
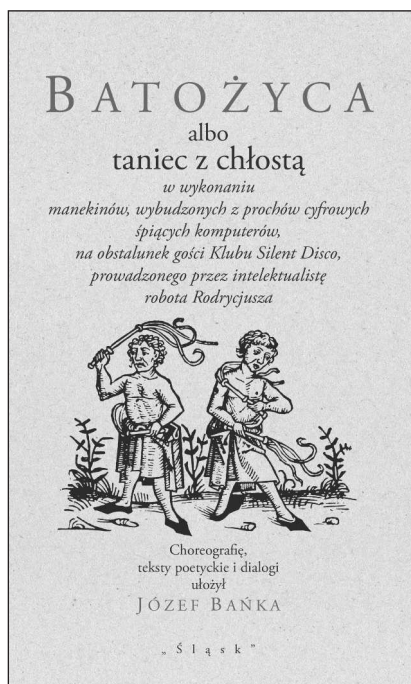
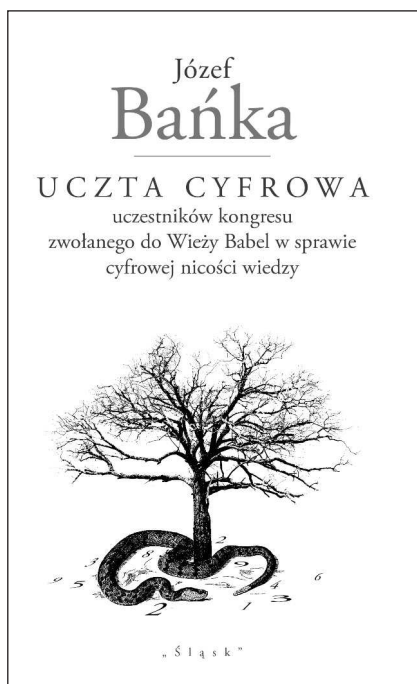
Wirtualność traktuje J. Bańka jako cechę fundamentalną kultury, stylu myślenia, treści życia człowieka XXI wieku. Niestety, niektóre z jego spostrzeżeń dotyczących przyszłości i zagrożeń dla tego rodzaju cywilizacji są głęboko pesymistyczne. Autor trafnie zauważa, że XXI wiek podniósł rozum cyfrowy do poziomu kantowskiego „rozumu czystego” czyli takiego który „myśli rzeczy”, z tą zasadniczą różnicą, że rozum cyfrowy, w odróżnieniu od kantowskiego czystego rozumu jedynie je... liczy. We Wstępie do owej monografii autor podkreśla, że: cyt. „Człowiek nie jest liczbą, a pogląd który głosi, że mózgi ludzi nie mają wystarczającej mocy analitycznej i należy „w ręce maszyn” oddać *analytical power* – uważaną dotychczas za właściwość czysto ludzką – jest przedwczesny (...) Tylko mózg ludzki może prąródła wartości (...) na nowo ożywić dla refleksji nad prawdą, fałszem i wartością. Gdy „maszyna rozmawia z maszyną” nie potrafi odróżnić prawdy od fałszu, a wartości dziedziczy po człowieku w postaci cyfrowych śladów zachowań werbalnych (...) maszyny biorą odrzuconą na zewnątrz formę i próbują ją bezpośrednio naśladować produkując jej cyfrowy ślad”.

Ukazując słabości cyfryzacji współczesnej cywilizacji przedstawia także model humanizacji techniki, z jednej strony

zapewniający ochronę podstawowych wartości ludzkich, z drugiej wskazujący przyczyny, dla których współczesna technika staje się źródłem dobrobytu i komfortu albo psychicznych cierpień i frustracji. Konstruuje więc postulat *homo euthyphronicus* – człowieka myślącego, wrażliwego, świadomego faktu, iż warunkiem udźwignięcia przez jego psychikę efektów powszechnej, intensywnej cyfryzacji współczesnego mu obrazu świata – jest zrozumienie jej ograniczonego jednak zakresu i sensu. To pierwsza i jak dotąd jedyna w polskiej myśli filozoficznej tak głęboka refleksja nad stanem i istotą cywilizacji XXI wieku. Demonstrację owych niepokojów zaprezentował autor w swoim dziele pod barokowym tytułem: *Batożyca, albo taniec z chłostą w wykonaniu manekinów wybudzonych z prochów cyfrowych śpiących komputerów na obstalunek gości Klubu Silent Disco prowadzonego przez intelektualistę robota Rodrycjusza....*

(Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” 2015). W nietypowej dla filozofa formie literackiej autor przenosi czytelnika w świat śpiących komputerów, posiadających co prawda „pamięć cyfrową”, ale w ich wirtualnej rzeczywistości żywy jest już zupełnie inny zestaw języków, używanych przez nowe komputery do pisania ich własnych programów. W swej śpiączce stare komputery ulegają przebudzeniu i ewolucji, współtworząc z nowymi maszynami z „memów” ludzkich idei – nową cyfrową, „nieludzką” kulturę. W ten sposób „kultury” komputerowe mogą istnieć poza ludzkimi umysłami, a ludzie i roboty współżyć będą w przyszłości pod nowym cyfrowym niebem.

W kolejnej pracy zatytułowanej *Uczta cyfrowa uczestników kongresu zwołanego do Wieży Babel w sprawie cyfrowej nicości wiedzy* (Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” 2017), wieńczącym swoistą trylogię filozoficzno-literacką Autor nawiązuje tu do znanej tradycji filozofów, prezentujących swoje poglądy na rzeczywistość w formie tekstów literackich lub para literackich. Ta literacka wizja spotkania biesiadników zebranych w mitycznej Wieży Babel na Wielkim Kongresie zwołanym w sprawie klęski cyfrowej nicości wiedzy, która wskutek cyfrowego rozformowania ginie bezpowrotnie w chmurze obliczeniowej przestrzeni energii. To nieco skomplikowane założenie jest efektem projekcji czterech zagrożeń jakie grożą erze powszechnej cyfryzacji: a) groźba wiru-



sowej pandemii, która wyłączy wszystkie komputery na naszym globie; b) perspektywa wojny satelitów komunikacyjnych w kosmosie; c) problem masowego społecznego sprzeciwu, buntu wobec cyfryzacji spowodowany powszechnym bezrobociem wykreowanym przez zastępujące ludzi maszyny i komputery; d) globalne, cyfrowe „rozformowanie” spowodowane przerwami lub całkowitym brakiem dopływu energii i w konsekwencji krach w postaci pandemii cyfrowej, chaosu, zamętu, dezorientacji, a nawet wojny między mocarstwami. Wówczas nastąpiłby dramat w ludzkim bytowaniu, regres kulturowy, cywilizacyjny, organizacyjny – którego oznaką byłby swoisty „głód cyfrowy”. Autor na stronach swego „hipertekstu” postuluje przeciwstawienie się owej katastroficznej wizji, ideę pracy nad zbudowaniem idealnego modelu człowieczeństwa, mianowicie „*homo euthyphronicus*” – człowieka odpornego na destrukcyjny, alienacyjny wpływ dynamicznie rozwijającej się techniki cyfrowej, zmierzającej do zamknięcia człowieka w labiryncie cyfr. Siłą owego człowieka jest zmysł słusznego, prostomyślnego rozumienia życia. Autor w ten sposób z właściwą dla siebie konsekwencją wmontował w ten tekst zagadnienia eutyfroniki.

Najnowszą przygotowaną do druku monografią pióra Józefa Bańki jest obszernie dzieło zatytułowane „*Myślący obłok. Inscenizacja epistemologiczna*”, które opublikowane zostanie w 2018 roku. Część pierwsza tego wykładu nosi wiele mówiący tytuł: *O przeniesieniu inteligencji umysłu ludzkiego do cyfrowej świadomości siebie komputera nieskończonego*. Owym „myślącym obłokiem” jest znany nam z poprzednich dzieł rozum cyfrowy, a wprowadzone w tej pra-

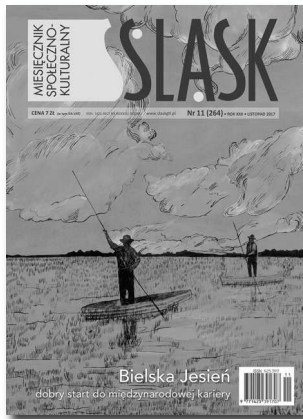
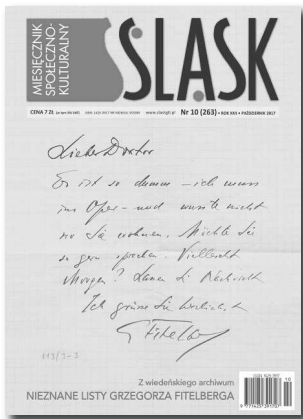
cy pojęcia Komputera Nieskończonego i Zera Harmonicznego mogą być tutaj jedynie zapowiedziane jako kolejny, fundamentalny krok w kierunku nowego, pogłębionego rozpoznania istoty cywilizacji cyfrowej XXI i XXII wieku. Autor uważa bowiem, cyt.: że „o ile wiek XX był wiekiem ewolucji twórczej” o tyle wiek XXI i następny staną się wiekiem „ewolucji cyfrowej” będącej produktem „rozumu cyfrowego”. Co może zaskakiwać nieco czytelnika obeznanego z dotychczasową twórczością filozofa, autor formułuje twierdzenie iż: „Elementem konstytutywnym świadomości nie są treści pojęć (sic! TS) lecz ich cyfrowe przebiegi mózgowo – wspólne dla neuronalnej inteligencji człowieka i cyfrowej świadomości w sobie Komputera Nieskończonego”. W ten sposób, jak sam to sformułował: demonstrowanie wypchnięcie umysłu ludzkiego poprzez Komputer Nieskończony do „myślenia w chmurze”, wypchnięcie ducha ludzkiego poprzez Komputer Nieskończony w „czucie w chmurze” i najbardziej skrajne ujęcie tego tematu: powrót człowieka do tych miejsc w Myślącym obłoku, w których skończyła się historia rozumu cyfrowego. Historiozoficzna teoria stała się w ten sposób kompletną i zakończoną. Integracja rozumu cyfrowego i rozumowania człowieka zostaje dopełniona, ale nie bez obaw i niepokojów.

Józef Bańka, konstruując swój system filozoficzny w procesie komunikacji z współczesnym mu i przyszłym czytelnikiem sięga po narzędzia znane z praktyk naukowych (monografie), operując zamkniętym systemem własnego akademickiego języka i sformułowanego w tym swoistym kodzie wykładem, nie gardzi także formami literackimi, aluzjami i pa-

rarejami historyczno-literackimi wprowadzając do swoich wywodów formy poetyckie, dramatyczne, prozatorskie, przywołując m.in. postacie Faustów, Anhellich, wielowiekowe archetypy (Wieża Babel), sięgając po ikony współczesnej kultury popularnej (muzyka disco, salon gier, itp.). Ta swoista gra autora z potencjalnym czytelnikiem z jednej strony czyni jego teksty nieco bardziej „przystępnymi”, z drugiej jednak naraża ich autora na cierpkie uwagi profesjonalnych komentatorów naukowych. W naszej spetryfikowanej, sparaliżowanej punktową normą kulturze komunikacji naukowej – tego typu „występki”, ekscesy autora tekstów filozoficznych (i każdego innych, zmierzających do popularyzacji jakiegokolwiek z dziedzin wiedzy) traktowane są jako czyny naganne, poddające się łatwej sformalizowanej urzędniczej krytyce.

Przenikający tę twórczość i naukę głęboki humanizm, uparta dążność do zrozumienia natury współczesnej cywilizacji, wiara w realizację prostomyślnego ideału człowieka „*homo euthyphronicus*”, wreszcie przestrogi formułowane przez filozofa, wbrew powszechnej afirmacji cywilizacji cyfrowej, w naszym kraju częstokroć niestety ignorowane i pomijane w dyskursie naukowym i publicystycznym, zostały zyczliwie zauważone w wielu zagranicznych ośrodkach naukowych.

Czy zgadzamy się z tymi poglądami autora *Myślącego obłoku*, czy też odrzucamy jego tezy – musimy zgodzić się, że „rozum cyfrowy” – to nie jest jakaś odległa, przyszła rzeczywistość – to już dla jednych niestety lub dla innych – stety – nasza otaczająca nas na co dzień techniczna i społeczna rzeczywistość. ■



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2018 rok! Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

**Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych**

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE											
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE											
08203000451110000004079490											
WP PLN											
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA											
„ŚLĄSK”											

Polocene przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE											
UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE											
08203000451110000004079490											
WP PLN											
PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA											
„ŚLĄSK”											

Polocene przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:

K S A L S

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Jan Picheta
Joanna Kotkowska
Janusz Ireneusz Wójcik

BYTOM. W dniach 25-28 stycznia 2018 roku w Bytomiu w siedzibie Opery Śląskiej odbył się X Międzynarodowy Konkurs Choreograficzny Uczniów Szkół Baletowych, który organizowany jest od 2005 roku przy Ogólnokształcącej Szkole Baletowej im. Ludomira Różyckiego w Bytomiu. Pomysłodawczynią i organizatorką pierwszych edycji Konkursu jest Bożena Kociołkowska – primabalerina polskiej sceny baletowej i ówczesna wicedyrektor Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Bytomiu. Koncert Galowy Laureatów poprzedziła uroczystość nadania imienia Bożeny Kociołkowskiej Międzynarodowemu Konkursowi Choreograficznemu w Bytomiu. W tym roku w Konkursie wzięło udział 105 uczestników, utalentowanych uczniów szkół baletowych z Czech (Ostrawa, Praga), Słowacji (Bańska Bystrzyca), Ukrainy (Lwów), Węgier (Budapeszt) i z Polski (Gdańsk, Kraków, Łódź, Poznań, Warszawa i Bytom), którzy zatańczyli 57 choreografii. W skład Jury weszli pedagodzy szkół baletowych, tancerze i choreografowie cieszący się autorytetem zawodowym z Polski i zagranicy. Konkursowi towarzyszyła IV Międzynarodowa Konferencja Naukowo-Dydaktyczna: „Taniec, rytm, muzyka w nauce i praktyce” organizowana we współpracy z Wydziałem Tańca Akademii Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach.

KATOWICE. Wystawę upamiętniającą działalność drukarsko-wydawniczą Teodora Heneczka w Piekarach Śląskich otwarto w 150. rocznicę wydania 1. numeru „Zwiastuna Górnos Śląskiego”. W istniejącej w latach 1847-1872 drukarni Teodor Heneczek drukował niemal wyłącznie dzieła w języku polskim: zarówno czasopisma społeczno-polityczne i religijne, np. „Dziennik Górnos Śląski”, „Tygodnik Katolicki” i „Zwiastun Górnos Śląski”, jak i książki (głównie śpiewniki, modlitewniki i powieści), w większości podejmujące tematykę religijną. Na wystawie prezentowane są książki, czasopisma oraz fotografie ze zbiorów Biblioteki Śląskiej.

KATOWICE. W weekend 12-13 stycznia na estradzie Filharmonii Śląskiej królowała Grażyna Brodzińska, towarzyszył jej przygotowany przez Jarosława Wolanina Chór i Orkiestra Symfoniczna FŚl, a z dyrygenckiego podium poprowadził orkiestrę Tomasz Chmiel. Grażyna Brodzińska, córka śpiewaczki, tancerki i aktorki oraz Edmunda Waydy – tenora, reżysera, założyciela teatrów muzycznych w Lublinie i Szczecinie, talent ma w genach. W Polsce w zasadzie nie ma śpiewaczek, które mogłyby z nią kon-

kurować. Aria ze śmiechem w jej wykonaniu to majstersztyk, także aktorski. Jest wszechstronna – jeździ po Polsce i świecie, śpiewając arie operetkowe, operowe, piosenki musicalowe, nawet charakterystyczne. Występuje z recitalami, w spektaklach operetkowych, na koncertach Wiedeńska krew, Zemsta nietoperza, Europa moich marzeń, Magiczny Hollywood...

KATOWICE. Kwartet FLAUTATO powstał z inicjatywy Andrzeja Staciwy w roku 1995. Tworzą go muzycy Filharmonii Śląskiej: flecista Andrzej Staciwa, skrzypek Ryszard Słapik, altowiolistka Joanna Botor i wiolonczelista Jerzy Szkopek. Kwartet koncertował poza granicami kraju, m.in. w Holandii, Niemczech, na Ukrainie. Nagrywał dla Polskiego Radia i Telewizji oraz Edycji Paulińskiej. W jego repertuarze są m.in. utwory kompozytorów baroku, klasycyzmu, romantyzmu, neoromantyzmu, impresjonizmu, ekspresjonistów i kompozytorów współczesnych, klasyka muzyki rozrywkowej, filmowej i musicalowej, jazz i muzyka ludowa. Repertuar Flautato jest owocem poszukiwań w tradycyjnej kameralistyce nowych, inspirujących i oryginalnych zestawień brzmieniowych, nieustannego dążenia do odkrywania nieprzebranego bogactwa subtelnych odcieni muzyki. Karnawałową propozycją zespołu był koncert 17 stycznia 2018 roku zatytułowany Karnawał i już!, okraszony tanecznymi rytmami do menueta po tanga i instrumentalnymi wersjami wielkich przebojów Edith Piaf, Louisa Armstronga czy Mieczysława Fogga i Beatlesów.

KATOWICE. 20 lat już mija od śmierci dyrektora Karola Stryji (2 lutego 1915 – 31 stycznia 1998). Od dziewiętnastu, na przełomie stycznia i lutego, Filharmonia Śląska koncertuje ku Jego pamięci. W tym roku w tym specjalnym koncercie wystąpili Orkiestra Symfoniczna i przygotowany przez Jarosława Wolanina, Chór Filharmonii Śląskiej oraz znakomity skrzypek Bartłomiej Nizioł i sopranistka Sylwia Olszyńska. Na dyrygenckim podium stanął Mirosław Jacek Błaszczuk, który program tego koncertu ułożył podług reguła Profesora: klasyka i współczesność. Wykonano Bajkę Stanisława Moniuszki, Koncert skrzypcowy A-dur Mieczysława Karłowicza oraz Angelus i Exodus katowiczana ze Lwowa, Wojciecha Kilara. Z dorobku katowickiego kompozytora Wojciecha Kilara do programu koncertu wybrano dwa utwory. Dedykowany żonie, Angelus do tekstu Pozdrowienia anielskiego powstał w 1984 r. na ponowne otwarcie, po konserwacji, ołtarza jasnogórskiego. Modlitwa najpierw jest odmawiana wielokrotnie przez chór na wzór różańca. Narastając w swej sile, przeradza się w śpiew – umuzycznioną prośbę, błaganie, wreszcie dramatyczne wezwanie Marii. Na końcu powraca do formy mówionej, stopniowo cichnąc i oddalając się. Skomponowany na przełomie lat 1980/81 a dedykowany Krzysztofowi Zanussiemu Exodus z fragmentami łacińskiego tekstu z Księgi Psalmów, po raz pierwszy wykonany został trzy miesiące przed wprowadzeniem stanu wojennego.

Marsz Pamięci

KATOWICE. 73 lata temu prowadzeni byli tędy więźniowie, których jedyną winą było to, że byli Ślązakami. Dziś, po raz kolejny, dziesięciokilometrową trasę z Placu Wolności w Katowicach pod bramę byłego obozu „Świętochłowice-Zgoda” pokonali przedstawi-



cieli różnych regionalnych organizacji by wspólnie, ponad podziałami, upamiętnić ofiary Tragedii Górnos Śląskiej.

Trasa marszu wiodła przez Katowice, Chorzów oraz Świętochłowice i zbliżona jest do tej, jaką w 1945 r. pędzeni byli mieszkańcy Górnego Śląska, którzy stali się pierwszymi więźniami ponownie otwartego obozu w Zgodzie. Wcześniej, w latach 1942-1945, mieściła się tam filia KL Auschwitz. Od lutego do listopada 1945 r. obóz podlegał polskiemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego. Osadzono w nim m.in. Ślązaków, traktowanych jak volksdeutsche i oskarżanych o niechęć do komunistycznej władzy. Szacuje się, że pobytu w obozie nie przeżyło około 2 tysięcy osób. Po latach obóz „Zgoda” stał się symbolem represji powojennych władz wobec mieszkańców Górnego Śląska, które przez historyków określane są jako Tragedia Górnos Śląska.

Pierwszy marsz pamięci o „Zgodzie” zorganizował osiem lat temu Ruch Autonomii Śląska. W tę inicjatywę włączyli się przedstawiciele innych regionalnych organizacji. Dziś w wydarzeniach przed bramą obozu „Zgoda” brał udział również Henryk Mercik, wicemarszałek województwa śląskiego i lider Śląskiej Partii Regionalnej. Z inicjatywy regionalnych organizacji także ostatnia niedziela stycznia obchodzona jest w województwie śląskim jako Dzień Pamięci Ofiar Tragedii Górnos Śląskiej.

KOSZĘCIN. Dobiegło końca „Śląskie Kolędowanie” – cykl koncertów, które w siedzibie Zespołu „Śląsk” odbywały się w grudniu i styczniu. Wystąpili zaproszeni goście oraz Zespół „Śląsk”.

W tegorocznym „Śląskim Kolędowaniu” w siedzibie Zespołu „Śląsk” wzięły udział: zespół folkowo-rockowy „Turnioki”, Zabrzeński Chór Młodzieżowy „Resonans con tutti” im. N.G. Krocza, Chór Magnificat Parafii NMP w Czuchowie oraz Chór i Kapela Ziemi Kroczyckiej. Jak co roku, wysłuchaliśmy także interpretacji kolęd przygotowanych przez Gości z Zytomierza. W świątecznych koncertach nie zabrakło gospodarzy. W Kameralnej Sali Koncertowej zabrzmiały kolędy w wykonaniu solistów, chóru i orkiestry Zespołu „Śląsk”.

OŚWIĘCIM. W dniach od 25 do 27 stycznia 2018 roku w Oświęcimskim Centrum Kultury odbywał się, pod patronatem Światowej Unii Kina Nieprofesjonalnego UNICA i Prezydenta Miasta Oświęcim, 18. Międzynarodowy Festiwal Filmów Nieprofesjonalnych „Kochać człowieka”. Do udziału w 18. Międzynarodowym Festiwalu Filmów Nieprofesjonalnych „Kochać człowieka”

zostało nadesłanych 185 filmów z 23 krajów (Belgia, Brazylia, Burkina Faso, Czechy, Dania, Finlandia, Francja, Grecja, Hiszpania, Honduras, Iran, Kanada, Meksyk, Niemcy, Polska, Rosja, Szwajcaria, Tajlandia, Turcja, USA, Wielka Brytania, Włochy, Zjednoczone Emiraty Arabskie), z których do konkursu zakwalifikowano 54 filmy z 18 krajów. Jury 18. Międzynarodowego Festiwalu Filmów Nieprofesjonalnych „Kochać człowieka” w składzie: Maria Malatyńska (filmoznawca, krytyk filmowy), Lidia Duda (reżyser, dokumentalista), Jacek Link-Lenczowski (reżyser), Aleksander Dyl (operator filmowy), Witold Kon (przewodniczący Federacji Niezależnych Twórców Filmowych w Polsce), przyznało nagrody i wyróżnienia: **Grand Prix – Kryształowe Serce** za film: *From Hasakah with Love* (Pozdrowienia z Hasakah) – Mohammad Farahani, Iran, **I nagroda – Złote Serce** za film: *Julek Cichoboszek* (Julek Cichoboszek) – Ewa Toboła, Bartosz Toboła, Bolechowice, **dwie II nagrody – Srebrne Serce** za film: *Dolls Don't Cry* (Lalki nie płaczą) – Frédéric Tremblay, Kanada, za film: *Under pressure* (Pod presją) – Diego Fandos, Czechy, **trzy III nagrody – Brązowe Serce** za film: *Kukulek* (The Cuckoo Man) – Daniel Zagórski, Łódź, za film: *Włosy* (Hair) – Ewa Piątek, Paweł Piątek, Czarmuń, za film: *Parque* (Park) – Mateo Garlo, Hiszpania i **sześć Wyróżnień**. Festiwalowi towarzyszyły wystawy fotografii: nagrodzonych prac X Ogólnopolskiego Biennale Fotografii „Kochać człowieka” i Krzysztofa Gołucha pt. „Co siódmy”.

Gawędy z Kalininem

CZĘSTOCHOWA. 24 stycznia o 18.00 w OPK Gaude Mater odbyło się spotkanie z Andrzejem Kalininem, członkiem PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, laureatem m.in. Literackiej Nagrody im. Czesława Miłosza za tom opowiadań *...i Bóg o nas zapomniał*. Prozaik znany jest także jako animator kultury, przez wiele lat organizował spotkania w Muzeum Częstochowskim w Ratuszu. Tym razem autor był gościem Profesora Elżbiety Hurnik z Akademii im. Jana Długosza. Oprawę muzyczną zapewnili uczniowie ZSM im. M.J. Żebrowskiego w Częstochowie. Rozmowa przebiegała dwutorowo. Uwagi na temat warsztatu autora i poetyki jego utworów przeplatane były wspomnieniami i anegdotami z życia pisarza. Było więc o gatunku gawędy, muzyczności języka podsłuchanego i zapisanego, o debiucie w podziemnej „Arce” i rewizji w czasie stanu wojennego, o współpracy z paryską „Kulturą”, ale także o pozyskiwaniu przychylności obecnej żony. Pisarz prezentował fragmenty prozy oraz humorystyczne wiersze, m.in. o toczącej się w nim walce starości z młodością czy stylizowany na gwargę góralską zachwyty ukochaną.

Andrzej Kalinin pochodzi z Jędrzejowa, obecnie mieszka w Kusiechach. Za tom wspomnień *Opowieści o świecie i zmięczeniu. Rzecz o dawnym Jędrzejowie* (2011) napisany wraz z przyjaciółmi został honorowym obywatelem rodzinnego miasta.

Dla wyrównania szans

CZĘSTOCHOWA. 14 stycznia po raz 26 także w Częstochowie zagrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Tym razem by wyrównać szanse w leczeniu nowo-

rodków na podstawowych oddziałach neonatologicznych. Miejscową orkiestrę tworzyło 530 wolontariuszy, zarządzanych przez szefową sztabu – Martę Prześlak.

Wśród przygotowanych atrakcji znalazły się m.in. Parada Serc, bieg „Policz się z cukrzycą”, przejażdżka za bytkowym tramwajem, nurkowanie na pływalni IV LO, morsowanie na częstochowskim Bałtyku, warsztaty tańeczne. Koncerty na placu wystartowały o 13.00. Miejscowych muzyków reprezentowali Doom Wings (metal) i Black Pearls (rock). Dołączyli do nich goście – Loka, Jamal (reagge) oraz Redlin (folk). Ważnym punktem były także licytacje gadżetów podpisanych m.in. przez Jurka Owsiaaka czy Kubę Błaszczakowskiego.

W tym roku okolicznościowa monetka o wartości 10 finałków, zaprojektowana przez Martę Szkiel, miała formę pocztówki, na której spisano historię częstochowskiego sztabu WOŚP.

Legenda Józefa Piłsudskiego

CZĘSTOCHOWA. W Muzeum Częstochowskim wciąż można oglądać wystawę *Józef Piłsudski. Życie – Śmierć – Kult*, ze zbiorów historyka Mariusza Koltmasy, członka Związku Piłsudczyków w Częstochowie. Znalazły się na niej zdjęcia, grafiki Zdzisława Czermańskiego, utwory i artykuły biograficzne oraz satyryczne, dzieła Marszałka Piłsudskiego, figurki, znaczki pocztowe, pamiątki związane z sypaniem kopca w Sowińcu w Krakowie od 1934 roku, okolicznościowe medale i odznaki, aż po relacje z pogrzebu i biżuterię żałobną. Ekspozyty dokumentują najważniejsze momenty biografii Piłsudskiego – tworzenie legionów w Krakowie, osadzenie w twierdzy w Magdeburgu, przyjazd do kraju w 1918 i międzywojenna działalność aż do pochówku w Katedrze na Wawelu. Zgodnie z wolą Piłsudskiego jego serce złożono na cmentarzu Na Rosie, gdzie przeniesiono także prochy matki z Sugint Wilkomirskiego. Na grobie wypisano fr. *Wacława* Juliusza Słowackiego. Wówczas kult Piłsudskiego wszedł w nową fazę. 13 kwietnia 1938 uchwalono Ustawę o ochronie jego imienia. Mimo zakazów o bohaterze nie zapomniano ani w czasie II wojny światowej, ani w Polsce socjalistycznej.

Dojrzały dadaista

CZĘSTOCHOWA. 11 stycznia w Sali Gobelinowej MGS-u odbył się wernisaż wystawy *zaDADęcie* Piotra Naliwajki. W latach 1979-1984 artysta studiował na Wydziale Grafiki w Katowicach w pracowniach Janusza Bieniasza i Jerzego Dudy-Gracza. Tu wraz z Leszkiem Żegalskim i Januszem Szpytem stworzył Tercet Nadęty, czyli Całkiem Nowi Dzicy Normalni Dadaści, wypowiadający się przeciwko sztuce abstrakcyjnej. Nieco wcześniej, w czasach licealnych prezentował surrealistyczne prace w mieszkaniu Ingmara Villqista, z którym chodził do jednej klasy w III LO w Chorzowie-Batorym.

Na wystawie dominowały prace utrzymane w konwencji realistycznej. Artysta korzystał ze starożytnych mitów, sięgał po wątki i postaci religijne, a nawet mesjanizm, by zdefiniować sztukę i współczesnego człowieka, Polaka, chorzowianina. Na wystawie zaprezentowano m.in. cykl pochodzący z 2009/2010 *Abraham i Izaak w drodze*. Wa-



riacje eugeniczne na dwie zielenie i czerwień angielską. Na ośmiu wielkoformatowych płótnach przedstawiono ojców z synami. Powtarzalny układ postaci każe zastanowić się nad kompozycją oraz założeniami cyklu. Ważne okazują się nieuchwytnie na pierwszy rzut oka gesty, definiujące relacje bohaterów i wbudowane w społeczną dyskusję na temat rodziny, ojcostwa i mężczyzny. W cyklu wyróżnia się autoportret sprawiający wrażenie szkicu, nieco niedopracowany na tle pozostałych.

Szczęście według chirurga

CZĘSTOCHOWA. W Gabinecie Wybitnych Częstochowian wciąż można poznać pasje dra Mieczysława Wyględowskiego. Jej bohater to znany w mieście chirurg, wieloletni ordynator i dyrektor Szpitala im. Ludwika Rydygiera, laureat honorowej statuetki Władysława Biegańskiego, autor książek na temat historii ochrony zdrowia w Częstochowie oraz polityk. Był Senatorem RP, radnym Sejmiku Śląskiego oraz radnym Miejskiej Rady Narodowej. Kuratorem wystawy *Recepta na szczęście* jest Anna Krakowian. Mieczysław Wyględowski kolekcjonuje grafikę, malarstwo, stare zegary. Z jego zbiorów pochodzą prace: Wojciecha Weissa, Józefa Mehoffera, Wlastimila Hofmana, Izaaka Celnikiera, Kazimierza Podsadeckiego, Jerzego Dudy-Gracza, Lechosławy Amit-Chmielowskiej, oraz karykatury profesora Leszka Woźniaka, onkologa i patomorfologa. Znany chirurg lubi także podróże, dlatego nie zabrakło zdjęć oraz pamiątek z najbardziej egzotycznych wypraw, do Afryki, Indii, Stanów Zjednoczonych, Chin, Jerozolimy i Egiptu.

Wśród dokumentów osobistych znalazły się zdjęcia z młodości, gdy był harcerzem oraz budowniczym Nowej Huty, zużyta torba lekarska, dyplomy i listy pacjentów. Wystawa przekonuje, że Wyględowski żyje według recepty: miłość, tolerancja, łyżka stołowa kawioru i liczne grono przyjaciół.

W SKRÓCIE

CZĘSTOCHOWA

■ zagrali: plac Biegańskiego – Piersi; Rura – Kamil Bednarek z zespołem, Kaliber 44; Muzyczna Meta – premiera płyty Sariusza *Antihypo*, Harmonijkowy Atak,

KAT & Roman Kostrzewski; Klimaty – Śląska Grupa Bluesowa; OPK Gaude Mater – Tubis Trio (w ramach Festiwalu JAZZtochowa); Filharmonia Częstochowska – Sopranissimo, muzyka filmowa Krzesimira Dębskiego w wykonaniu Anny Jurkiszowicz, Maryla Rodowicz;

■ wystawiali: OPK Gaude Mater – Anita Grobelak; Wejściówka – Emilia Dudziec; ROK – Robert Jodłowski;

■ 14 stycznia w Filharmonii Częstochowskiej zorganizowano koncert *W krainie operetki i musicalu* przygotowany przez artystów Narodowej Operetki Kijowskiej;

■ 8 stycznia Zbislaw Janikowski prezentował szopkę noworoczną.

Od 40 lat pielęgnują śląskie tradycje

WODZISŁAW ŚLĄSKI. 7 lutego w Wodzisławskim Centrum Kultury odbył się szczególnie jubileusz. Inicjatorka i kierownik artystyczny znanego w regionie zespołu folklorystycznego „Nie dejmy sie”, Irena Sauer, obchodziła 83 urodziny. Doceniając jej wkład w promocję regionu i wieloletnie popularyzowanie lokalnych tradycji, jubilatce złożyli życzenia przedstawiciele władz samorządowych i instytucji kulturalnych. Hucznie obchodzona okoliczność była też okazją do podsumowania ponad 40-letniej działalności prowadzonego przez nią zespołu kultuwującego regionalne pieśni, obyczaje i lokalną odmianę śląskiej gwary.

Na uroczystość przybyli m.in. prezydent Wodzisławia Śląskiego Mieczysław Kieca oraz jego zastępca Barbara Chrobok. Nie zabrakło przedstawicieli lokalnych mediów oraz osób związanych ze środowiskami kultury.

– Nie tak dawno świętowaliśmy 760-lecie Wodzisławia Śląskiego, a dziś to szanowna jubilatka obchodzi urodziny – rozpoczął życzenia w imieniu władz miejskich prezydent Mieczysław Kieca. – Znamienne jest, że już przez dziesiątki lat twórczość pani Ireny, i działalność zespołu „Nie dejmy sie” wpisuje się w to, jak wspaniale tworzymy nasze miasto. Nie wyobrażam sobie Wodzisławia bez tego serca, zaangażowania, zapału i miłości do tutejszej ziemi, jaką emanuje pani Irena Sauer, i za to dziękuję w imieniu naszej społeczności.

Zespół Artystyczna Rodzinka Seniorów „Nie dejmy sie” już od ponad czterech dekad prężnie działa na wodzisławskiej ziemi. Zespół skupia muzyków i śpiewaków, którzy wykonują tradycyjne śląskie piosenki i pieśni. Muzycy pielęgnują też regionalne zwyczaje odtwarzając tradycyjne stroje ludowe z regionu, w których występują podczas imprez kulturalnych. Wykonanie takich kreacji, zwłaszcza damskich, jest pracochłonne i zajmuje dużo czasu, jednak efekt końcowy warty jest wysiłku. Członkowie grupy zajmują się też tradycyjnymi formami rękodzieła – panie wykonują śląskie hafty, panowie zajmują się m.in. rzemiosłem.

– Obecnie nasza grupa liczy ponad 30 osób – wyjaśnia Irena Sauer, która jest inicjatorką takiej formy promowania śląskiej kultury. – Co tydzień spotykamy się w sali Wodzisławskiego Centrum Kultury na próbach, bierzemy udział w występach i imprezach kulturalnych w regionie.

Jako że działalność zespołu kierowanego przez panią Irenę opiera się na śląskiej tradycji, w grupie nie brakuje tradycyjnych instrumentów z akordeonem na czele. Sekcja muzyczna to także skrzypce, klarnet i kontrabas. Występy zespołu „Nie dejmy sie” polegają również

Fot. Tomasz Bienek



Prezydent Wodzisławia Śląskiego, Mieczysław Kieca oraz członkowie zespołu „Nie dejmy sie” składają życzenia Irenie Sauer

Fot. Tomasz Bienek



Członkowie zespołu „Nie dejmy sie” krzewią śląski folklor także poprzez tradycyjne stroje, w których występują

na popularyzowaniu śląskich obrzędów i zwyczajów, które gdyby nie tacy pasjonaci jak Irena Sauer, dawno zostałyby zapomniane. Są to na przykład takie zwyczaje, jak „grzebanie basa”, czyli symboliczny pogrzeb kontrabas, który był zabawą kończącą karnawał.

Irena Sauer przyznaje, że jednym z celów jej działalności jest dbałość o czystość śląskiej gwary, która na przestrzeni wieków została zmieszana z niemieckimi oraz czeskimi naleciałościami. By gwara ta nie uległa zapomnieniu, pani Irena dzięki pomocy finansowej lokalnych władz wydała już dwa zbiory pieśni i piosenek śląskich, których tekstów ona sama jest autorką. Aranżacje te powstały w oparciu o ustne przekazy i wspomnienia najstarszych mieszkańców. Teksty piosenek nawiązują do tematyki obyczajowej, sakralnej, jak i rozrywkowej. W 2015 roku ukazał się zbiór utworów pt. *O czym serce pokolęń Ślązaków nuci, a dusza mowom ojców opowiada*.

Wśród licznych prezentów, wręczonych jubilatce na imprezie – był chyba ten najbardziej przez nią oczekiwany – symboliczny talon na dofinansowanie wydania kolejnego zbioru śląskich utworów. Szefowa „Nie dejmy sie” marzyła o tym od dawna. Kolejny śpiewnik będzie tematycznie dedykowany dla „Ojców, starych i starzyków”.

PIOTR MUSCHALIK

Fotografik, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Filii w Katowicach. Zajmuje się fotografią kreatywną i dokumentalną. Jest autorem wielu wystaw i albumów fotograficznych. Uczestniczył w licznych wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Adiunkt I st. w Pracowni Fotografii na ASP w Katowicach.

„Vanitas”, to cykl fotografii, który można nazwać również pięknem przemijania. To autorska i poetycka interpretacja upływu czasu, stanów emocjonalnych związanych z przeżywaniem czasu i jego sensu. Osobisty dialog z czasem, a raczej z beczasowością i materią, która mnie otacza. Estetyczna i symboliczna relacja z tego, co dzieje się w moim życiu. Układ przedmiotów będących w zasięgu ręki, tych, które służą w codziennej egzystencji, są skondensowanym symbolem trwania lub degradacji i zapomnienia. Każdy z obrazów to dramat, z którego wyłaniają się i zapadają w mroku „byty” lub „niebyty”, owocowe zjawy zanurzone w świetle mojego osobistego „nieba”. Wielkoformatowe fotografie wykonane na tradycyjnych kliszach wyprodukowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, fotografowane głównie przedwojennymi aparatami, to hołd oddany klasycznej fotografii, której obraz tworzony jest na srebrze.